

ok 3.77
80yr

inst. lit.

13057



13057 13057

WĘGRY



**PANTEON
LITERATURY
WSZECHŚWIATOWEJ**

**W OPRACOWANIU
ANTONIEGO LANGEGO
I
ALFREDA TOMA**

WĘGRY

**NAKŁADEM S-KI AKC
POLSKA SKŁADNICA
DOMOCY SZKOLNYCH**

**WARSZAWA
1921**

7910/61

L911-10a

L3h

171002

II

Irena, Gurochewicz

K-16, Stowoskiego 41

17.7.61.



8.-w
(2.2)



18057

DO CZYTELNIKA

W literaturze — to znaczy, w artystycznej i doskonałej postaci słowa, jako najwyższego daru ludzkiego, złożyły narody i jednostki to, co w nich jest najcenniejszego zarówno, o ile chodzi o obraz rzeczywistości bezpośredniej, jak i tej wymarzonej, która jest możliwością wyższego i czystszej istnienia, a nawet jego nieosiągniętą nigdy niemożliwością.

W sztuce poetyckiej duch ludzki streszcza swoją bezwzględną całkowitość i niepodzielność oraz swoją rzeczywistą wolność i niezależność od przypadkowych warunków czasu i przestrzeni.

Czy to w Babilonie na 5000 lat przed naszą erą, czy w Indiach na dziesięć wieków przed Chrystusem, czy w Grecji za dni Peryklesa, czy na dworach książąt włoskich w epoce Odrodzenia, czy wreszcie w hałaśliwym życiu XX w. — wszędzie przemawia jedna i ta sama, a nieskończenie rozmaita i wiecznie nowa dusza człowieka, której wytworem jest literatura. Będąc wyrazem jedności rodu ludzkiego, stoi ona zarazem jakby poza granicami czasu: dlatego to możemy znaleźć genjusza tej miary, co Homer, gdzieś w społeczeństwie półprywatnym. Czas dla genjusza nie istnieje; jego twórczość narusza prawidłowość ewolucji teoretycznej, która jedynie w sferze racjonalnej, technicznej jest niewątpliwą. Duch jest wolny od tych więzów: żyje on nieraz antycypacją przyszłości, albo mówiąc słowami Shelleya — genjusz bywa „zjawą i cieniem tego, czem ma stać się człowiek”. Na tem polega proroczość wielkich poetów, którym nadaje się tytuł „wieszczów”.

Rzeczą też niezmiernie ważną dla naszego rozwoju duchowego jest „genjusz obcowanie”. Częstka ich przenika w nas i staje się naszą własną treścią. Obcowanie to pozwala nam ogarnąć spłot tych sił powszechnych, które tworzą jedność człowieka i uniezależniają go od czasu i miejsca — a jednocześnie naodwrot pozwalają nam widzieć nieskończoną różnorodność, w jakiej ta jedność się wyraża ze względu na różnorodność ras, klimatów, krajobrazu, losów historycznych i warunków społecznych.

Każdy wiek, każdy kraj, każdy naród ma swoje idee naczelne: literatura je ujawnia słowem artystycznym swych genjuszów i talentów.

Dzelaledin Rumi czy Omar-ibn-Faredh, Heraklit czy Angelus Silesius, Dante czy Shelley, Goethe czy Mickiewicz, każdy wypowiada — w ramach swej epoki i swego narodu — jakieś prawdy wieczne, ludzkie i nieodwołalne. Są to perły najwyższe, jakie duch ludzki w czasie swego pobytu na ziemi wyłonił ze swej głębi najgłębszej.

Ułatwić czytelnikom to „obcowanie genjuszów” w ich *esencji*, przedstawić główne linie twórczości genjuszów w możliwym skrócie — oto, cośmy zamierzali uczynić.

Próby takie były u nas robione. Pomijając jednak, że dzieła powyższe były niewystarczające, są one całkowicie wyczerpane.

Tę właśnie lukę pragniemy usunąć.

Z tego powodu powstała konieczność wydania *Panteonu* tego rodzaju — w nowym, szerszym, możliwie obfitym układzie.

Praca nasza nie ma na celu zastąpić podręczników historii literatury; daje ona w żywej ilustracji to, co historia w powieści swej zaznacza i podsuwa. Poprzestajemy na datach i koniecznych krótkich objaśnieniach: nie opowiadamy samej historii. Ale bez żywych wzorów twórczości, zazwyczaj rozproszonych w różnych księgach, często niedostępnych — nauka historii literatury jest martwą.

Nadto trzeba zaznaczyć, że wielu autorów wcale u nas w przekładzie nie było i po raz pierwszy dopiero w naszym wydawnictwie się ukazują.

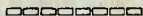
Układ naszego wydawnictwa idzie za biegiem historii i grup rasowych: wschód, świat klasyczny, ludy romańskie, Germanie, Słowianie, ludy niearyjskie.

Całość obejmuje zeszytów 80 po 3 do 4 arkuszy, w wielkiem 8°, z górą 1600 wierszy na arkuszu.

Wybór utworów każdej literatury obejmować będzie jeden lub więcej zeszytów i stanowić będzie całość sam w sobie. Paginacja będzie w każdym dziale osobna. Serje kilkozeszytowe będą miały paginację łączną tak, iż później złożą się na całość.

Zeszyty ukazywać się będą stopniowo. Przyczem, ponieważ plan wydawnictwa, który załączamy — jest ustanowiony raz na zawsze, przeto wydawnictwo nasze swobodnie wypuszczać będzie chrestomatje stosownie do tego, co nam się w danej chwili wydaje najkonieczniejsze; na początek wypuszczamy dwie serje: literaturę włoską (w 5-iu zeszytach) i literaturę węgierską (zeszyt jeden).

W najbliższym czasie ukaże się literatura indyjska.



PLAN WYDAWNICTWA

1. Chiny. — Japonja. — Rasy żółte.
2. Egipt. — Asyryja i Babilon.
3. Judea starożytna i średniowieczna.
4. Arabja.
5. Persja.
- 6 — 7. Indje.

- 8 — 12. Grecja.
- 13 — 17. Rzym.
- 18 — 19. Literatura chrześcijańska grecka i łacińska.
- 20 — 21. Bizancjum. — Nowogrecja. — (Albanja).

22. Celtowie. — Irlandja.

23. Prowancja.
- 24 — 28. Italja.
- 29 — 36. Francja. — Belgja. — Kanada.
- 37 — 39. Hiszpanja. — Katalonja. — (Baskowie). — Ameryka Połudn.
40. Portugalja. — Brazylja.
41. Rumunja. — (Cyganie).

- 42 — 47. Skandynawja.
- 48 — 54. Niemcy. — Austria. — Szwajcarja.
- 55 — 61. Anglja. — Ameryka Północna.
62. Holandja. — Flamandja.

63. Bułgarja. — Słoweńcy.
- 64 — 65. Serbja i Kroatja.
- 66 — 68. Czesi. — Słowacy.
- 69 — 73. Rosja.
74. Białoruś i Ukraina.
75. Litwa i Łotwa.

76. Finlandja i Estonja.
77. Węgry.
78. Turcja — Kaukaz. (Armenja. — Gruzja).
79. Literatura nowożydowska.
80. Poezja ludów dzikich.

UWAGA: Wydawnictwo nasze, mając przedewszystkiem na oku potrzeby młodzieży szkolnej, nie obliczone jest na zysk księgarski. W *Panteonie*, oprócz specjalnie dla nas przygotowanych tłumaczeń nowych, korzystać będziemy z istniejących przekładów gotowych dawniejszych, jako też i współczesnych, które drukujemy na zasadzie § 3 Ustawy o prawie autorskiem z r. 1911. Nie chcąc jednakże korzystać z tych przekładów bez indemnizacji, postanowiliśmy składać 5% ewentualnych zysków z naszego wydawnictwa na korzyść Towarzystwa Dziennikarzy i Literatów w Warszawie.

UWAGI

Uwaga 1. Przy czytaniu imion i wyrazów węgierskich należy pamiętać, że *cz* = *c* (dziś pisze się *c*) np. Czuczor czytaj *Cucor*; *cs* = *cs* (np. csarda czyt. *csarda*); w niektórych starych nazwiskach zachowała się dawna pisownia *ch* np. Zichy, Szechenyi, Vachott, Madach, Mentovich czyt. *Ziczi*, *Seczenji*, *Waczot*, *Madacz*, *Mentowicz*; *s* = *sz* (Sandor czyt. *Szandor*); *sz* = *s* (Szemere = *Semere*); *zs* = *z* (Zsolt czyt. *Żolt*). — Znak *á* czyta się jak *a*, natomiast *a* prawie jak *o*. — Znak *ly*, *ty* czyt. jak *lj*, *tj*; *ny* = *ń*; znak *gy*, jak *dj*, prawie *dż* np. Magyar czyt. *Madjar*, prawie *Madziar*, a ściśle prawie *Modzior*.

Uwaga 2. Węgrzy kładą naprzód nazwisko, a potem imię, np. Petőfi Sandor — Aleksander Petőfi. — Obyczaj ten zachowujemy w naszym układzie.

Uwaga 3. Niektóre imiona mają Węgrzy wyłącznie własne, madziarskie, nie spotykane gdzieindziej, jak Aladar, Arpad, Attila (Etel), Geza, Elek, Győző (Djőző = Wiktor), Farkas (Farkasz = Wilk, Wolf), Zoltan, Zsolt i inne. — Imiona zaś ogólnoeuropejskie często ulegają b. silnym przekształceniom. Dla orientacji podajemy tabliczkę ważniejszych imion tego rodzaju:

Adorjan — Adrian	Frigyes — Fryderyk	Laszló — Władysław
Antal — Antoni	Gabor — Gabriel	(Laczi — Władzio)
Armin — Herman	Görgely — Grzegorz	Lőrincz — Wawrzyniec
Balazs — Błażej	György (Dźórdź) — Jerzy	Miklos — Mikołaj
Balint — Walenty	Gyula — Juljusz	Mór — Maurycy
Bela — Albert	István — Stefan	Ödön — Edward
Benedek } — Benedykt	Imre — Emeryk	Pál — Paweł
Benő }	Jenő — Eugenjusz	Sandor — Aleksander
Ede — Edward	Koloman — Klemens	Tivadar — Teodor
Ferencz — Franciszek	Lajos — Ludwik	Vilmos — Wilhelm i t. d.

Wzór języka węgierskiego

Rákóczi nóta

(Pieśń Rakoczi'ego — patrz str. 23)

Jaj régi szép magyar nép
Az ellenség téged mikép,
Szaggad és tép!
Mire jutott állapotot
Romladó cserép;
Mintegy ékes eleven kép
Voltal olyan szép,
Magyar nép!
De a sasnak köre között
Fonnyadsz, mint a lép!
Mikor lesz már ép?
Megromlottál mint cserép,
Jaj hát szegény magyar nemzet
Jóra mikor lép!

Jaj Rákóczi, Bercsenyi,
Vitez magyarok vezéri,
Bezerédi,
Hová lettek magyar népek
Élő tüköri,
Nemzetünknek hirszerzői,
Fényes csillagi,
Ocskai?!

Az ellenség mindenfelől
Öket emesztí,
Üri, kergeti,
Búvá! epesztí,
Körenkben sem eresztí;
Jaj hát szegény nemzetünknek
Miképen veszti!

WIEK XII—XIII

Kezai Szymon

Śmierć Budy

(Wyjętek z Kroniki. Księga I, Rozdział II)

Hunnowie czynią królem nad sobą Etela (Attylę) — który brata swego Bude, od Cissy aż po wody Donu rozmaitych obcych plemion monarchią i sędzią mianował. Siebie samego zaś swoim poddanym kazał nazywać królem Hunnów, postrachem świata, biczem bożym... Po licznych wyprawach zwycięskich... z Eisenach, gdzie z dworem przebywał, do Sikambrii przybył i tam brata swego Budę własną ręką zgładził i ciało jego do Dunaju wrzucić kazał za to, że podczas kiedy on na zachodzie wojował, ten przekroczył granicę ustanowioną

między dzierzawy obydwóch braci i Sikambrię nazwał od swojego imienia; nakazał Hunnom i innym narodom mienić ją miastem Etela — Niemcy w strachu nazywać ją zaczęli Etzelburgiem,*)—ale Hunnowie, niewiele się troszcząc o zakaz, po dziś dzień, jak ongi, grodem Budy ją zowią.

(Bolesława Jaroszevska)

(Kronika Kezaia napisana w w. XII po łacinie — została w w. XIX przełożoną na węgierski przez Karola Szabó. Podług tego tłumaczenia przełożyła powyższy fragment p. B. J. Legenda ta stanowi motyw poematu Jana Arany'ego p. t. Śmierć Budy).

Anonim

Wyprawa Zalana

(Wyjętek z Kroniki)

Gdy Zalan dowódca na czele znacznej armii Greków i Bułgarów — z wściekłością w sercu ruszył od Tetelu, aby ludzi swych przeciw Arpadowi podniecić, runął w wielkim rozpędzie. — Obie armje spotkały się, gdy właśnie noc nadpływała — żaden żołnierz nie mógł spać inaczej, jak okulbaczywszy konia i miecz czujnie w rękę dzierżąc.

Arpad jednak dowódca, którego orędownikiem był Pan wszystkiego, przybrawszy zbroję, rozporządkował swe wojsko — i ze łzami w oczach modlił się do Boga — poczem jął rycerzy swoich podniecać, mówiąc: — Scyto- wie, których Bułgarzy od Hungwaru nazywają Hungwarjanami, nie zapominajcie o mieczach waszych, Grekom strasznych — i nie zagubcie swego dobrego imienia i sławy! Dlaczego tak usilnie i mężnie walczymy przeciw Bułgarom i Grekom? Gdyż w ziemię naszą się wdarli.

A toć równi są naszym niewiastom — i nie lękamy się mnóstwa Greków, jak nie lękamy się mnóstwa niewiast.

To usłyszawszy, rycerze wielce się na duchu podnieśli. Lel zaś, syn Tasa, uderzył w róg, a Bulcsu, syn Bagata, chorągiew podniósł przeciw Grekom — i walcząc w awangardzie, spadli jak piorun na wroga. — Pomieszały się w bitwie obie nieprzyjacielskie armje i potężnie jęły walczyć ze sobą nawzajem. Wielu też Greków i Bułgarów załamało się w boju; spostrzegł to Zalan dowódca, gdy tak pokotem upadli — i w końcu odwrót postanowił, i aby życie ocalić spieszył do Białogrodu bułgarskiego. Grecy i Bułgarzy, pełni trwogi wobec impetu Węgrów, zapomnieli drogi, którą szli przedtem — i aby życie ra-

*) Tak w Nibelungach.

tować, wspomnieli na płytką falę Cisy — chcąc ją przepłynąć.

Ale jeszcze większe ogarnęło ich przerażenie, gdy się okazało, że Cisa wszędzie natenczas trzymała się w wielkiej wodzie. Wielu utonęło — i tylko niektórzy z trudem nadzwyczajnym do granic cesarskich dotarli. Stąd

miejsce, gdzie nastąpiła owa zagłada Greków, od owego dnia aż do dzisiaj zowie się „przeprawą grecką“.

(A. L.)

Uwaga. Przekład podług K. Szabo. — Legenda powyższa stanowi motyw poematu M. Vörösmarty'ego p. t. *Odwrót Zalana*. (Obacz niżej).

Mowa pogrzebowa i błaganie

(*Halotti beszéd és könyörgés*)

Najstarszy zabytek języka węgierskiego, pochodzący z końca 12-go, lub początku 13-go w., spisany w 13-ym w. w kodeksie t. z. Pray'a, będącym obecnie własnością Muzeum Narodowego w Budapeszcie

1. Możecie tu widzieć, towarzysze, oczyma własnymi,
2. czem jesteście. Zaprawdę, jesteście prochem i popiołem. Z garści gliny
3. ulepił Bóg naszego praojca, Adama, i dał mu
4. raj na mieszkanie. I wszystkimi owocami, będącymi w raju,
5. rzekł mu, aby się żywił. Jednego drzewa tylko owocu mu wzbronił. Ale
6. powiedział mu też, gwoili czemu ma go nie kosztować. „Zaprawdę, którego dnia spożyjesz ów owoc,
7. śmiertelną śmiercią umrzesz“.

W 19-tu następnych wierszach, przedstawivszy grzech Adama (o Ewie niema żadnej wzmianki), mówi wzywa towarzyszy, by się modlili do miłosierdzia

boskiego, do Marji Dziewicy, do św. Piotra o zbawienie, poczem następuje druga, krótsza, tylko 6-wierszowa część błagalna:

27. Kochani przyjaciele! Módlmy się za duszę tego biednego człowieka,
28. którego pan w dniu dzisiejszym ocalił z więzów fałszywego świata,
29. którego ciało w dniu dzisiejszym grzebimy, aby go pan w łasce swojej
30. umieścił na łonie Abrahama, Izaaka i Jakóba, a dzień sądu
31. gdy nastąpi, by go między wszystkimi świętymi i błogosławionymi po prawicy swojej
32. umieścił. I was wszystkich także. Zawołajmy po trzykroć: Kyrie eleison.

(*Bolesława Jaroszevska*)

W I E K XIV — XV

Uwaga. W w. XIV i XV panowała na Węgrzech prawie niepodzielnie łacina. Niestety — w Warszawie dzieł węgiersko-łacińskich niema zupełnie. Z XIV w. najgodniejsza uwagi jest t. zw. *Chronica Vindobonensis* (beimienna); z w. XV poezja na wzór włosko-łacińskiej pisana, którą reprezentuje wielu utalentowanych poetów, zwłaszcza zaś *Janus Panonnius*. Nadto słyną *Peibartus de Temesvar*, *Michael de Hungaria*, *Andreas Panonnius*, *Nicolaus de Mirabilibus* i inni.

Legenda o Świętej Małgorzacie

(URYWKI)

Życie klasztorne Ś-tej Małgorzaty

Kiedy Świętą Małgorzatę nazwał ktoś córką królewską, posłała ona do pani Olimpiadis i płacząc tak do niej rzecze: — „Serdeczna matko, powiedziano mi rzecz bardzo niegodziwą; powiedziano mi, że jestem córką królewską“.

Kiedy zaś Św. Małgorzata miała lat dziecięć, w otoczeniu rodziców, wielbnych ojców dominikanów i sióstr, które miały z nią przebywać — przeniesioną została z klasztoru Świętej Katarzyny w Veszprém do klasztoru, który rodzice jej zbudowali na wyspie Dunajowej; wyspa owa od tego czasu nazywa się wyspą

Panny Marji lub Matki Błogosławionej, do-
tychczas bowiem nazywano ją wyspą Zajęczą.
Oddano tu Małgorzatę na chwałę Boga i pod
ochronę niepokalanej Marji Panny.

Święta dziewczeczka mówiła bardzo mało.
Kochała samotność i śmiać się nie lubiła, nie
pozwalała, aby ją chwalono; nienawidziła pró-
żności i marnych słów. Podniecał tę szlachetną
a świętą panienkę ogień miłości boskiej i ogniem
tym gorejąca modliła się nieustannie, tak, że
od początku dnia aż do obiadu sióstr kon-
wentu — była zagłębiona w modlitwie. Kru-
cyfiks Pana naszego Jezusa Chrystusa i miej-
sca pięciu Jego ran często i obficie łzami po-
lewała i całowała gorącymi ustami. Idąc do re-
fektarza, gdy po drodze spostrzegała obrazy
świętych pańskich, cześć im składała na klęcz-
kach — i nigdy tego nie zaniedbywała, na-
wet wówczas, gdy musiała iść pośpiesznie.

Jadłem klasztorzem była zawsze zaspoko-
niona; poza klasztorem nie jadała nigdy, chyba
wtedy, gdy matka jej królowa i siostry, żony
książąt — odwiedzały ją w klasztorze, ale
i wtedy czyniła to bardzo rzadko i na wielkie
prośby księżniczek. Wiele nocy spędzała na
modlitwie, czuwając z jedną zakonnicą lub
z dwiema, które jej chętnie towarzyszyły.

W każdą wigilię Bożego Narodzenia mó-
wiła tysiąc razy *Ojczenasze* i tysiąc *venias*
(spowiedź przed Bogiem, aby od niego uzy-
skać przebaczenie). Oprócz tego w wieczory
świąt Matki Boskiej mówiła tysiąc razy *Ave*
Maria i tysiąc *venias* — i cały dzień pościła,
pijąc jeno wodę, nawet gdy sił dosyć nie
miała. W wigilię Zielonych Świąt mówiła ty-

siąc *venias* i również pościła, samą tylko pijąc
wodę.

Modliła się z tak gorącą pobożnością, że
siostry zakonnice słyszały nieraz podczas mo-
dlitwy, jakgdyby z kimś rozmawiała. Słyszały
słowa, ale nie rozumiwały, co mówi.

Gdy z miłosierdzia bożego działo się to
wszystko i temu podobne rzeczy w życiu tej
świętej panienki, widział ze swego piekła stary
nieprzyjaciel, djabeł, jej czyny — i przepelnio-
ny zawiścią, zwyczajnym swym podstępem —
wypowiedział walkę świętej panience. Albo-
wiem, kiedy król Béla, jego syn król Stefan
i król czeski po długich wojnach pogodzili się
w Siedmiogrodzie, gdzie miały miejsce groźne
napady Tatarów; i kiedy na pamiątkę pokoju
i przyjaźni król czeski różne dary ofiarował
Beli, jak to jest w zwyczaju między dobrymi
przyjaciółmi: król Bela i królowa zaprosili ze
sobą króla czeskiego i zawieźli go na wyspę
Dunajową, gdzie stał wymieniony klasztor
Marji Panny, zamierzając odwiedzić świętą
pannę Małgorzatę.

...Kiedy król czeski ujrzał św. Małgorzatę,
natychmiast został oczarowany jej pięknnością,
gdyż była to panna nadzwyczajnej urody,
choć szaty nosiła liche i grube. Król czeski
tak był nią zachwycony, że gotów był oddać
swój kraj królowi Beli, byle tylko ten za żonę
mu dał Świętą Małgorzatę. Święta Małgorzata
miała wówczas lat osiemnaście...

Ale święta dziewica z powodu miłości dla
oblubieńca niebieskiego już poraz drugi od-
rzuciła narzeczonego tu na ziemi.

(Dr. Adorjan Divéky)

Pieśń o Świętym Władysławie

Bądź pozdrowiony, Święty Władysławie,
Słodka Węgier ochrono,
Śród królów świętych drogocenna perło,
Śród gwiazd promienista gwiazdo.

Tyś jest sługą Trójcy Świętej,
Kroczysz śladem Jezusa Chrystusa,
Ducha Świętego ty czyste naczynie,
Marji Dziewicy rycerzu wybrany.

Ty jesteś Węgier potomek królewski,
Świętych królów jasne zwierciadło:
Ojcem twym był dostojny król Bela,
Abyś był dostojnym wzorem króla.

Narodziłeś się nam w Polsce, *)
Byłeś nam z nieba dan z wielkimi cudami;
Powtóre się narodziłeś z wody chrztu świętego,
Dziada swego Władysława otrzymałeś imię.

*) Ś-ty Władysław. król węgierski, był synem Beli,
który uszedłszy z Węgier do Polski, ożenił się z córką
Mieczysława II. Z tego małżeństwa narodził się Wła-
dysław. Marcin Gallus pisze o nim: „Quasi Wladislaus
ab infantia nutritus in Polonia fuerat et quasi moribus
et vita Polonus factus fuerat”. Lud węgierski nazywał
go *Lengyel László*, t. j. Władysław Polak, gdyż rodził
się w Polsce i z matki Polki.

W czasie, gdy byłeś dziecięciem,
Do Węgier przywiózł cię dobry król Bela:
Sławiony byłeś w dwóch królestwach,
W królestwie węgierskiem i niebieskiem.

Zamieszkiwałeś w Bihar Varadzie
I stałeś się obroną tego miasta:
Ustanowiłeś kościół Marji Panny,
Gdzie teraz odpoczywasz z wielką chwałą.

Otaczali cię cesarze,
Biskupi, króle, magnaci.
Olej wypływa ze świętego grobu.
Relikwie twoje złotem rodzimem objęte.

Sławia cię w świętych psalmach
Księża, djaki, ludzie miejscy,
Sław cię ziemia cała,
Sławia cię anioły boże.

Na królewskim tronie jesteś stawion.
Posąg twój stoi na wysokiej skale:
Świeci jak słońce, lśni jak złoto —
Nikt się nie może ciebie dość napatrzeć.

Twarz twoja była piękna — różowa —
Spojrzenie miłsze niż czyjekolwiek z ludzi,

W mowie zdobny, w barach mocny,
Każdego zwycięzysz, co z tobą walczy.

Ciałem wdzięczny, tęgi staturą,
W ramionach wyższy od wszystkich:
Twoja piękność jest warta cesarstwa,
Tyś jest godzien korony świętej.

Ciałem czysty, duchem promienny,
W sercu mężny jako lew,
Przetoś nazwany Władysław Chrobry. —
Kiedy jeszcze byłeś młody,

Wybrała cię Marja Dziewica,
Obdarzyła wielu darami,
Abyś nas chronił i bronił:
Tyś jej polecał miłe Węgry!

Na skroni twej święta korona.
Bohaterstwo dał ci Duch Święty.
Poszedłeś śladem życia twego ojca:
Róże zrywałeś, obłożyłeś niemi koronę!

Chwalcież, Węgry, świętego Władysława,
Który istic godzien jest chwały.
Anioły sławia go, wołając:

— Bądź pozdrowiony święty Władysławie!
(A. Ł.)

Pieśń o podboju Panonji

Pieśń bezimienna; za jej autora uchodził Demeter Csati z XVI w., ale przypuszczenie to odrzucono. Rzecz oparta na legendzie, lecz przerobiona sztucznie podług bardzo mętnych wiadomości geograficznych i historycznych. Pod wyrazem „książę polski“ należy zapewne rozumieć jakiegoś księcia słowaków i t. d.

Wspominajmy swych pradziadów
I wyprawę ich ze Scytji —
Wspominajmy owych mężnych,
Węgierskiego przodków szczepu.
Ze Scytyjskich wyszli stępów,
Aż przybyli do tej ziemi —
Prowadzeni ręką Boga
Tak stanęli w Siedmiogrodzie,
Tu się szczęście zatrzymali,
W siedem gromad ustawili,
Siedmiu wodzów wyznaczyli,
Siedem grodów zbudowali.
W przedsięwzięciu swem uporni,
A potężni byli w walce,
Lecz strach w kraju był nieznany:
Wszyscy żyli w bezpieczeństwie.
Siłę mieli jako Samson,
Serce mężne jako lwy —
Burząc, niszcząc wszystko wkoło
Szli — straszliwi swoją liczbą.
Najświetniejszy wśród narodu,
Który imię nosił Arpad —
A największe posiadał skarby —
Okrzyknięty został wodzem.
Gdy się zatem dowiedzieli,
Że w Dunaju dobra woda

I że grunt dokoła dobry,
A lepszego nic nie znajdzie:
Wnet posłali wywiadowcę,
Aby Dunaj ów zobaczył,
By — gdy w rzeczy się upewnią,
Mogli ziemię tę najechać.
Książę polski (?) tutaj włada,
On ten jeden kraj posiada:
Wesprem — gród jego stołeczny,
Ludność wokół jest niemiecka. (!?)
Spiesz gonic do Wespremu,
Aby stanąć wobec księcia;
Wita go z uszanowaniem
I jak rozkaz miał — tak mówi:
— „Jestem posłan, by cię widzieć,
By twój cały kraj zobaczyć, —
I stolicę twoją poznać,
Prawa ludu twego poznać.“
Uradował się tem książę
I życzliwie go ugaszczą:
Że ochotni są tak Węgrzy,
Rzecz korzystnie im wyluszcza.
Stąd pośpiesza dzielny goniec,
Aby dostać tęgą flaszę,
By napełnić ją Dunajem;
Traw też szuka oraz kruszcu.

Wszystko zwiózł do Siedmiogrodu
 Arpadowi w ręce składa:
 Ten z radością wszystko baczny
 I na radę wodzów zwoła.
 Więc zbierają się wodzowie,
 I Dunajską oglądają
 Wodę, trawę oraz kruszec:
 Radzą, w końcu postanowia.
 Biały rumak był wybrany
 W złotem siodle i wędzidle —
 I do księcia go zawiodą,
 A powiedzieć mieli tak:
 „Tego konia, jako bóstwo —
 Czczą ci, co tu przyszedł z Scytji —
 I o ziemi kęś cię proszą,
 By się mogli tu osiedlić“.
 Książę wiele na tem stracił,
 Że fortelu nie zrozumiał:
 Tak mu rumak się spodobał,

Że utracił przez to ziemię.
 Darem tym uszczęśliwiony,
 Książę tak im odpowiada:
 „Chcę dać Węgrom tyle ziemi,
 Ile dusza ich zapagnie“.
 Wielce radzi są posłowie,
 Że się rzecz tak dobrze składa:
 Grzecznie księcia pożegnawszy,
 Wrócą znów do Siedmiogrodu.
 Wodzom całą rzecz powiedzą,
 Ci zaś tak postanowili:
 Że gdy przyjdą do tej ziemi,
 Wojnę z księciem wnet rozpoczną.
 Bóstwo, do którego modły
 Wznoszą — trzykroć wyzywali —
 I imieniem tego bóstwa
 Nad Szamotem gród nazwali...

(A. L.)

Pieśń pamiątkowa na śmierć króla Macieja

W Panu spoczywający, królu Macieju,
 Podbiłeś ty liczne kraje,
 Byłeś wtedy w wielkiej chwale.
 Stałeś nieugięty naprzeciw wroga!
 Wykazałeś swą potęgę,
 Gdy zdobyłeś miasto Wiedeń,
 Zgromadziłeś w nim swoje zdobne wojsko
 I umieściłeś tam swój tron królewski.
 Niemcy — skoroś tego zapragnął —
 Przyłączyłeś do swojej świetnej korony —
 I podzieliłeś je na bardzo wiele części,
 Które rozdałeś podług zasług panom węgier-
 Natenczas tak cię cenić zaczęto, [skim.
 Że zapragnęła ciebie Praga czeska,
 Zwiędła piękna gałąź zielona,
 Której kwiat jest nieprzyjemny.
 Od Turków uzyskałeś dary,
 Abyś nie pustoszył ich kraju,
 Nie ścigał ich baszów,
 Nie groził ich cesarzowi.

Zamierzałeś się na wiele krain
 I wielkich potężnych miast
 Na stojącą na wodzie Wenecję —
 I na mieszkańców jej mądrych Włochów.
 Węgier jasnem zwierciadłem i światłem
 Oraz groźnym wojownikiem,
 Nędzarzy bezpieczną ochroną
 I ozdobą ty byłeś zasadną.
 Byłeś wielką ozdobą naszego honoru,
 Ostoją wielką naszych obaw,
 Orędownikiem ludu węgierskiego:
 Byłeś straszny nawet dla Polaków.
 Między królami ty byłeś potężnym
 I zwycięzcą w wielkich sprawach —
 Zaufania pełnym u swego narodu:
 Miejsze odpoczynek u Pana Boga!

(Bolesława Jaroszevska)

Uwaga. Król węgierski Matyas (Matjasz—Maciej) panował od r. 1457 do 1490.

Ilosvai Selymes Peter

(około 1464—74)

T o l d i *)

W tysiąc trzechsetnym i dwudziestym roku,
 Mikołaj Toldi rodził się w Nagyfalu
 Za panowania Karola Roberta;
 Wkrótce zeń wyrósł chłopiec silny, tęg.

Wawrzyniec Toldi wychowywał syna,
 A starszym synem jego był György Toldi.
 Ów György wyrastał na dworze Karola
 I posługiwał Karola synowi.

*) Obacz niżej w poematach Jana Arany'ego poemat: *Toldi*.

W właściwym czasie György się ożenił. — Miklos dwadzieścia lat miał, gdy się stało, że Karol, dobry król, odszedł ze świata — I że w sieroctwo wpadł naród madziarski.

Syn jego Ludwik wybrany na króla: Szlachta mu całym sercem swoim służy. Zaś palatynem został Laczfi Andras. W Budzie królowi służą senatory.

Tam Miklos Toldi mieszka ze swą matką — Pilnuje wszelkich prac najemnej służby — Siłę na podziw straszną wykazuje: Kamienie młyńskie rękami podnosi.

Raz kiedy z Budy wrócił brat, György Toldi, Słudzy rycerscy urządzają igrzysko. Więc Miklos Toldi ciskał tam kamienie Dwa razy dalej niż była umowa.

Ogromny ciężki głaz, który ciskali — Pchnął znacznie dalej, niżli wymagano. Lecz czyny György'a wciąż okłaskiwano; Cokolwiek czynił Miklos — to ganiono.

György Toldi badzo goryczył się w sobie, I na młodszego brata się rozsierdził, że ten mu sługę zabił kochanego, Aż Miklos bładzić poszedł hen po polach.

Boleje nad tem bardzo jego matka: Tajemnie jadłem różnem go posila — Czasem na obiad dał jako cyranki — Dopóki starszy brat mu nie przebaczy.

W tym czasie Laczfi był w drodze do Budy. Na dwór królewski rusza z Siedmiogrodu, Jadąc, po drodze wstąpił do Varadu — Koto Nagyfału; — zbierał się na wojnę.

Tam, kiedy wyszedł na rozstajną drogę, Nie wiedział, w którą stronę iść wypada. Naładowany tam spotkał wóz siana, Mikołaj ręką ciągnął jego powóz. *)

Toż w wielu słowach o drogę go pyta. Toldi był wielce tą sprawą przejęty — Powóz olbrzymi ujmując ramieniem, Drogę do Budy Laczfiemu pokaże.

Znów tak wypadło, że się wplątał Miklos W zabójstwo. Znowu kryć się musiał, błakać. Krąży więc, bładzi — aż przyszedł do Budy, A stąd niebawem przeniósł się do Pesztu.

Tu Miklos głowę zwiesił w wielkiej trosce, Bo ani grosza niema w sakwie pustej: Zgłodniały idzie do szlachtuza, choćby Wątrobę dostać, wypatruje chytrze.

Byk tam był dziki, związany za rogi, A właśnie masarz go zamierzał zabić. Nagle podskoczył byk, zerwał powrozy: Ujrzał to Miklos, za bykiem wybiega.

Szybko dopędza go, za ogon chwyta, Za ogon dzierząc do szlachtuza wlecze. Kto zaś to widział, dziw mu niesłychany. Wtedy wątroby dostał Miklos wiele.

Potem, gdy Miklos przeniósł się do Budy, Tam u masarza też gorliwie służy: Nieraz sam jeden dźwigał ćwierci wołu; Więc masarz chętnie trzymał go u siebie.

Przybył na parę dni do kuchni króla, A György'a wtedy na dworze nie było. By się wyżywić Miklos w kuchni służy — Naczynia brudne po uczcie przemywa.

Więc go po wodę nad Dunaj posłano — On lekko dźwiga dwa mosiężne wiadra — I pełne wody w dwóch rękach odnosi. Moc jego wielką podziwiają wszyscy.

Gdy urządzano igrzyska rycerskie, Młody król Ludwik często na nie patrzył. Ukradkiem z kuchni Miklos tam przybiega: Dwa razy więcej rzutów robił, niżli

Inni rycerze. Król się pyta: Kto to? „György'a Toldiego — mówią — brat rodzony, Za mężobójstwo z domu precz wygnany“. Król Mikołaja zaraz ułaskawił.

I tak rozkaże: Niechaj list napiszą. „Sługo mój wierny, piszą — György'u Toldi — Łaska niech będzie dla młodszego brata: Gdybyś go skrzywdził, zaszkodziłbyś sobie.“

György list królewski otrzymał i czyta. Gani i łaje i przeklina brata, Ale dwa konie jednak mu darował, Poczem do służby go bierze u siebie.

Miklos więc we dwa konie w drogę rusza. Matka się zżali nad swoim Miklosem I sto dukatów wpiecze w ciasto pszenne: O czem jedynie wiedział sługa wierny.

Matka wiernemu nakazuje słudze: „Gdyby Mikołaj Toldi był w potrzebie, Wtedy podajcie mu to ciasto pszenne: A jego wnętrze potrzebę nasyci.

Gdy witeż Toldi znów przybył do Budy, Były igrzyska na dworze Ludwika. Czech tam był zasię, wojak zadzierzysty, I wszystkich w walce zadzierzyscie zwałi.

Dwóch męnych synów pewnej zacnej [wdowy Zabił — i wielki płacz był z tej przyczyny. Gorzko płakała matka nieszczęśliwa.

Zrozumiał Miklos tych jej też przyczynę. Tak nad niewiasty lituje się płaczem, Mówiąc, by żalność swoją powstrzymała.

I wnet Czechowi posyła swe pióro, *) Albowiem szczęścia pragnie z nim spróbować.

*) Powóz — dyszel osobliwy u wozów siana — w oryg. *nyomatató rud* — po niem. *Heubbaum*.

*) Symboliczne wyzwanie do walki na śmierć.

Gdy się zaś obaj tą chęcią rozpalą,
Mkną we dwóch czólnach na wyspę Dunajską—
Tłum niezliczony nad brzegiem Dunaju
Widział, jak obaj wchodzili na wyspę.

A kiedy Toldi dopłynął do brzegu —
Mężnie z swej łodzi krwawy miecz wyciąga—
I łódź swobodnie puszcza wprost na wodę —
Aż go zapyta Czech: z jakiej przyczyny?

— „Znasz dostatecznie—powiada—człowieka,
Co czólnem płynie po fali — idź za nim:
Jeden — wiedz o tem — z nas tu zginąć
[musi —

Zaś umarłemu statek niepotrzebny.

Więc Miklos sercem poleca się Bogu —
I z mężnym Czechem mierzy się spojrzeniem,
Strasznem natarciem znużył go, osłabił,
Aż jeło trzeszczeć mocne ciało Czecha.

Cudowna była siła Mikołaja.
Aż pęka ciało Czecha w jego dłoniach.
Czech spojrział — zadrżał cały z przerażenia:
Miklos obalił czecha na kolana.

Mocno się cofa w tył Czech i powiada:
„O nie przyśpieszaj, synu, mojej śmierci.
Wszystkie bogactwa dwunastu rycerzy
Twojami będą — ja ci będę paziem!

Nie słucha serce dobrego Miklosa.
Miecz jego w gnieniu zetnie głowę Czecha—
Głowę i trzody wnet oddaje wdowie —
Tak koł smutek tej pani w żalobie.

Gdy o tym czynie dowiedział się Ludwik,
Podziwia mężstwo i siłę Toldiego —
Natychmiast czyni go dowódcą swoim
I żołą wyznacza na dwanaście koni.

(A. L.)

W I E K X V I

Pieśń o Świętym Stefanie

Gdzie ty jesteś, o Madziarów
Gwiazdo promieniąca —
Ty coś naszą jest podporą —
Wciąż od lat tysiąca?

Gdzieżeś, królu nasz, Stefanie?
Madziar na twym grobie —
Śni o tobie, w czarnych szatach
Płacze wciąż po tobie.

A gdy ciebie przypomina,
Łzawi mu się dola;
Wielkim smutkiem mu się rosza
Wkrąg posępne pola.

Niepokojem tchną znużone
Rycerskie szablce;
Nie utulą się posępne
Od płaczu żrenice.

Była niby ogród kwiatów
Panonja złocista;
Polewała nam go wiernie
Marja Panna czysta.

Święty Stefan w tym ogrodzie
Był za ogrodnika;
Ale szczęście w tej krainie
Coraz w cieniach znika.

Przed obliczem twem na klęczkach
Twe nieszczęsne syny
Błagają cię: bądź ochroną
Węgierskiej krainy.

Spójrz, o królu nasz, Stefanie,
Na twą smutną ziemię:
Zwróć twe oczy na twe dawne,
Na królewskie plemię.

Tys bo naszą jest nadzieją —
Wraz z Marją Dziewicą —
Co króluje nam od wieków
Nad Węgier ziemią.

Ty nas, żywy jeszcze będąc,
Łaskom jej zlecałeś —
Jej wraz z świętą swą koroną
Nas ofiarowałeś.

(A. L.)

Pieśń o Najświętszej Pannie

O Święta Bogarodzico,
Ty nasza orędownico,
W nędzy padłszy na kolana,
Łka ci ta ziemia znękana:

Choć w grzechów wielkich toniem dziś
[otchłani,

Nie zapominaj biednych Węgier, Pani.

O matko, otwórz niebiosy
Na nasze rozpaczne głosy.
Twój płaszcz matczyzny niech chroni
Ziemię naszą od klęsk toni.

Choć w grzechów wielkich toniem dziś
[otchłani,

Nie zapominaj biednych Węgier, Pani.

Rzuć miłosierne wejrzenia
Na los naszego plemienia.
Błogosławieństwo swych darów
Ześlij na ziemię Madziarów.

Choć i t. d.
Żalą się pełne tęsknoty
Serca nasze jak sieroty.
Nad tą ojczyzną zniszczoną
Płacze owdowiałe łono.

Choć i t. d.
Od naszej ziemi męczeńskiej
Odpędz niezliczone klęski,
W których mrze ojczyzna sławna,
A z nią całość, jedność dawna.

Choć i t. d.
O matko, naród węgierski —
Wyzwól z zarazy kacerskiej

I ulecz z grzesznej niewiary,
Słodką patronko, Madziary!
Choć i t. d.
By cię — jako Matkę Bożą —
Jak dawniej zwali swą zorzą:
Byśmy cię, jak zawsze, czcili —
Jako najświętszą sławili.

Choć i t. d.
Święty Stefan naszą ziemię
Dał ci; wraz z nią nasze plemię.
I święty Władysław w grobie,
Matko, poruczył nas Tobie.

Choć i t. d.
Nieskończona nasza wina,
Matko, wobec Twego Syna.
Bądź litosna! My się kajem.
Wrócim do Cię: grzech wyznajem.

Choć i t. d. (A. L.)

Tinódi Szebeszyen

(1505–1556)

Śmierć Szondiego na zamku Drégel

(1552)

Przez dni piętnaście popasali na łąkach,
A potem ze starej Budy rażno wyruszyli,
Sandzaki, wojewody i beje razem się zebrali,
Mając dwanaście tysięcy ludzi i liczne armaty.

Mądry był w swych czynach dzielny Ali
[basza,

Pod zamkiem Drégel tabor swój rozkłada,
Szykuje armaty, by zamek bombardować.
Dość mu czterech armat i sześciu haubic.

A tam dzielny rycerz Jerzy Szondi bronić
[się zamierza.

Towarzyszem jego był Grzegorz Békefalusi,
Lecz właśnie wtedy do domu był się wyprosił
I do obleganych dostać się już nie mógł.

Rozpoczyna basza bombardować zamek
Drégel,

Tam oto rozwalił piękną wysoką wieżę,
Tam stracił Szondi swego wiernego sługę—
Pocziwy Jan Zoltai ginie pod tą wieżą.

Silny szturm pierwszy przypuścił basza,
Tam mnóstwo Turków stracił, a sam nie wiele
[zyskał;

A to dzięki bohaterstwu Jerzego Szondi:
Ów chce tu zginąć, tak już postanowił.

A tymczasem mury zamku, wróg bombar-
[duje strasznie.
Prosi go basza przez księdza z Oroszfalu:

By zamek poddał, sam siebie nie gubił.
„Zapóźno na to” — odpowiedział Szondi.

Jeńców ma dużo, dwóch do siebie wzywa;
Dwuch paziów-śpiewaków przed sobą stawia.
I przed nimi testament swój wypowiada;
Dwuch paziów poleca Ali baszy

I prosi bardzo jego wielmożność baszę,
By dzielności uczył tych dwóch jego paziów
I niech godnie pochowa Jerzego Szondi,
Gdyż tutaj zobaczą jego śmierć straszliwą.

I szybko wszystkich czterech w szkarłatą
[przystraja

I pieniędzmi napełnia torby przy kulbace,
I tak pięknie przystrojonych śle do Ali baszy;
I całe mienie swoje przed bramą układa.

I pali wszystko, niszczy; do stajni idzie
I tam swe piękne wierzchowce ostrym szyle-
[tem zabija.

I duszę Bogu poleca, modli się.
Potężny, wielki szturm rozpoczyna Ali basza.

Wielka, wspaniała dzida w dłoni Szondiego,
On — ranny już, na kolanach, a walczy nią
[jeszcze,

Zastrzelili go tam pod zburzoną wieżą,

A głowę jego z zamku zrzucili.
I już w rękach baszy piękny zamek Drégel.

Ciało Szondiego do baszy przynoszą,
On głowy każe szukać, do ciała przylącza,
I jako dzielnego bohatera pięknie chować
[każe.

I chwailł dzielność Szondiego —
Nad grobem jego kopię wetknąć kazał.
A potem do Sąg i Gyarmat odszedł basza.
(Zofja Nanassy-Grużewska)

Balassi Balint

(1551–1594)

Balassi jest to Kochanowski poezji węgierskiej. Stworzył on język, rytmikę, prozodję, strofy różnego rodzaju. Zwłaszcza zaś strofa załączona tu pieśni znana jest pod nazwą „strofy Balassiego”.

Pieśń żołnierska

na chwałę rycerzy Kresowych

(In laudem confinium)

Cóż piękniejszego, rycerze,
Na ziemi tej, mówcie szczerze,
Nizeli służba kresowa?
Tam na kresach w ciepłą wiosnę
Śpiewają ptaki radosne,
A z nimi ciżba wioskowa.
Pole tam cudną ma woń,
Niebo srebrzy rosą błoń —
I wszystko czarem się snowa.

A gdy bojowy grzmi róg,
Że oto zbliża się wróg:
Duch się w rycerzach wnet pali.
Lecz nawet bez rogu wrzawy,
Dla rozkoszy, dla zabawy
Rycerz sam do boju wali!
Łamią wroga nasze miecze,
Choć nieraz i nam krew ciecze
Z ran — od twardej wroga stali.

Drżą chorągwiane szkarłaty,
Dzwonią kopije, bułaty:
Serce uderza w junakach.
Szereg za szeregiem płynie,
Hen po dalekiej równinie
Pędzą na dzielnych rumakach,
W deljach, na lamparcich siodłach,
W lśniących hełmach, barwnych godłach,
Z pióropuszem na szyszakach.

Saraceńskie dzielne konie
Skaczą pod nimi przez błonie.
Skoro dźwięk trąby zazgrzyta —
Jeden rycerz trwa na straży —
Drugi z konia zszedł — i marzy
We śnie — ległszy aż zaświta —
Tam, gdzie z losu bitwy mrok
Każe mu zatrzymać krok: —
Wszyscy walczyli do syta!

Ci zaś dla sławy, honoru —
Rzucą wszystkie blaski dworu,
Zaniechają wszystkich rzeczy.
Przykładem są dla ludzkości,
Prawdziwy wzór rycerskości
Dają wszystkim: któż zaprzeczy,
Gdy — niby lotne sokoły —
Mkną przez bojowe rozdoły
W grzmocie surm i szczęku mieczy?

Gdy ujżą nieprzyjaciela
Krzykiem pierś ich w niebo strzela —
Włóćni wzniesieniem się cieszą:
A im trudniejsza jest sprawa,
Tem miłsza dla nich zabawa —
Że i niewezwani spieszą.
Strumień krwi nieraz się toczy,
Gdy tak walczą oczy w oczy
Z wrogów zaciekłych złą rzeszą.

Szerokich stepów przestwory —
I ciemne zielone bory —
To ich wędrowne namioty.
Popasy na obcych drogach,
Ogniska w krwawych rozłogach:
To junakom szkoła cnoty.
W czasie bitwy ostre głody.
Znużenie, skwary, brak wody:
To ich zabawy, pustoty!

Szable ich ostre i dzielne —
Lśnią jak pochodnie weselne,
Gdy ścinają wraży łeb;
A gdzie się toczył na łanach
Bój — tam dziś we krwi i w ranach —
W cmentarz zamienił się step.
Trupom wicher śpiewa szumny;
Sępów jelita — to trumny
Zmarłych, bo ptakom to lep.

Kresów obrońcy szlachetni,
Młodzi wojownicy świetni,
O wici ty chwały godna!
Wszystkim wam śród ludzkich gminów
Cześć za męstwo waszych czynów —

Cześć zakwitnie niezawodna.
Niech na bitew waszych pola
Złota spływa dla was dola,
Którą dłófi Boga śle płodna.

(A. L.)

Félegyházi Tomasz

(1586)

Jeden z głównych przywódców reformacji na W. — i najlepszy pisarz protestancki.

O poznaniu Boga i ludzi

Jaka jest nawiększa mądrość człowiecza?

Poznanie Boga i siebie samego.

Ile jest rodzajów poznania Boga?

Dwojakie: jedno pospolite, drugie zbawcze.

Jakie jest poznanie Boga pospolite?

Rozum pomieszczony w mózgu człowieka z praw natury i stworzenia świata wykazuje, iż Bóg jest mądry, sprawiedliwy i godzien wszelakiego poszanowania.

Jakież jest poznanie Boga zbawcze?

Z boskiej woli objawionej w Chrystusie prawdziwe zrozumienie słowa i z oświecenia Ducha św., aby przez to wierni uzyskali wieczyste życie, jak to Bóg powiedział: „Kto chwali mnie, niech tem się chwali, iż mnie zna i rozumie!”

Na czym polega poznanie człowieka?

Na zrozumieniu jego czworakiego stanu. Jest to *po pierwsze*: pierwotna natura, w której człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo boskie dla świętości i sprawiedliwości; *po drugie*: stan upadku, w którym został wyzuty ze wszystkich darów duchowych i stał się synem gniewu bożego; *po trzecie*: nowe przetworzenie, dzięki któremu wierni będą przez Chrystusa odbudowani (duchow) mocą słowa i Ducha św., odradzając się na życie wieczne; *po czwarte*: uzyskanie przyszłej doskonałości po zmartwychwstaniu ciała.

Z czego można poznać Boga i człowieka?

Z Pisma Świętego.

(Zofja Nanassy-Grużewska)

WIEK XVII

Zrinyi Miklos

(1616—1664)

Zrinyiada

(Fragment z Pieśni XIII)

Autor poematu, wzorem Tassa, choć stroją odmienną — opiewa bohaterską obronę zamku Szigetvár przez Mikołaja Zriny'ego przeciw Turkom — oraz jego śmierć wraz z załogą zamku w r. 1566. Poeta, zwyczajem owoczesnym, połączył swą opowieść z fantazją i mitologją. Epos zaczyna się w ten sposób, że Bóg spójrzawszy na ziemię, widzi Węgry, pogrążone w grzechu, odpadłe od wiary prawdziwej i kłaniające się bałwanom. Spuszcza więc Bóg na Węgry potęgę turecką — i karze naród dopóty, dopóki ten nie powróci do swego Boga. Z rozkazu Boga sułtan Sulejman idzie z olbrzymią armją przeciw Węgrom. Zrinyi, komendant Sziget-váru, słysząc o tem — modlitwą przygotowuje się do walki i siebie składa na ofiarę, aby tylko Chrześcijaństwo zostało ocalone. Trwa długie oblężenie i liczne bitwy pod murami miasta, przyczem autor po-

daje rozmaite epizody wojenne, z wielką fantazją skomponowane. W ostatniej bitwie Zrinyi zabija sułtana, ale sam też ginie pod nawałą jego wiernych wojowników. — Tak bohaterska śmierć Zriny'ego ocaliła naród węgierski od zagłady. — Mikołaj Zrinyi, autor eposu, był prawnikiem bohatera Mikołaja Zriny'ego.

Uwaga 1. Poemat nosi dzisiaj tytuł: *Zrinyiada*. Jednakże pierwotnie autor nazwał go *Syrena Morza Adrjatyckiego*; dlaczego, nie da się to niczem wyjaśnić, i z tego powodu tytuł ów zarzucono. Brat Mikołaja, Piotr Zrinyjski-Zrinyi, przełożył epos madziarskie *Zrinyiada* na język chorwacki, pod tytułem właśnie: *Syrena Morza Adrjatyckiego*.

Uwaga 2. Dajemy tu epizod o żonie Deli Vida. Deli właściwie znaczy piękny, dworny.

Deli Vid nieraz walczył z Bisurmany,
Lecz go śmiertelne nie trafiały rany.
Śmierć niejednego wkoło w cień swój pędzi,
Jego nie może znaleźć, mija, szczędzi.

Tak krąży między Turczynów tysiącem.
Wielu go znało, wždy jakimś rażącym
Światłem żrenice Pan Bóg im zamroczy,
Że obcym sądzą go oślepe oczy.

Lecz mu wyroczna też bije godzina.
Ha, czy się przedza jego dni przecina?
Chce teraz pełen rycerskiej ochoty
Pomiędzy Turków dostać się namioty.

Taką drga żądzą to nieustraszone
Serce. Lecz Deli Vid ma piękną żonę.
Rzadko się iście zdarzy tak niezmierna
Piękność — a przytem niewiasta tak wierna.

Turczynką była z rodu. Vid przemocą
Z łun bitwy porwał ją gdzieś kiedyś nocą.
Haissą była za tureckiej wiary,
A po chrzcie świętym imię ma Barbary.

O drogim mężu ciągle myśli trwożnie,
Łzami zalewa swej pościeli próżnię.
Lecz duch rycerski jej serce rozpała:
Niedługo w skargach i łzach się użala!

Wielka do męża tęskność ją rozpiera:
Więc kruche ciało w twardy spiż ubiera;
Toż miecz u boku przypasze mężowski,
Zastoną główkę okrywa i włoski.

Ramię oparłszy na mocnym oszczepie,
Dziarsko na tęgim zasiądzie parepie.
Mknie w obóz. Szata na niej jest turecka.
Mowę zaś Turków dobrze zna od dziecka.

Obiega w koło. Czujny wzrok wyteża
I w każdym kącie szuka swego męża.
Aż w innej stronie, opodal od środka —
Maura olbrzyma na koniu napotka.

Próżno koń cwałem chciałby nieść olbrzyma,
Gdyż jego ciężar ledwo że wytrzyma.
Widząc ten pośpiech, żona Deli Vida
Myśli: „wybadać go może się przyda!”

Rzecz do niego: „wstrzymaj klusy ręce —
Dokąd i jaką wieść ty niesiesz, gończe?”
„Niechciej mię swoją ciekawością dręczyć.
Cesarz mi pewnie zechce się odwzściżyć,

Bowiem mu wielką nowinę przynoszę.
Więc nie zatrzymuj mię na drodze, proszę.”
„Wierz mi, załować ty nie będziesz. Dary
Zyskasz, a żadnej nie lękaj się kary.”

I zwolna wszystko rzecze Maur zdra-
[dziecki.
„Vid tu w pobliżu śpi w szacie tureckiej”.
Ledwie poganin imię Vida powie,
Myśli w kobiecej zakotłują głowie.

Trwożna, że Maur swoją wieść wygada,
Rzuci się, w trzech go podskokach dopada.
Oszczepem z siodła strąci go daleko,
Głowę odrąbie, aż krew płynie rzeką —

I znowu skoczy na dzielnego konia,
Lecz już ją ściga turecka pogonia.
Słyszy za sobą krzyk dziki i srogi.
Ach, nie dość szybkie są jej konia nogi.

Jakiś potężny cios pogańskiej ręki
Z konia na piasek ją obali mięki.
„Kto jesteś? — krzyczą do niej całą zgrają. —
Czemu zabiłaś Maura?” — tak pytają.

W jakimż ma biedna rzecz wyjaśnić
[słowie?

„Jest z Alkairu — tak im wreszcie powie. —
Ten Maur niegdyś brata mego zabił.
Zemstę przysięgłam. Dziś mi los go zwabił”.

Szybko znalazła śród tłumu obrońce,
Wszystkich zwycięża jej piękności słońce.
Ten mówi: słusznie. Ów przed sędzię wzywa.
Vid był w pobliżu zgiełku. Z snu się zrywa.

Na Karabula szybkobiega wsiada —
I wprost tam jedzie, gdzie wrzeszczy gro-
[mada.

Gdy bliżej stanie, widzi: żona droga!
Słyszy, żałośnie skarży się nieboga.

Mało mu serce od grozy nie pęknie,
Lecz zdala woła już mądrze i pięknie:
„Stójcie! niewolnik to mój, dzielne mężu,
Który mi konia ukradł i oręże!

„Szukam go wszędy w obozowym gwarze,
Dajcie mi w ręce go — ja go ukarzę!”
Tymczasem przybył na to jeden kady.
„Dowody na to muszą być i zwiady.

Niechaj przed sędzią zjawi się, człowiecze,
A ten istotę twoich praw orzecze!”

Deli Vid krzyknie gniewem zapalony:
„Ha, psy pogańskie! Cóż mi sąd wasz

[płony?

W szabli me prawo. Jej niechaj świat
[słucha!”

To rzekłszy, wali przez szyję Malkucha.
Ginie Izmael, z nim razem Ahuba.
Głowa kadego odpada z kadłuba.

Piersią Abazy ulatuje dusza,
Padł Jankul martwy i okiem nie rusza.
Ale Ejuza jeszcze dłoń zuchwała
Trzyma kobietę. Vid go tnie w pól ciała.

Chwyta kochankę — sadza na deresza —
Pościg rwie za nim — on jak wiatr pośpiesza.
A jak na wodzie nie znać śladu ptaka —
Jak miga w oku grot, rzucon z sajdaka —

Tak ci Karabul przejdzie morskie fale,
Kropki zaś na nim nie obaczysz cale.

Gdy widzą Turcy, jak z piękną kobietą
Rycerz galopem pędzi do Szigetü,

Poznali Vida. Ten — ów za nim gna,
Ale im zniknął, jako senna mgła.

Radośnie przyjął rycerza w Szigecie
Zrinyi, bo sądził go na tamtym świecie.

Co zaś w obozie u Turków się czyni,
Vid wszystko prawi i słucha go Zrinyi.

(A. L.)

Gyöngyösi István

(1625–1704)

O Wenus murańskiej westchnienia Wesselényi'ego

Uwaga. Franciszek Wesselényi był palatynem Węgier w połowie XVII wieku. Kochał on hrabinę Marię Széchy (Seczi), słynną w swoim czasie piękną, którą nazywano Wenus murańską — od jej zamku Murány. — Maria Széchy w czasie rewolucji ówczesnej broniła zamku Murány przeciw stronnikom Habsburgów, na czele których stał Wesselényi. Palatynowi udało się otrzymać rękę Marii Széchy i zarazem opanować zamek Murány.

Marcin Kádas wesoło idzie z dukatami,
Niesie zapieczętowany list z zegarkiem.
Smuci się Franciszek, że się z nim rozstał;
Serce szlocha w tajemnicy łzami westchnień.

Zazdrości Kádasowi idącemu w stronę
[Murány'u;

I gdyby znalazł sposób, by to zmienić —
Poselstwa tego nie odstąpił by innemu
I sam by się zalecał do Pallady murańskiej.

Mówi: Jakże szczęśliwe były wróżki!
Jeżeli nie było innego sposobu dla ich miłości,
Zmieniać potrafiły kształty swego ciała,
Oszukując serce wszystkich zazdrosnych!

Zaiste miłość — zawód to niebezpieczny,
Na którego drodze i śmierć nieraz stoi,
Kto jednakże umie tak często się zmieniać
Znajdzie sposoby ukrycia swych tajemnic.

Nie życzyłbym sobie mocy dla mego ciała:
Niechby tylko dozwolone mi było w mojem
[życiu,

Bym drobną postać słabej jaskółki
Mógł przybrać i polecieć drogą do mego
[szczęścia.

Z jaskółkami murańskimi tam i jabym
[latał,

I w domu mojej pani miejsce wreszcie
[znalazł.

Przed jutrenką czerwoną ze snu bym się
[zrywał

I z radością czatowałbym na najmniejszą
[sposobność.

Nie pragnąłbym dla siebie słodkiego miodu
[z Hybli,

Ani nęcącego napoju ambrozji,
Czekałbym tylko, aż wyleje wodę od mycia,
W której swą piękną twarz i ręce myła.

Tam bym z pośpiechem podążał,
Zmęczone skrzydła w niej bym wykapał.
Kruszyny błota na drobne me nóżki bym

[zbierał

I przy jej drzwiach ulepiłbym z nich gniazdko.

I dalej czatowałbym koło jej sypialni,
Czekałbym na chwilę odpowiednią,
I jako jaskółka tak długo bym latał,
Dopóki bym nie znalazł kilku jej włosów,

I wyścieliłbym niemi sieroce me gniazdko,
Ciało moje słodko by na nich wypoczywało.
Nie czekałbym brzasku — podniosłbym oczy
I świt bym rozpoczął słodkiem pieniem.

I póty bym długo trzymał gardło swoje,
Póki bym nie poczuł, żem wielce zmęczony
I już nie wydobędę głosu z gardła,
Aż padłbym u jej stóp z omdlewającymi
[członkami.

A możeby wtedy właśnie wyszła ze swego
[domu,

Ponieważ zaś szkody uczyniłbym jej nie mógł,
[nie byłaby okrutną;

Złitowałaby się może nad strudzeniem mojem
[i podniosłaby,

I do chłodnej celi wzięła, bym odetchnął.

Tak bym to ja uczynił, gdybym był tam
[poszedł,

He, skoro przybędzie tam mój poseł —

Pani moja, wspominając o mnie,
Jeżeli mnie kocha prawdziwie, wiem, że

[westchnie

I o tem będzie myślała, żeby być razem

[ze mną.

A tymczasem jaskółka zmęczona odżyłaby

[wtedy:

Zrzuciłbym z siebie przybraną postać

I tem, czem jestem obecnie, stałbym się

[znowu,

Jak feniks z popiołów w nowe szedłbym
 [życie,
 Lecz teraz to niemożliwe! trzeba czekać
 [chwil!

Już wiatry pędzą dalej łódź moją
 I przybyłem ze szczytów gór na niziny,
 A lata moje przemijają szybko wśród mgły
 [i deszczu.
(Zofja Nanassy-Grużewska)

Pázmány Peter

(1570 — 1637)

Hazanie

*Czemu Bóg doświadczają wiernych na ziemi a nieprzyjaciółom swoim często łaskę okazuje?
 (Na drugą niedzielę adwentu)*

Ażebyśmy lepiej zrozumieli, dlaczego to Bóg nędzą doświadczają sprawiedliwych na tej ziemi, przypomnijmy sobie, że niema takiego człowieka, któryby wiele i często nie grzeszył przeciw Bogu. Jeżeli zaś mówimy, żeśmy bez grzechu — kłamiemy, tak powiedział św. Jan. Ale, przytem niema na świecie takiego zielska, z którego nie byłoby jakiegoś pożytku; niema więc tak złego człowieka, któryby nie uczynił w swym życiu coś dobrego. A sprawiedliwość boska nie pozostawia bez zapłaty ani złych, ani dobrych uczynków. Ponieważ zaś potępieniem nie chce karać sprawiedliwych, a wiecznym szczęściem nagradzać grzesznych i zgubionych, na tym świecie doświadczają sprawiedliwych za grzechy. Ponieważ każde nie-szczęście na ziemi więcej waży, niż grzech; jakkolwiek by nas Bóg doświadcział, nikogo nie karze ponad jego winy i nikt nie ma prawa skarżyć się na Niego, gdyż tyle cierpi, na ile zasługuje.

Bezbożni i źli ludzie czynią nieraz wiele dobrego, chociaż dobro to jest tylko powierzchowne, ale i za to będzie im zapłacone dobrobytem na ziemi. A dalej ułomność nasza łatwo wciągnąć nas może w dobro doczesne i wpadniemy w nie, jak muchla w lep. I prędko oderwą nas od służby Bożej: bogactwo, pycha i rozkosz.

I dlatego Bóg otacza nas troskliwością iście ojcowską, postępuje miłosiernie z nami, chce nam bowiem obrzydzić znikome dobra ziemskie, abyśmy przez te pokusy nie stracili szczęścia wiecznego. Nie dopuszcza więc, abyśmy zanadto używali szczęścia doczesnego, ale miesza je nam z goryczą, by tym sposobem oddalić od nas pokusy. Prawdę bowiem pisze Seneka: gdybyśmy żyli tylko dla rozkoszy i nic by nam nie uprzytomniało naszego zepsucia, upijalibyśmy się szczęściem ziemskim.

Czy przypatrywaliście się kiedy, co czyni

troskliwa matka z niemowlęciem — ukocha niem swem dzieckiem? uważa, że o ile karmi dziecko samem mlekiem i nie odżywia go stałymi pokarmami: to dziecko stanie się słabe, bezsilne, do energicznej pracy niezdolne i prędko zmarnieje. I dlatego też pomimo, iż dziecko tylko lubi słodkie mleko, by uczynić je zdrowem i by miało chęć do życia używa takich pełnych miłości oszukaństw, iż piersi swoje smaruje gorzkim piołunem, lub aloesem. I gdy dziecko weźmie je do ust, byssać słodkie mleko, gorycz straszliwa je odzwyczai rychło od ssania i zmuszone będzie nawykąć do pokarmów stałych, od których wciąż wzmacniać się będzie.

I Bóg nie chce, by jego dzieci wychowywały się w rozkoszach świata, znikome i słabe; gdyż nie jest to odpowiedni pokarm do pracy ku zdobyciu doskonałości duchowej — lecz je przyzwyczajają do twardych — siłę i moc dających pokarmów, aby potem na stare lata pożywiać się mogli niebiańską szczęśliwością to jest: duchowemi, niebiańskimi i boskimi cnotami.

I dlatego to zaprawia nam Bóg to życie na ziemi gorzką żółcią, niedostatkiem, stratami; nędzą i wielu chorobami doświadczają i przez takie gorycze zapoznaje nas i obrzydza nam dobro doczesne.

W okresie niemowlęcym długo nie pozostajemy, a i na ziemi niedługo żyjemy: i trzeba nam iść do nieba. Dlatego też powinniśmy przyzwyczajać się do tego, czem się tam odżywiać będziemy, by móc rozkoszować się szczęściem wiecznym. Żłudne bowiem są dobra doczesne, jako przynęta na haczyku, na który łapie się wesołe rybki, i dopóki rybak nie szarpnie wędka, dobrze im jest, a później dopiero przychodzi rozczarowanie.

Mądrzy ojcowie, pomimo, iż na psoty obcych dzieci patrzą z uśmiechem pobłażania i słuchają wesoło ich swawolnego szczebiotu:

swoich własnych synów trzymają w karności i zwracają uwagę na ich błąd najmniejszy. I czy miałyby rację syn tak wychowywany skarżyć się, iż jego ojciec mniej go kocha od najemnego? Więcej powiem: gdy jakiś ojciec odda w ręce marnotrawnego syna spadek i pozwoli mu, by swobodnie i wedle woli używał wszelakiego dobra; czy drugi syn ma prawo narzekać, że nie ma takiej swobody, a dobra jego pozostały pod opieką ojca?

W obozie podczas najstraszniejszej burzy żołnierz ranny z obwiązaną głową stoi na warcie i czuwa — on bohaterski rycerz! a trutnie pasibrzuchy odpoczywają wtedy, śpią spokojnie po miastach. Panowie radni trzudzą się, pracują w pocie czoła, gdy tymczasem hulaki i oczajdusze piją po karczmach i bawią się rozpustnie.

Na polu walki, gdzie najcięższy i najniebez-

piecniejszy wre bój, generał posyła najodważniejszych i najzaufańszych bohaterów, by nieprzyjaciela pobili i odrzucili z pola walki, i czy którykolwiek z nich skarży się kiedy, że dowódca nie szanuje go, iż rzuca go w wilcze doły i pcha tam, gdzie najniebezpieczniej?

Przeciwnie, każdy z nich dumny jest i chwali się tem właśnie, iż przełożony jego, uznaje w nim człowieka i tam, gdzie takiego potrzeba, jego wysyła i nim się posługuje. A ponieważ my jesteśmy prawdziwymi synami bożymi i tak wyprobowanymi i wiernymi rycerzami, czemuż dziwimy się, iż Bóg nas surowo wychowuje i tych, którym najbardziej ufa, wysyła tam, gdzie walka — najgorętsza?

(Zofja Nanassy-Gruźewska)

Uwaga. Pázmány Peter jest to węgierski Skarga. Również jezuita i odrodziciel katolicyzmu w swym kraju. Mówca znakomity.

Apacai Cseri János

(1625 — 1660)

Z „Encyklopedji Węgierskiej“

Rada dla młodzieńca, który przy nauce ducha traci

(Dialog między Joachimem Fortiusem i uczniem)

FORTIUS. Jeżeli zaczniesz jaką pracę, a początkowo nie widać rezultatu, nie wpadaj w rozpacz. Wiesz, że młodzieniec wytrwały i dzielny, jeżeli chce się dostać na szczyt wysokiej i spadzistej góry, w razie upadku — z tem większą siłą, powstawszy — na wierzchołek się wdziera. Kiedy Aleksander Wielki przybył pod górę, na której się schroniło kilku książąt — wysłał do nich posłów, których owi panowie pytali drwiąco, czy Aleksander umie latać? Król obrażony taką odpowiedzią, z temi słowy zwrócił się do swoich rycerzy: „Niema w przyrodzie takiej wysokości, do której nie byłaby w stanie dosięgnąć dzielność (*virtus*), jeżeli tego mocno pragnie.“ Potem obiecał dziesięć talentów temu, który pierwszy do szczytu góry dotrze; drugiemu — dziewięć, trzeciemu — ośm, czwartemu — siedm i t. d. — i który w niedługim czasie szczyt góry opanuje. Nie upadaj więc na duchu, jeżeli nie odrazu widzisz rezultaty swojej pracy, bo i cień zegara słonecznego dopiero wtedy spostrzeżesz, kiedy już się posunął nieco naprzód; nie widać też, jak

trawa rośnie, ale że urosła — to widać. Młode niedźwiedzie dopiero po sześciu miesiącach zaczynają chodzić; przez dwa miesiące nawet poruszać się nie potrafią. Podobnie i wielkie sprawy ciężko się rodzą — i naodwrot kwiaty, co prędko wybują — szybko więdną.

UCZEŃ. Idźmy dalej, jeżeli taka wasza wola.

FORTIUS. Nie dąż do bogactwa.

UCZEŃ. Ale ludzie uważają ubóstwo za największą przeszkodę w nauce.

FORTIUS. A ja właśnie powiadam, że nie masz lepszej zachęty do pilnej nauki jak ubóstwo, bo od najdawniejszych czasów było ono do niej bodźcem, jak to mądrze napisał Theokritos. Podobnie bowiem, jak ciało tłuste, leniwe, zaniedbane, bez wesołości i czerstwego ducha — nie jest zdrowe: tak znowu ubóstwo w niczem nie może ci być przeszkodą, jeżeli tylko myśl masz szlachetną i dzielne serce. Ciało i dobra światowe są znikome. Niema rzeczy rzadszej i większej, jak być bogatym i bardzo uczynym.

(Dr. Adorjan Divéky)

W I E K XVIII

Pieśni kuruców

Jest to szereg pieśni bezimiennych, które powstały na początku osiemnastego wieku, między r. 1703 a 1711 — w czasie insurekcji przeciw Habsburgom pod wodzą Emeryka Tököli'ego i Franciszka Rakoczi'ego.

Przeciwnicy Habsburgów nosili nazwę *kuruców* (t. j. kuruców), a przeważnie gnieździł się wśród t. zw. Szeklerów (*szekely* czyt. *sekelj*), t. j. pewnego odłamu ludności węgierskiej, zamieszkującego okolice górskie, mianowicie komitaty Csik, Haromszek i Torda-Maros, nad granicą Siedmiogrodu; zachowali wiele starych obyczajów i niezmiennie kochają swoje okolice; dawniej graniczyli z cesarstwem Turckiem i nieustannie walczyli z Turkami, rozwijając w sobie cnoty rycerskie. Liczą ich do 700.000.

Franciszek II Rakoczi był księciem Siedmiogrodzkim. Jego impreza wyzwolenia Węgier od panowania Habsburgów nie powiodła się i skończyła się pokojem w Szatmar-Neméti. Rakóczi schronił się naprzód do Polski, potem osiadł we Francji, wreszcie udał się do Stambułu, gdzie umarł.

Ocskai był jednym z jego generałów, ale go potem zdradził i przeszedł na stronę Habsburgów; mówiąc językiem ówczesnym, został *Labanczem*, który to wyraz oznacza zwolennika Niemców i Wiednia. Pochodzenie tego wyrazu *labancz* (czyt. *labanc*) niewiadome; niektórzy wyprowadzają go z niemieckiego *Laufhans* (Hans który zbiegł). Do dziś w okolicach Pozsony (Presburga), w Moson i Szopron — Węgrzy miejscowych Niemców zowią *Lafanczos* — co znaczy „kudłacz, perukarz, szwab“, gdyż dawniej nosili oni peruki.

(A. Divéky)

Pieśń Seklów czyli Seklerów o swej ziemi

Seklów kraj
Zieleń — raj!
Serce tam
I dom mam!
Istny cud —
Seklów lud.
Seklów krew —
Węgier krzew.

Mały świat,
Lecz jak sad:
Świeżo tam!
Śnieg tam — wierz —
Żar ma też:
Serce tam!

(A. L.)

Pieśń Rakoczi'ego

Hej, stary piękny węgierski szczepie,
Jakże cię horda wraża
Wyniszcza i znieważa!
Czyliż koniec twojej krzepie,
Rozpadający się czerepie?
Jak zdobny obraz żywy,
Tak byłeś urodziwy,
Węgierski szczepie!
Lecz w szponach orła, pełny trosk,
Topniejesz niby wosk,
Biedny węgierski szczepie!
Jakże ci moc zaszczipię,
Rozpadły ty czerepie!
Biadać — nieszczęsny węgierski szczepie —
Kiedyż ci los się uśmiechnie lepiej?
Hej, gdzie wy, Bercsenyi, Rakoczi *),
Węgierskie wy hetmany!
Hej, Bezeredi! Ochoczy
Duch wasz Madziarom sprzyja!
Wy, jego żywe oczy,
Gwiazdy, w których się odbija
Narodu blask świetlany!
Gdzież wy, jego twórcy i hercogi?
Gdzie Ocskai? Czyjaż chwała większa, czyja?
Dokoła wszędy wrogi.
Wróg naszą krew wypija —
Jako piekielna żmija,
Nie dopuszcza ich między nas —
O Węgry — blask wasz zgast —
Jak sen wasz żywot mija!

Biada, nieszczęsne nasze chaty,
Biada nam! Nad nami katy —
Oto marniejem —
Pod obcym, pod złodziejem —
Niewolnicy wtrąceni za kraty —
Oto dzień w dzień topniejem —
Łzy beznadziejne lejem —
Nic nie czekając — prócz straty!

*) Właściwie czytać należy Rakocy.

Naród krwiożerczy nad nami włada —
 Musimy ginąć, biada nam, biada.
 Jak zwalczyć Niemce-psubraty?
 Próżno krew naszą siejem.
 Wróg wszędy na nas czyha —
 Rozpacz nas w mogiłę spycha.
 Cóż nam? Jenó martwujem.
 Biada tej ziemi — biada nam —
 Biada potomnym!
 Biada wszystkim
 Naszym bliskim,
 Biada — ukrytym w mroku jam
 Zbiegom, nędzarzom bezdomnym!
 Ha, wdowy skarżą się płaczem ogromnym,
 Sieroty jęczą pod uciskiem
 I każdy woli sam
 Ku śmierci krokiem iść niezłomnym!
 Na cóż płkanie nad tem rumowiskiem
 Na co wzdychanie? W klęski pomnym
 Żal nie ustanie! Kto mówi: wrogów łam?
 W ojczyźnie naszej nędza zyskiem!
 Miecz nie odpędza jej swym błyskiem.
 Przeciw nam mieczów las,
 Niemiec wdarł się między nas —
 Nęka — grabi — truje studnie —
 A przedstawia się obłudnie:
 Grzeczny rycerz, strojny w pas.
 Naszego dworca
 Ten nieproszony dozorca —
 Kat, co obdziera wszystko z kras.
 Kogo sięgnie bije wraz,
 Aż dasz mu wszystko ze swego worca.
 To też patrz, jak się spaś —
 Mało że skóra na nim nie pęka —
 Lecz niemiłosierny zaborca
 Wciąż nęka, wciąż ci grabi jego ręka
 Do ostatniego zbóż korca!
 Wejrzyj na nas, Boże prawy,
 Broń nas od tej plugawej
 Hordy wrogów —
 Która Węgrów pełnych sławy
 Krwią się tuczy — u ich progów.
 I nie dopuść więcej
 By te wrogi, pełne pychy,
 By okrutne Niemcy
 Mogły nami poniewierać —
 I jako narzędzie udęczenia —
 Kazali nam umierać —
 Pozbawiali nas imienia —
 I by w gruzy strąciwszy nas krwawe —
 Wiecznie mogli nam odbierać
 Wszystką zwycięstwa sławę!

Pieśń o Władysławie Ocskaui

Kurucze, kurucze, hej biedni kurucze *),
 Słońce wam posępne zasłoniły tucze!
 Oj, dolo nieszczęsna! Straszna ta godzina
 Krwawo się toczyła po łąkach Trenczyna.
 Tysiące poległy w onej walce krwawej —
 Inni się zachwiali w wierności dla sprawy!
Labanczem *) już Ocska! Z kuruców gromady
 Niejeden go z żalem klnie dla owej zdrady!
 Niech go Bóg ukarze dla tej srogiej zdrady!
 Beleznai uparty i Javorka sprawny —
 Dzielny Bornemissa i Racz Miska sławny —
 Dłoń podali sobie i każdy przysięgnie:
 Ścigamy Ocskaia, aż go kres dosięgnie!
 Choćby przyszło zginąć — choćby iść na mary —
 Pomścimy się chytrze jego złej niewiary.
 Czy jesienne słoty — czy ciepłe dni Maja —
 Czyli zima śnieży: wciąż tropią Ocskaia!
 Beleznai łeb dwustu labanczów rozpląta —
 Tak ich na wieczkę wysłał do Piłata.
 Uganiał się za nim Bornemissa chwacki,
 Michał Racz po nocy stawia mu zasadzki.
 Śledził go Javorka z innymi kilkoma:
 Przebrany za chłopą zaskoczył go doma.
 — „Hej, Władziu Ocskaui — z hulanki oparu
 Zbudź się! My do ciebie przychodzim
 [z Ujvaru.
 Poddaj się nam, zdrajco! Zemścim się do syta!“
 Przebudził się Ocska, lecz za oręż chwytą.
 Broń mu z rąk wytrąca — w skroń go tną
 [ich miecze —
 Po obu policzkach krew czerwona ciecze.
 Do siodła na koniu więźnia przytroczyli
 Do Ujvaru cwałem pędzą jednej chwili.
 Gdy u bram stanęli, krzyczą strażę w mieście:
 — „Tu Ocskaia Władzia wieźcie — tu go
 [wieźcie!
 Oto się surowy zbiera sąd wojenny:
 Nad Ocskaiem wyrok wydać ma solenny.
 Jaki zaś wypadnie sąd o tym przeklętym,
 Niech pisarz czerwonym pisze atramentem.
 Na przykład dla świata łeb mu ściąć należy:
 Na bastjonie miejskim wbić na pal przy wieży.
 Niechaj widzą wszyscy, jak to łotr umiera —
 Zdrajca swej ojczyzny — sprawy przenie-
 [wiera!
 Na warcie pod wieżą bębny zahuczały,
 Na baszcie piszczałki głośno zaświszczwały.
 Każdy śpieszy na plac orężem przybrany —
 Idzie Ocska, idzie — zakuty w kajdany!

(A. L.)

*) *Kurucze* — właściwie należy wymawiać *kuruc*, tu jednakże ze względu na rym wymawiamy *kurucze*, jak po polsku. *Labancze* — patrz przedmowę.

A gdy go tak ujrzą rycerze spiskowi —
— „Śmierć—wołają gromko—śmierć mu —

[Ocskaiowi!]

Rychło spadł przez kata łeb toporem ścięty —
Ciało zaś rycerze rozsiekli na szczęty.

A głowę zatknęto na wysokim szczycie,
Na wysokiem polu, skąd Nyitrę widzicie.

Aż gromady czarne kruków nadleciały
I nad głową krążąc, tak ci jej krakały:
— „Szkoła cię, Ocskaiu — *kar, kar, kar* *) —

[szkarado,

Coś był wielkim wodzem, a splamił się zdradą!

Ale nam nie szkoda, zdrajco potępiony,
W oczach twych zatapiać ostre dzioby, szpony.

Niech dla świata Ocskai jako przykład słynie —
Kto popełnia zdradę — niech tak samo ginie!

Niech wiatr jego duszę pędzi wiecznie dalej —
Niech ją ogień piekieł wiekuisty pali!

Było to w dziesiątym roku **) pod Ujvarem!
Ulitiu się, Boże, nad biednym Madziarem.

(A. L.)

Orczy Lörincz

(1718 — 1789)

Czarda

Czardo, ***) guljaszów, czikoszów ****) go-
[spodo,

Much i komarów brzęcząca legionem
I zab tysiąca rozkwakana krzykiem!
Ty, ku zniszczeniu posiadaczy była
Wybudowane tu, gniazdo złodziejskie,
Mów, kto postawił cię na tej pustyni?
Tyś nie jest, czem się zdajesz być. Wędrowca
Nie przyhołubisz na swem łonie, chociaż
Tak do oberży podobnaś łudząco.
Czworo wilgotnych ścian, które się wałą,
Dach jakby niecka, burz wieczna igraszka:
Oto jest wszystko, czem się możesz chlubić.
Loch masz podziemny twardy, gdzie się kryje
Czerwonousty uwodziciel świata;
I zgniłe dwie oprawne w ramę kłody,
Do których goście przywiązują konie....

.....
Lecz gdy się niebo pokrywa tumanem,
Kiedy się ciężkich chmur zaczyna bitwa,
Gdy błyskawice lśnią i grzmoty huczą

*) *Kar* — naśladuje krakanie kruków, a jednocześnie
znaczy *szkoła*.

**) To jest w 1710 roku.

***)) Czarda (*csarda*) rodzaj schroniska na stepie
(puszcze).

****)) *Guljase* (*gulyas*) — pasterz bydła rogatego; *cziko-
sz* (*csikos*) — pasterz koni.

I gdy ulewa step przemienia w morze:
Wtedy ochotnie chronię się do czardy,
A ciasna izba starczy mi za pałac.
Na cóż mi jasne ściany marmurcwe —
Na co parkiety, świetne żyrandole,
Urny, wazon, chińskie filizanki,
Krzesła z kosztownych egzotycznych drzew?
Zali to szczęścia są oznaki pewne?
Przodkom to naszym było niepotrzebne.
Dąb albo grusza dawała im statki,
Podłogę sosna — czasem bita ziemia —
A przestrzeń była duża w jednej izbie —
I gości wiele; były tam i łoża,
Stoły i stołki i drewniane ławy.

.....
O czardo, miłszy jest mi twój zakątek,
Niż wszystkie głupców mody niedorzeczne.
We dnie i w nocy — wilgotna, błotnista —
Choćbym tu przyszedł i w czterdziestu chłopów —
Ty mię życzliwie przyjmiesz niby króla.
Zacisznie mi na puszcze tu u ciebie.
Dawaj nam lepszy chleb niż w Kecskemecie, *)
Wino sącz z beczek lepsze niż w Kőrösze: *)
A wielu w cieniu twym spocznie wędrowców.

(A. L.)

Virág Benedek

(1752—1830)

Do muz

Ku jakim ciemnym wó porywacie mię
Wzgórzom i gajom, Muzy, co Helikon
Zamieszkujecie, iż znów żar
Natchnienia serce moje zapala?
W osamotnienia ciszy tej pragnąłbym
Wygłaszać pieśni Węgier Apollina:
Nieśmiertelności sławiąc blask,
Radbym zaświała obwieścić sprawy.
Puszcza swe tajnie szemrze mi, szepcze mi,
Fale strumieni wesoło toczą się
I podsuwają błogą myśl,
Aż uderzenia serca mkną w niebo.
Wy tu siedzibę swoją obrałyście,
Boginie chwały! Za waszą muzyką
Pełny radości idę wzwyż,
Posłuszny wam, o dziewice boskie!

(A. L.)

*) Kecskemet słynął z wybornego chleba, Kőrös —
z wina.

Ányos Pál

(1756–1784)

Skarga

Jakżeś mi często kłamała, Nadziejo!
Złudą kotwica udzielona tobie.
Podmuchy śmierci w sercu mojem wieją —
Wzrok mój się kąpie w nędzy i żalobie.

Różane usta i kształty powabne,
Złoto, aksamit i szaty jedwabne
Nieraz już Młodość ku zagładzie skorej
Wiodły — i wielkie pustoszyły dwory.

Ach, jeden uśmiech porywa cię w siatki;
Od ognia spojrzeń — żyły ci zapłoną;
Gdzie siłacz, co się nie chyli w upadki,
Kiedy obaczy falujące łono?

Tak jam rozgorzał w mej słonecznej wiośnie.
Szedłem z Chlorydą, dłoń w dłoni, radośnie,
Aż jej całusa jednego ukradłem —
I raj mi lichem zdawał się widziadłem.

Długo przez ciemne szli my tak szpalery
I na ławeczce siedli nad ponikiem;
Na lipie swoje ryliśmy litery:
Będzie to naszej miłości pomnikiem.

Sale, gdzieś nieraz z rąk mej tanecznicy
Otrzymał uścisk pełny tajemnicy —
Gdzie nieraz serce me z słodkiej obawy
Drżało — zniknęły jako sen bez jawy!

Wszystko rozwiało się — a dawna radość —
Szczęście me — dziś mi bolem jest na wieki.
Patrz, jaka straszna na mej twarzy bladeść:
Młodość ma uszła gdzieś za góry, rzeki.

(A. L.)

Ujfalvi Krisztina

(1761–1818)

Urywek

Żelaznej barwy ciemne dni
Wciąż nowe zło niesiecie mi.
Usnęła moja myśl jałowa,
I odrętwiała moja głowa.

Nademną czarne mkną obłoki —
A wkoło mnie i cień i mroki.
Zaś tam, gdzie w serce trafił cios,
Tajemnic barwą ćmi się los.

Wesele, w którym grób już tli.
Lodowy upływ wrzającej krwi;

Męcząca rana uśmiechnięta,
Radość, co bólu szła rozpęta —
I pełne łez zadowolenie
I uśmiechnięte wskroś cierpienie;
Wy naszym dniom towarzyszyście,
Nagroda zdobiąc nasze życie.

(A. L.)

Bacsanyi János

(1763–1845)

Na przewrót we Francji

Rzeszo ludów, w pułapkę ohydą ujęta,
Której karki niewoli straszne cisną pęta,
A która twego jarzma, co cię w groby strąca,
Nie możesz zerwać z ramion swych od lat
[tysiąca;

Wy też, co pożądacie krwi swoich podda-
[nych,

Wy, katy uświęcone narodów spętanych:
Gdy chcecie widzieć przyszły wasz los, co się
[zbliża —
Czujnie baczcie na gromy, idące z Paryża!

(A. L.)

Dayka Gabor

(1768–1796)

Ból utajony

Ryje się w duszy mej mroczne cierpienie—
Co mnie ku dawnym znów prowadzi latom;
Zbliża się ku mnie mętne ostrzeżenie:
Jaką mi nową pętlą grozi Fatum?
Gdybym-ż mógł płakać? Łzy mi wyschły
[z męki.

Nieme westchnienia jeno, wewnętrzne jęki
Na zmianę z mego wypływają serca.
Biada mi! Ból mię tajemny uśmierca.

Nigdy ła szczęścia mnie nie ukołyszę,
Żale me wszystkie trwają śród milczenia:
Bo sam zburzyłem swój spokój i ciszę,
A jeśliś nie jest twardsza od kamienia,
Zostaw mi ból, co mi oniemiał wargi!
Znasz-li me niewypowiedziane skargi?
Niech jedną ujrzę w oku twem łzę mętą.
Każ, a z rozkoszą dla cię umrę chętną.

(A. L.)

Kazinczy Ferencz

(1759—1831)

Epigramy

1. Epigram

Lec epigramie, lecz nie bądź jak grot, co w locie zabija.

Jak pocałunek bądź, co go kochanek skradł.

Całus dźwięczy i milknie; ale od ognia dziewczyny

Ogień na ustach mi drga, ogniem goreje mi pierś.

2. Laokon

Jęcz i umieraj, o święty obywatelu! Ty cierpisz

Dla ojczyzny: więc giń! Zwyciężył fałsz, Iljon padł.

3. Antinous

Grację mi nadał artysta, podniosłość mi nadał Apollo.

Jam najpierwszy jest tu, tam na Olimpie lśni Feb.

4. Pochodzenie distichu

— Psyche mi daj swą, Amorze, a ja ci dam za to lutnię;

Będziesz potężny Bóg, dwoista będzie twa moc!

— Ja ci nią Psyche, Apollo? Za lutnię? Toż grot moją lutnią! —

Rzekł — i na Olimp wzwyż — rzucił zakłęty swój grot.

Tak w heksametrze ci świszczę w pełni dzirytu napiętość,

Gdy zaś upada drżąc — pentametrowy masz szept.

(A. L.)

Kisfaludy Sandor

(1772—1839)

Pieśni Himfyego

(Z cyklu: **Nieszczęśliwa Miłość**)

Jako jeleń chyży, rączy,

Ugodzony z strzelca ręki

Chce uciekać — rana sący,

I nie widzi końca męki;

Tak ja przed nią uciec chciałem,

Gdy mnie ócz swych rani strzałą,

Lecz już czarów jej doznałem,

Już ból szarpał pierś mą całą.

Chęć ucieczki była szczerą,

Lecz żar pali, jad się wżera,

Biadaż tobie, serce chore,

Nie uniknąć mąk ci w porę!

Barwny ptaku! Zazdrość bierze

Jak twój cudny śpiew zachwyca.

Bezrozumny! Nucisz szczerze

I wtóruje ci samica.

W moich żyłach krew wiruje,

Gdy Amora moc opiewam,

Lecz tych pieśni nie odczuje

Nikt, choć myśl prócz czucia wlewam!

W twym się śpiewie rozkosz mieści,

Gdy ja tylko znam boleści.

Chętnie dam ci, ptaku mały,

Za twe szczęście rozum cały!

Sarna pędzi przełęknona,

Gdy ją ruszą złe ogary,

I trwożliwie sunie ona,

Gdzie parowy i gdzie jary.

Przed Amorem skryć się siłę,

Lecz on dziki, ach! i srogi,

Nie chce pusić mnie na chwilę,

Wszystkie mi zabiera drogi!

Czyż ofiary swej nie zmieniał

On jak ryś jest, bez wytchnienia

Gryzie zdobycz nieszczęśliwą,

Gdy ją puści — to nieżywą!

(Z cyklu: **Szczęśliwa Miłość**)

W inne barwy świat się zmienia,
 Inny pieśni moich wtór,
 Inne losu są zrządenia,
 Gdyż me niebo jest bez chmur;
 Inne życie dziś się snuje,
 Obcy dla mnie trosk jest zgrzyt,
 Siły bogów w sobie czuję,
 Cenię teraz ziemski byt!
 Nowy wokół świat rozsłany,
 Ach! bo kocham ja — kochany
 I czas inne ma godziny,
 Gdyż już posiadł skarb jedyny.

Wszystko teraz ku niej dąży,
 Co myśl moją wprawia w ruch,
 I krew w żyłach żwawiej krąży,
 Ku niej wznosi się mój duch.
 Myślę, jak i ona myśli,
 Z czem jej dobrze, dobrze mnie,

Czy los szczęście nam zakreśli,
 Czy nieszczęście na nas śle.
 Więc czy radość pierś rozpiera,
 Czy boleści czara wzbiera,
 Wśród wywczasu i wśród znoju,
 Czerpię w sercu jej, jak w zdroju.

Ona nad tem, ach! się biedzi,
 By wykonać, co ja chcę,
 W oczy patrzy, wzrok mój śledzi,
 Jak życzenia spełnić me.
 Ach! kto dobrą posiadł żonę,
 Tego szczęsnym będę zwał,
 Wszelkie łaski mu sądzone,
 Z blasku słońca barwy brał.
 Jakież słodkie jej spojrzenia!
 Już się życie w raj zamienia,
 I gdzie ból był, rozkosz wróci,
 Kędy ona okiem rzuci.

(M. D.)

Csokonai Vitez Mihály

(1773—1805)

Dorota

(URYWEK)

„Dorota, czyli zwycięstwo dam nad karnawałem” — jest to epos heroikomiczny, przypominające „Pukiel porwany” Al. Pope’a.

Przedmiotem eposu jest zabawa karnawałowa; bohaterką — stara panna, która toczy walkę z mężczyzną. Książę Karnawał urządza wielką ucztę w kaposvár (południowe Węgry) na cześć panów i pań z całego żupaństwa. Podczas zabawy Karnawał wyciągnął „matrykę”, t. j. metrykę urodzin wszystkich dam oraz ich stanu cywilnego, czy panna czy mężatka. Obuizają się na to stare panny, a przede wszystkim Dorota, która werbuje panny i kobiety zamężne, tworzy z nich formalny oddział wojenny i prowadzi go przeciw mężczyznom. Dorota uderza na księcia Karnawała i zdobywa metrykę, gdy przywódca mężczyzn Opor podstępem niweczy plany Doroty, poczem przeprasza damy i ofiaruje swe serce tej, co go pierwsza pocałuje. Na to rozpada się porządek wojskowy armii niewieściej — i wszystkie lecą do niego, aby go pocałować. Plan Doroty nie udał się i jest pełna gniewu. Wówczas ukazuje się w obłokach Wenus — wszystkich godzi, zapowiadając, że wszystkie kobiety będą ładne; mężczyznom zaś obiecuje, że do najbliższego karnawału wszyscy się ożenią.

Otwórz się, Helikonie, piękne zaś boginie
 Śpiewajcie mi o wojnie, co na wieki słynie.

Śpiewajcie mi, jak na myśl przyszło to wam,

[kogo]
 Postawić naczelnikiem nad dziewic załogą;
 Kto były amazonek hetmanki rycerskich,
 Co nowych miano dziewic zyskały Egerskich?*)

...Potężny wnet formują korpus czworo-

[boczny]
 Najstarsze z panien, których duch jest nieco
 [mroczny].

Była to całej armii główna część; komendę
 Miała tu Aldegunda; ją też sławić będę.
 Na skrzydłach zaś — formacja lżejsza — do po-
 [rannej]

Zorzy podobna: młode ją składają panny.
 Czarująca to grupa — wdziękiem nieodparta:
 Zlewa ją wiedzie Magda — z prawej strony
 [Marta].

*) W r. 1552 kobiety miasta Eger walczyły bohaterko przeciw Turkom i obroniły miasto. Imię ich — *Egrinok* — „kobiety Egerskie” — stało się przysłowio-
 we. Jokai napisał na ten temat powieść.

Arjergardę zaś oddział żelazno-stalowy
Tworzą wielce czcigodne a dojrzale wdowy:
Rezerwa, w której siła powolna się wtula
W wytrwałość. Kapitanem tej armji—Urszula.

...Takie były hetmanki oddziałów gromady—
Owe! niezwykłej niewieście armady.
Główne dowództwo wzięła na siebie Dorota—
Général en chef — wszędy przez nią wre

[ochota.

Sama wciąż w ruchu — ciągle zmienia miejsce
[swoje —

Zawsze obecna wszędzie, gdzie najszersze
[boje —

I wciąż podnieca męstwo swych wojownic
[sławnych.

Ma przy sobie dwanaście czarownic wytraw-
[nych,

A starą guwernantkę ma za adjutantkę,
Więc sposób walki takim nakaże wyrokiem,
By front szedł nieustannie naprzód krok za
[krokiem;

Skrzydła zaś by się kręcić mogły tak dokoła,
Że to zamęt okropny wśród wrogów wywoła—
I aby matrykułę*) gwałtem czy fortelem
(Łup piękny dla triumfu nad nieprzyjacielem)
Z ręki wroga wydostać. I niech niewzruszony
Ten oddział wciąż uważnie baczy na wsze
[strony.

Arjergarda zaś niechaj na wezwanie czeka
I zamknie wszystkie szpary, że nie wstawił
[ćwieka.

A gdy zahuczą bębny — awangard nawała
Niechaj natychmiast runie przeciw Karnawała—
I gdy się uda — niech go do niewoli chwytą
Lub matrykułę z rąk mu niech wydrze i kwita.
Gdyby zaś jeńcem został — wówczas w łaski
[drodze

Hymenowi go oddać; przyczem niezbyt srodze
Traktować go w kajdanach; rangę jego cenić
(Hymen każe mu za to cały świat obżenić).

Gdy sprawiła już wszystko hetmańskie rze-
[miosło,

Siadła na sofie, którą osiem dziewic wniosło—
Stąd kieruje swej armji dzielnymi ogniami.
Jako zaś feldmarszałek, zamiast perspektywy,
By móc swej armji wszystkie widzieć cne
[sztandary,

Włożyła na nos stare złote okulary.
Zatem z każdą hetmanką zosobna pogada —
Pobudza je i wszystko im dobrze wyklada.
— Teraz chwila nadeszła — rzecze do swej
[trzody—
Przyjaciółki, wojenne rozpoczniemy gody.

Zemsta i Miłość z nami! Niech nam jeno mę-
[stwo

Dopisze — a przysięgam, nasze jest zwycię-
[stwo.

Testilis na te słowa ujmie w swą prawicę
Sztandar, na którym w górze strzępione
[pętlące

Wieńcem drżą, a nad niemi czepec masz
[z welonem.

Inne sztandary również urozmaiconem
Wieżą tłem. Na nich Wenus z Amorem się
[mieszcza

I z kołyską. Pułk idzie. Jedwabie szleszczą.
O ziemię uderzają niewieście trzewiki,
A ogniem skrzą się oczy u każdej podwoki.
Kuraż w sercach, oręż w rękach (niczem
[wilki!]:

Szydełka, szpilki różne, z piekła djabie
[szpilki,

Których dzisiaj nikt pewnie nie zliczy gatun-
[ków,

Nożyczki i nożyki różne; pocałunków
Czekany niezwalczony, ócz ogniście strzały,
Rumieńce i uśmiechów ostre pugiwały.

Więc Dorota stojącej za sofą muzyce
Każe grać - i do boju wzywać wojownice.
Lizeta, cudnie w harfy uderzywszy struny,
Karnawalskiego Marsa wygrywa pioruny —
Za nią w tę samą nutę dziesięć harf ude-
[rzy —

Tyleż bębnow i drumli — i melodję szerzy —
Inne zaś, dno rozbiwszy fiaszek z tualety —
Na nich kunsztownie dzwonią działarską pieśń
[Lizety.

Inne znów, jakieś puzdro znalazłszy złoczone,
Grzebieniami w nie bębnią swoją antyfonę.
Tak Marsa opiewała cała ta armada —
W pochód ruszy — i oręż bojowo układa.
Erys*) — krążąc radośnie przy tem sporów
[źródle —

Mknie za armją na wozie, ciągnionym przez
[pudle —

Szyderczo na niewieście te patrzy rycerze
A dokoła niej krążą nimfy-nietoperze.

Nim wielki korpus armji wyszedł poza salę,
Awangarda naciera już na Carnevale.
Figlarny szal swobody wśród wojownic świta:
Ta za rękę, za włosy, za odzież go chwytą.
Wszystkie się nań rzuciły z wrzaskliwym
[szczebiotem—

Był sam; oprzeć się nie mógł; padł jak rażon
[grotem.

*) t. j. metrykę Doroty.

*) Erys — grecka bogini niezgody.

Takie są właśnie losy zabłąkanej sowy,
Co w dzień mrok swej jaskini opuści surowej;
Kiedy ją ptactwo ujrzy i naraz otoczy,
Nie ujdzie od nacisku — tłum się na nią
[tłoczy:

Krzyczą na sowę czajki, ścigają ją kanie,
Świergot wróbli ją pędzi oraz wron krakanie,
A wszystkie mają pełne piór jej chciwe
[dzioby:
Carnevale takież zwalczon był sposoby.
(A. L.)

Berzsényi Daniel

(1776–1836)

1. Do Węgrów

Nie widzisz, Węgrze, jak to w gruz upada
Kraj twój i krew się wyradza Arpada —
Nie widzisz mściwych niebios bicza,
Co twej ojczyźnie nasyła kary?
Przez dziewięć wieków krwawych burz lawina,
Nie poszczerbiła twardych wież Budzina,
Choć nieraz w szale dłoń zbrodnicza,
Nieciła w domu własnym pożary.
Porzuć dzisiejsze zgubne obyczaje:
Biada nam, nędzne pokolenie wstaje
I burzy gród, co uśmiechnięty,
Patrzył na szturmę w siebie walące.
Ni cię zniszczyły, o gniazdo madziarskie,
Dzikiego chana zagony tatarskie —
Ni te olbrzymie regimenty,
Co podbić Zachód szły na wsze końce.
Ani cię zniszczył Zapolyi wywrotów
Wiek, skrytobójczy gdy sztylet był gotów
Rodzonej matki przebić łono:
Przetrwałeś rzezi domowej strugi.
Ze cnota, godna ramienia Spartanów,
Walczyła w ogniu owych huraganów:
Więc zwyciężyłeś czerń wzburzoną.
Tak Heraklowej moc łśni maczugi.
Dzisiaj powolny ciebie jad przeżera.
Patrz, dąb niezłomny, który się opiera
Wichrom — trwa mocny. Lecz robaki
Niech tajnie stoczą jego korzenie:
Najsłabszy powiew jest mu tchem śmiertelnym.
Tak ci narodu kamieniem węgielnym
Cnota; gdy ta na błędne szlaki
Zejdzie — w niewoli zapadniesz cienie.
Cóż dziś jest Madziar? Szkielet sybaryty
Niepomny swej przeszłości znamienitej
Na gruzach i na łzach ojczyzny,
Pałace stawia sobie wspaniale.
Gardzi praojców rycerskim kontuszem
I narodowej swej mowy genjuszem;
Nęci go dźwięk cudzoziemczyzny:
Zaiste płocze dziecinne lalel
O, niegdys Węgrzy — jak piorun walczyli.
Orkanem ramię huczało Atylli,

Gdy szedł, by nowym być Cezarem: —
Gniew jego depce narody świata.
Jak orzeł spłynął w stęp naszego kraju
Zdobowca Arpad na brzegi Dunaju:
Toć z innym, niżli dziś Madziarem,
Hunyad gromady Turków wymiała.
Ale na ziemi tej wszystko przemija —
Jazmo przeciwieństw groźnie nas dobija —
Świetności nikną jak widziadła —
Los igra, wznosi, strąca i wikła.
Wszystko obala wieków dłoń spiżowa.
Iljon szlachetny padł — i wielka owa
Kartagina — i Roma padła —
I Babilonu potęga znikła.

(A. L.)

2. Melancholja

W ciemnych lasów najdzikszych gęstwinach,
Melancholio, lubisz ty przebywać;
Lubisz snić na pustych miast ruinach,
Smętnym wiatrom echem się odzywać.
Szczyt granitu, w mgieł ujęty chmury,
I dolina dzika są ci mile;
Błady księżyc i gotyckie mury
Czarodziejską mają dla cię siłę.
Na mogiłach, mchem okrytych siadasz,
Tam swą arę podnosisz w milczeniu;
I spoglądasz w przeszłość i upadasz,
Rozmodlona w elegijnem pienu.
Tylko płocność, ziemią upojona,
Blade róże rwie rzeczywistości;
Lecz ty zawsze żyjesz pogrążona
W cudnych snach przeszłości i przyszłości.
Tyś mi dotąd była duszą brata,
Kierowałaś młodzieńczemi loty;
Gdy uciekał od płocności świata
Pod twe ciche, cieniste namioty.
Młodzieńcowi melodją żałoby
Tyś natchnęła serca wszystkie tętna;
Ach, starcowi zlej na uczuć groby,
Ciche światło twe, potęgo smętna! —

(A. L.)

3. Do Napoleona

Nie ty byłeś zwycięzcą, lecz Wolność, duch nowej ery,
 Której chorągwie dźwigały przestawne twe grenadjery.
 Ludy cię ubóstwiły w twej złudnej promiennej jutrzence
 Pograżone. Dzierżyły los świętej ludzkości twe ręce.
 Ale ty się poddałeś kaprysom cudownym swej duszy —
 I boskie twe palmy zastąpił wieniec cierniowy, co kruszy.
 Czyja ręka cię wzniosła, ta dziś cię nawzajem w proch strąca —
 W tobie ludzkości marzenia pomściła dłoń Fatum karząca.

(A. L.)

Vitkovics Mihály

(1778–1830)

Pieśń pasterza z Füred

— Powiedz, pasterzu, gdzie twoje stado?
 Czemu masz smutną twarz i tak bladą?
 — Stado me błdzi na Balatonie,
 A ból straszliwy gore mi w łonie.
 Dzisiaj nie piłem nic i nie jadłem,
 Jak powalone drzewo upadłem.
 Febus na sen swój odchodzi boski,
 Mnie pozostawia ciężar mej troski.
 Czemu się żalę — płaczę — i szlocham?
 Bo mnie uchodzi ta, którą kocham.
 Próżno w fujarkę pierś moja dmucha —
 Ona dla pieśni mych nie ma ucha.
 Drwi, gdy przynoszę mleko, baranka —
 Ni ją ma wzruszy kwiecica wiązanka.
 O, czegożbym ja żałował dla niej?
 Duszę jej oddam, którą wciąż rani.
 Niech całowaniem łaskę wyproszę. —
 Wzdychać: jedyne to me rozkosze!
 Lecz ona myśleć o tem nie może —
 Strąciła serce me w nocy morze.
 Jej serca boleść moja nie wzruszy:
 Tam, gdzie dziś kocha — ogień w jej duszy.
 O, niech jej niebo przebaczy święcie:
 Czemu złamała swoje zaklęcie?
 Czemu zgasiła zorze me złote?
 Zabiła wszystką życia ochotę?

A kiedy stado moje zaginie —
 I obłęd zmroczy ducha w ruinie,
 Zaczna mnie ludzie żałować prosić: —
 Oszałał biedny pasterz z miłości!
 (A. L.)

Szemere Pál

(1785–1861)

Echo

(sonet)

Milczysz. Jenó pocichu szemrzą twe
 [westchnienia
 I niema ła się sący z twej błędnej źrenicy.
 Próżno roisz, ażeby twój rówieśnicy
 Złagodzili współczuciem serc twoje cierpienia.
 Próżno! Oni są z uczuć dostojnych wyzuci.
 Zimnem patrz się okiem na twoje tortury.
 Czemu twą piękną wiosnę zamroczyły chmury,
 I cóż to im, coś stracił, co ciebie tak smuci?
 Nie zazna ich współżalu ten, co bywa smutny.
 Pójdź do mnie. Serce sercu niech powierzy
 [męki,
 Niechaj mi powie, jak go dręczył los okrutny.
 A gdy śmierć to, coś kochał — strzaskała-ć
 [o głazy —
 Krzyknij imię — odtworzę dwakroć twe wy-
 [razy —
 I tak ból twój uśmierzę swojemi oddźwięki.—
 (A. L.)

W I E K XIX — XX

Kölcsey Ferencz

(1790—1838)

1. Pieśń Zrinyi'ego

Gdzie jest owa ojczyzna, w której krew Arpada
Śród wiecznych bojów wrząc, zwycięsko mieczem włada?
A której imię taki żar miłości pali,
Że za błądzącym synem swym idzie w pogonie —
I nawet go przebudzi na Kalipsy łonie,
Aż ci ku tobie ramię wyciąga z oddali.

Tu jest owa ojczyzna — inna niżli dawna.
Pustynią zda się teraz owa ziemia sławna —
Zardzewiał porzucony krwawy miecz zwycięski —
Ogień wielkiej miłości zgaśł w duszy jej synów —
I zamarła w nich żądza bohaterskich czynów:
Serca zlodowaciały w jakiś sen niemeński.

Gdzie jest wzgórze, na którym stał gród niezdobyty,
Którego szanów bronił Szondi znamienity —
Rozrzutnie ofiarując życie swe niezlomne:
Sława jego wciąż rośnie — rzekłbyś w jego twarzy
Ogień wciąż potężniejszym płomieniem się żarzy —
I rzuca swoje blaski na wieki potomne.

Tu jest wzgórze, gdzie dzisiaj jeno masz ruiny,
Gdzie pogrzebion bohater oraz jego czyny.
Zapomniany grób jego — popioły — i sława —
A wokół pokolenie nędzne — biada, biada!
Czasem, gdy widzi orle gniazdo swego dziada,
Zawrotu głowy jeno na ten zwid dostawa.

Gdzie ów naród, co niegdyś umiał krwią i potem
Wyorać bohaterstwa łup — i orlim lotem
Kroczyć w ślady praojców przez ciąg lat tysiąca?
A choć cierpiał — uparcie szedł w bój nieustanny?
Pięknie mu lśniła młodość — jak w zorzy porannej —
Młodość dzisiaj i wczoraj i jutro kwitnąca.

Stój, wędrowcze! Ten naród dzisiaj — to bastardy.
Niemasz wymarłej rasy, niezwalczonej, hardej —
Słaba głowa, mdłe serce i bezsilne ręce —
Oto liche dzisiejsze pokolenie młode.
Naród, co krwią swą umiał zdobywać nagrodę —
Jest dziś jeno z imienia — i nie masz go więcej.

(A. L.)

2. Mowa w sprawie polskiej

wypowiedziana d. 30 Listopada 1833 r. w Pozsony

Szlachetne, Prześwietne Stany, obowiązkiem moim jest poprzeć wniosek, zgłoszony przez komitat Bars w sprawie narodu polskiego, raz dla instrukcji, jaką otrzymałem, a powtórę dla tego, że i ten komitat, który mam szczęście przedstawiać wobec Prześwietnych Stanów, również należał do owych trzydziestu kilku, które adresami swemi popierały naród, naówczas jeszcze z ostateczną determinacją walczący za swoją ojczyznę.

Co zosobna z tak wielkim zapałem rozpoczęliśmy, powinniśmy teraz wspólnie gorąco dalej prowadzić. Oto zwrócone są na nas oczy Europy; występujemy jako współczujący w niebezpieczeństwie będącemu, bratniemu narodowi — i czynimy, co na stanowisku komitatów i w stosunku do okoliczności, w jakich jesteśmy, czynić możemy. Oczywiście, nie mogliśmy wyjść poza granice naszego kraju; nie mogliśmy pośpieszyć jak w innej szczęśliwej okoliczności dzieci innych krajów, które zbrojnie weszły między ruiny dawnej Hellady, aby u szanów Missolunghi oddawać życie za wolność obcej ojczyzny. Nas nie stać było na więcej, niż na drobne datki, które z gotowością składano, i na słowa błagalne, z których wołaniem zwracaliśmy się do tronu naszego króla.

Daremnie! Wołanie nasze przebrzmiało bezskutecznie i potężne ręce, w oczach całego świata zgmiotły naród, który pospołu z nami przez liczne wieki godnie zwano przedmurzem Chrześcijaństwa, bez którego wieżycie Wiednia leżałyby dziś w gruzach, a pałaców jego tak samo daremnie szukałby wędrownik, jak szuka w Budzinie gmachów Matjasza. Oto był naród, którego rozczłonkowaniem zachłanna Katarzyna sztylet wbiła w serce Europy i zadała mu ranę, a rana ta, jeżeli nie będzie uleczoną, stanie się powodem ogólnej śmierci. Oto był naród, który, przeszedłszy długi szereg cierpień, raz jeszcze otrzymał, choć w drobnej części, wolną konstytucję, ale (skutkiem tego, że ośmielił się bronić jej od ucisku) pozbawiony jej został doszczętnie i ograbiony ze swej indywidualności.

I czyż nie mieliśmy słuszności wypowie-

dzieć się za sprawą polską, którą widzieliśmy z tak niepojętą oziębłością odrąconą przez wszystkie bardziej wpływowe narody? Gdyby w dalekich okolicach, w zupełnie innej części kuli ziemskiej znalazł się jaki kraj w podobnych opresjach, to i wtedy w całej mierze domagałby się mógł naszego współczucia; a tembardziej tutaj, tuż u naszych granic, niegodziwy czyn, popełniony przez tak bliską nam potencję, który nam, jako ludziom, jako narodowi, jako posiadaczom swobodnej konstytucji, całkiem mimowoli okrzyk zgrozy wydziera. Człowiek obok człowieka lub jeden po drugim zwykli umierać; dla narodów jednak pragniemy i spodziewamy się życia, trwającego lat tysiące; otóż pragnienie to i nadzieja wzdryga się w głębi serc naszych na widok, w jaki sposób ten naród sąsiedni nie umarł, lecz został zabity, przez dziką przemoc niewieczony.

Czemże bylibyśmy, Prześwietne Stany, gdybyśmy obojętnie patrzyli na upadek tych, co ukrawędzi grobu z nadzieją i zaufaniem ku nam spoglądali? którzy na zakończenie swego żywota obywatelskiego skierowali do nas pismo dziękczynne i których niedobitki tułające się po obcych krajach, dotychczas jeszcze błagają nas o współczucie? Czem bylibyśmy, gdyby ostateczne rzeźenie zdeptanej wolności nie wstrząsnęło nami do głębi i gdybyśmy w sprawie tak blisko, z tak wielu względów nas obchodzącej, nie wypowiedzieli męskiego słowa?

Tak jest, Prz. Stany, prosimy monarchę, żeby to, czego odmówił pojedynczym komitatom, uczynił jednak na zjednoczone życzenie całego narodu, i żeby poszukał dróg do naprawienia niesprawiedliwości, popełnionej na Polakach. Królowi narodu wolnego przystoi i należy pośredniczyć w sprawach wolności ludów; wolnemu narodowi przystoi i należy prosić króla swego o obronę wolności ludów; gdy to uczynimy, wypełnimy przed Bogiem i przed ludźmi obowiązek, którego poczucie sama natura w piersi nam wryła, a któremu zadosyć uczynić jest i pożytkiem i chwałą.

(Bolesława Jaroszewska)

Fáy Andras

(1786—1864)

Bajki

1. Eskulap

Eskulap, bóg lekarzy, zabawiał bogów doświadczeniami chemicznymi. Naprzód włożył do tygla miłość. Wenus ciekawie czekała na wynik — i oto, patrz, składowe części jej, jak się okazało, były to: wnikliwe samolubstwo i próżność, w połączeniu z mniejszą lub większą sumą zmysłowości. Bogini miłości wstrząsnęła głową i poszła na stronę. Teraz pomieścił Eskulap w tyglu przyjaźń. Kastor i Polluks uważnie nastawili uszy: ale było im przykro, gdy na dnie świętego naczynia ukazała się interesowność i egoizm, szlachetną zaś sympatię, zwłaszcza, gdy Eskulap dodał trochę nędzy, ta ostatnia mocno zamroczyła. Teraz chemik różne cnoty wprowadził razem do tygla. Całe grono niebian stało w naprężonym oczekiwaniu — i jak sądzicie, cóż się okazało po tej próbie? Nic, jeno interesowność i próżność, pomieszana w różny sposób z temperamentem krwi. W końcu chciał Eskulap zbadać „szczęśliwość wiekuiłą“, gdy Jowisz rzekł: „Przestań, ta zapewne wisi u nas jedynie na nitce wyobraźni. Kto wie, czy w twoim tyglu coś z niej pozostanie czy nie“.

2. Kogut

— „Zbudź się, kumie kogucie! Dzień świta! — Tak wołał wróbel do koguta, który drzemał pod jego gniazdem.

— „Toć i ja musiałbym coś o tem wiedzieć — odrzekł kogut. — Tylko blade światło księżyca świeci po przez obłoki. Możesz jeszcze spać, przyjacielu.

Mili rodacy! Iluż to z nas już śpiewało: Dzień Węgier świta! A jednak, Boże, jakże ciężko śpimy sobie.

3. Sejm wron

Wrony zwołały zgromadzenie sejmowe.

— „A więc? — Cóżście uchwalili? — pytała sroka jedną z powracających wron.

— „Postanowiliśmy, że na przyszłym zgromadzeniu — uchwalimy postanowienie.“

4. Stolice

Dwa wspaniałe miasta O. i P. prowadziły ze sobą spór a to, które jest macierzą kraju. Pewien statystyk tak określił różnicę między temi dwiema macierzami, a innemi matkami: że zazwyczaj matka daje ssać dzieciom, stolice zaś kraj wysysają. Od tego czasu panuje głębokie milczenie nad tym sporem.

5. Drzewo śliwkowe i gąsienice

Gąsienice po większej części pozbawiły liści pewne drzewo śliwkowe. — „Przestańcież wreszcie, stękała śliwa.“ — „Owszem, matulu, przestaniemy, kiedy już zupełnie liści nie będziesz miała. Czemuż to nam zakazujesz? Czyż nie jesteśmy twe dzieci?“ — „Jesteście, owszem — jęczało drzewo — o ileście na mnie się porodziły i o ile mną się żywicie. Ale czyż wy mi za to okazujecie wdzięczność i uczucie dziecięce?“

Dobra ojczyzno! Ilu ludziom mogłabyś to samo szepnąć do ucha. (A. L.)

Kisfaludy Karoly

(1783—1830)

1. Perła

Jest jedna perła na ziemi —
Skarb wielki naszej istoty;
Barwami zdołi cudnemi
Ziemskiego szczęścia blask złoty.

W zwierciadle perły tej drżącym
Odbicie swe widzą dusze;
Ono radości nas słońcem
Darzy za wzięte katusze.

Lecz śród salonów złożonych
Nie załśni perła ta rzewna:

W bogaczów sercach skażonych —
Nie tkwi ta niebios królowna.

Ci tylko, którzy boleją,
Znają to słodkie zjawisko,
Tym, co się z uczuć nie śmieją,
Tęskliwa bladeść jej błyska.

Nieraz mym druhom, gdy cierpię —
Prawię cierpień swych powieści —
I łąza mi z oka się czerpie...

Ach! W niej ta perła się mieści. (A. L.)

2. Postanowienie

Dokonaj, losie, twoich ciosów miary
 I w życie moje wszystkie zlej trucizny,
 Odbierz, czemś łudził, odbierz wszystkie mary,
 Z dni mej młodości, w sny złożone żyznej.
 Com tylko kochał, wszystko weź co prędzej,
 Prowadź na nową, pełną cierni drogę.
 Drogę najwyższej na tej ziemi nędzy —
 Złam mię do reszty: więcej wziąć nie mogę!

Ja się nie lękam, że mi los co zdarzy,
 Siłę mają tylko podnoszą katusze,
 Niech nad mem sercem ciężki ból zaważy
 I spotęguje moją słabą duszę.
 Choć twoje ciągle, krwawe uderzenia,
 Tak mi wydarły wszystko bezlitośnie,
 Choć wszystko dotąd we łzy mi się zmienia:
 Moc mego ducha przez twe ciosy rośnie.

Jedną kochałem precudną istotę,
 W jej sercu wszystkie złożyłem nadzieje,
 I nieraz duszy jej promienie złote
 Niosły mnie w niebo, gdzie słońce jaśniej.
 Błogosławiona! w tę słodką godzinę
 Tyś rozrywała moich cierpień pęta,
 Wskazując w róże usłaną ścieżynę...
 A dziś! usnęłaś, kosą śmierci ściętą.

I cóż mi przyszłość dać, co mi wziąć może?
 Ku jakiejż losy popchną mię krainie?
 Z serca, dartego przez cierpienia noże
 Postanowienie, boży ogień płynie.
 Od ciebie tylko czekam ja spokojny,
 Gdy wszystko wichur mi porwya lotny.
 Nie znam, choć lękam się żywota boju...
 Cóż pocznę: pójdę w świat zawsze samotny!

(A. L.)

3. Złudzenia (komedia)

Jest to komedia omyłek, polegająca na tem, że szereg ludzi, złudzony pewnemi pozorami, porusza się po niewłaściwej linii. Najbardziej zaś tej władzy złud podlega Lombai, który sobie wyobraża, że on to właśnie kieruje wypadkami. Lombai jest zarządcą (inspektorem) wspólnego majątku hr. Elemira oraz pani Karoliny (Liny) Kőröndy wdowy. Między Elemirem, a Karoliną jest pewien stosunek uczuciowy, ale wskutek powikłań jeszcze w mieście (Peszcie) stosunek ten się zachwiał i Elemir sądzi, że Lina go przestała kochać, Lina — że Elemir ją. W takim nastroju przybyli na wieś, każde z osobna i nie wiedząc nawzajem o swoim wyjeździe, Lombai ma syna Eleka, oficera, oraz daleką krewną Lidi, ubogą panienkę, którą chciałby wydać za męża. Elek i Lidi kochają się, ale ojciec nie chce zgodzić się na ich związek. O Lidi stara się Mokany, zamożny choć szpakowaty już kawaler, czemu Lombai sprzyja. Jednakże, zauważywszy, że między Elemirem a Liną stosunki ostygły, obmyślił, aby Eleka, swego syna, ożenić z Karoliną, a Lidi wydać za Elemira. Jakoż zarówno Elemir jak Karolina szukają sobie towarzystwa i Elemir chętnie

obcuje z Lidi, Karolina z Elekiem. Stąd wynikają złudzenia takie, że Elemir sądzi, jakoby Karolina była zakochana w Eleku; Karolina sądzi, że Elemir kocha się w Lidi; Elek sądzi, że go Lidi zdradziła dla hrabiego; Lidi zaś przypuszcza, że Elek stał się jej niewierny. Co do Mokany'ego, to Lombai radzi mu, aby swój afekt zwrócił do Wilmy, starszej panny, która towarzyszy Karolinie.

Podajemy tu scenę nowej omyłki, którą popełnia Mokany. W dalszym ciągu różne jeszcze powikłania tego rodzaju dzieją się w sztuce, ostatecznie jednak wszystko wraca do porządku, Elemir porozumiał się z Karoliną, Elek z Lidją, Mokany z Wilmą, a nadto jeszcze baron Kényesi z Lucją — i jeden tylko zostaje człowiek, którego wszystkie plany rozwiły się zupełnie, Lombai, który był przekonany, że jest trzeźwym panem rzeczywistości.

Akt II. Scena V

POKÓJ LINY

Osoby: LINA, WILMA, MOKANY. *Później* LOMBAI, ELEK.

PIOTR (*wchodzi*). Pan Mokany.

LINA. Prosić. (*Piotr wychodzi*). Inspektor już mi wspominał o nim. Wilmo, głowa moja zbyt jest zajęta, chciałabym być sama; przyjmij go. (*Wychodzi*).

WILMA. Trudny to urząd być sędzią wśród zakochanych: u nich każde mniemanie, każde przypuszczenie jest rzeczywistością — a tego, co jest rzeczywiste — nie widzą zupełnie.

MOKANY (*wchodzi*). Piękne dzień dobry. Słyszałem, że W. Pani tu jest — i jako dobry sąsiad, sam się tu wciskam. Dopóki stary radca żył, była Pani zawsze ukryta przed młodzieżą z sąsiedztwa. Nie prawda, wdowieństwo jest lepsze. Na moją duszę teraz już żaden starzec chyba nie zapuka do Pani.

W. (*na stronie*) Gruboskórna szczerość. (*Głośno*). Niech Pan siada, Panie Mokany.

M. Nie jestem zmęczony. Kiedy jednak cały dzień bywam w polu, albo gdy z ogarami długo poluję — i wracam do domu: wtedy siedzieć jest przyjemnie. Siedzę wtedy sobie swobodnie z dzbankiem wina na stole, hej!

W. Słyszę, że pan jest wielki gospodarz.

M. Gdybym nie miał konwi pieniędzy, to bym i tak nie szukał ziarnek przez szkieleto, aby co znaleźć. W. Pani wie, po co ja tu przyszedłem?

W. Jeżeli mi Pan powie.

M. Inspektor Pani — to setny łotr.

W. Jakże to?

M. Uważa Pani, ma on ładną siostrzenicę, i chciał, abym ja ją wziął, gdyż mi przysłała ochota z nią się ożenić. Ale licha wie daczego, znów mi ją wymówił. Prawda, że

- dziewczyna nie bardzo była dla mnie czuła. Więc mi wskazał inną, odpowiedniejszą, która już za uszami nieco wyszła.
- W. I tak prędko zgodził się Pan na zamianę?
- M. O, chciałbym się też i tej przyjrzeć.
- W. A więc to małżeństwo z desperacji?
- M. Na Boga, długie wahanie się i rozmyślanie nie jest w moim rodzaju. Kobiety potrzebuję jako pomocnicy, nie zaś aby mi wzdychała.
- W. Bardzo mądrze. Ale przecie można kochać bez marzycielstwa.
- M. Tego właśnie pragnę. Wskazano mi żebro Adamowe, które znajduje się tu w zamku. Jest to towarzysza Pani, Wilma.
- W. Hahaha!
- M. Dlaczego Pani się śmieje. Czyżby była tak brzydka?
- W. Proszę. Niech mi Pan pozwoli nie odpowiadać.
- M. No, ale czepek wytrzyma?
- W. Proszę, zbyt śmieszna była-by to spowiedź.
- M. Niech mi Pani tylko powie, czy prawda, że to taka zabójcza kobieta? Bo Lombaiowi nic nie wierzę; ten nieraz wywraca prawdę do góry nogami. Proszę mi powiedzieć, czy Wilma ma w sobie coś, co miałoby jakąś wartość?
- W. Polecam się Panu. Ciekawość pańska idzie trochę za daleko.
- M. Ach, niech się Pani tak nie śpieszy. Jeżeli nie warta, to ja uciekam.
- W. Ja też uciekam od takich pytań. (*Wychodzi*).
- M. Gadaj z nią kto chce! Co za djabełski rodzaj — te kobiety. Trzymają się razem jak żelazo, jeżeli tylko nie są względem siebie zazdrosne.
- LINA (*wchodzi; do siebie*). Muszę zobaczyć tego człowieka.
- MOKÁNY. Do licha! Ta to jest ładna, okrągła! Usta — niby lak na korku flaszki polowej. Czy Pani jest Wilmą, o śliwkowooki aniele!
- L. Dzień dobry, p. Mokány.
- M. Ach, to głupiec ten inspektor! Także trafił. To jest kasek. Na moją duszę, im więcej na nią patrzę, tem bardziej bije mi serce.
- L. Ten komplement napawa mnie dumą.
- M. Pójdź, bądźmy z sobą na ty. Słuchaj, mój skarbie: jeżeli szukasz kochanka, jestem gotów. Wiesz, że mi się bardzo podobaś — no, że... no, no... Błyśnij mi jeno parą swoich snu burzycieli, ty, o ty, morska piano!
- L. Mów Pan o czem innem, Panie Mokány.
- M. Nie, nie, mówmy właśnie o tem. Czy będziesz mnie kochała, jeżeli cię o to pięknie poproszę.
- L. Mój Boże, Pan się ludzi.
- M. Jeżeli tylko ty mnie nie łudzisz, to się na tem nie rozumiem. Zważ, jestem właścicielem kawała ziemi, mój majątek jest ładniejszy odemnie. Chcesz zostać moją żonką, to uderz w rękę! Oto moja ręka! A więc szybko. Pójdź.
- L. Zechciej Pan trzymać się nieco dalej.
- M. O, ja chciałbym nawet powietrze między nami wycisnąć. Chciałbym też natychmiast ogłosić światu, że jesteś moją narzeczoną.
- L. Proszę się usunąć! Co za zuchwalstwo.
- M. Niech się Pani tak nie gniewa. Ja wiem przecie, że tu nie chodzi o serce. Pójdź.
- L. Precz mówię! Hej, Piotrze, Wilmo!
(*Wchodzą Lombai i Elek*).
- LOMBAI. Co W. Pani rozkaże? Ale w jakimże to zamieszaniu widzę W. Panią?
- LINA. Ten tu pan ma oryginalne sposoby zawierania znajomości.
- LOMB. Wielkie nieba! Mam nadzieję, że nie obraził Pani.
- MOK. No, co też za dzwon ci dzwoni na trwogę! Czyż to grzech śmiertelny, gdy człowiek pannę, która tego warta, chciałby sobie skaptować?
- LOMB. Cóż to znowu za niewyprana niedorzeczność!
- ELEK. Panie Mokány, pan się myli. Mówi pan z radczynią Köröndy.
- LOMB. Ach ty, nocna sowo, gdzie miałeś oczy?
- MOK. Prawdziwie szkoda, że to radczyni. Ale sama sobie winna; dlaczego jest taka ładna? — Na moją duszę, mogę powiedzieć — no, więcej nie powiem — mogłoby wypaść naodwrot. Tymczasem polecam się łaskowości państwa. (*Wychodzi*).
- LOMBAI. Przebaczenia, W. Pani! Ja byłem niewinną przyczyną tej omyłki. Zaleciłem mu pannę Wilmę. Zresztą rozkaz W. Pani spełniony, wszyscy sąsiedzi zaproszeni. O ile W. Pani życzyłaby sobie do tego czasu towarzystwa, syn mój służyć jej będzie.
- LINA. Z przyjemnością. Panowie wojskowi wiele widzieli i słyszeli, co bardzo wzrusza kobiety, żyjące w tak ciasnym obrębie. Na wszelki przypadek, proszę Pana o towarzystwo na cały czas mego tutaj pobytu.
- (A. L.)

Katona József

(1792—1830)

Bánk - Bán

(tragedja)

Sprawa tragedji dzieje się w r. 1212 — 13, za panowania króla Andrzeja II, znanego też i stąd, że brat udział w wojnach krzyżowych. Był to jednak monarcha niedołężny, za którego czasów nastąpiło w kraju wielkie rozprzężenie. Niemato przyczyniła się do tego jego żona Gertruda, księżniczka Meranu, Niemka, która z narodu wyciskała niezmiernie haracze, a to przez całą stórę swoich popleczników, samych Niemców merańskich; ci opanowali wszelkie urzędy krajowe i popełniali wielkie nadużycia. Brat królowej, Ekbert, zwrócił uwagę na piękną żonę *palatyna* czyli *banu* Banka (t. j. Benedykta) i zaczął ją prześladować swą miłośnią. Bank wyzyskał powszechne niezadowolenie szlachty i ludu z rządów Gertrudy — i zorganizował spisek przeciw królowej, która ginie zamordowana przez buntowników.

Akt III. Scena IV.

TYBURCY (*wchodzi napót pousfale, napót z trwogą*).

Dzień dobry! Jaśnie Panie, Banie-Banku.

BAN. Włóczęgo!

TYB. Tak? Czyż widać to z mej twarzy?

BAN. I pocóż między ludźmi honor?

TYB. Prawda.

Czas mój przeminał — i wśród skarg bez [końca...

BAN. Dlatego też stworzyłem...

TYB. Dzięki. Teraz

Nie jesteś już posępny tak jak w nocy.

BAN. Probuje, a nie skarż się.

TYB. O Boże miły,

Gdybyś raz jeden tylko w dom mój spojrzął,

To żywą skargę ujrzałbyś przed sobą.

Na co szlachcicem być mi, jeśli będąc

Podłym poddańcem, byłbym teraz twoim.

BAN. Jakże nieszczesny ten, komu się pęta
Jakieśdź rozwiązują nieszczęśliwie!

TYB. Jakżem się cieszył, uzyskawszy wolność,

BAN. Jakżem się cieszył, póki byłem w pętach.

TYB. Toć... dobre też, lecz odkąd Merańczycy...

BAN. Ho — ha!

TYB. Pieniądzy dużo im potrzeba,

Że zaś my tyle dać im nie możemy,

Na chude karki spędzili nam Turków,

Ach, to do nieba już o pomstę woła.

BAN. Ba!

TYB. Póki mogłem, cierpiełem uczciwie,
Dziś chętnie łotrem stałbym się: zapóźno!
Łeb siwy, ramię wyschłe. Dokąd pójdę?

BAN. Rabusi! Na nic te wszystkie wykrety.

TYB. Dziś w nocy pierwszy raz oto zacząłem
Probować tego rzemiosła. O, Boże —
Toć głodną żonę mam; pięcioro drobnych
Piskląt. I serce się do nich wydiera,
Ale Bóg widzi, że tego nie zdołam.
U stóp ja domu królewskiego długo
Czyhałem. W zamku było tam wesoło.

I często tak uważałem, że wbrew woli
Język wywieszam, jakbym iście pragnął
Wylizać to, co wylewają stamtąd.

Wtedy się, Banie, wemknąłeś do bramy,
Słyszałem twą rozmowę ze strażnikiem,
Zatem poszedłem za tobą, mój Banie —
Ponieważ mógłbym wyraźnie powiedzieć,
Kto tak tajemnie przybył. Każdy — pewny
Był, że należą też do ludzi Banka.

BAN. Pi! wszystko tutaj może być fałszywe.
Oszustwo, choćby człowiek szukał długo
Sposobów, aby zobaczyć się czystym,
Spraw, że mimo wszystko jest brudasem.

TYB. Czemuż piętnuje go tutaj konieczność?

BAN. Lecz ile dobrze nad tem myślę, sama
Wierność najczystsza... Ach — ale — cóż,
[zatem

Myśleć istotnie o tej sprawie? Boże!
Wierność to mara — o której ci każdy
Plecie, lecz której nikt nigdy nie zdybał.

TYB. O słodki Boże! znów mi się wydaje,
Że Ban rozmawia ze mną.

BAN. Mów, ja bardzo

Dobrze twą skargę słyszę, ale moja
Skarga też woła!

TYB. Ojcie miły, Banie —

I ty pan wielki — masz do skarg powody?
Więc nie jest grzechem jeśli biedny Tyburc,
W tajemnej zмовie pokłada swą wiarę.

BAN. O Boże! Gdybym mógł zapomnieć o tem...

TYB. Jakże inaczej wybrnąć? Dziel rycerskich
Nie oczekują odemnie, lecz przecie
Na wojnie grabić wolno. Za najlepszą
Myśl ta uchodzi powszechnie.

BAN (*smutnie patrzy przez okno*). Węgierska
Ojczyzna moja!

*) Dajemy tu scenę, w której pierwszych kilkunastu wierszach są aluzje do scen poprzednich, niezupełnie jasne dla czytelników. W dalszym ciągu niejasność znika.

TYB. Dobrze Merańczyki
 Bez wojny czynią toż samo, albowiem
 Przecie żydowie płacą dostatecznie,
 O których ściśle mówić też nie można,
 Że obdzierają każdego ze skóry.
 Siły potrzeba, aby zdzierać skórę:
 Tę Merańczycy obdzierają sami
 Wprost z naszych kości; czasem oni nawet
 Mięso nam wycinają mimowoli.
 Prawda, że oprawiany nieraz krzyczy,
 Ale potrzeby niema baczyć na to,
 Byle był zysk. — A Najjaśniejsza Pani?
 (Z gorzką pogardą macha ręką).
 BAN (wciska głowę w futrynę okna).
 Oh!

TYB. Ona piękne marmurowe domy
 Buduje. My zaś tymczasem marzniemy
 Pośród słomianych naszych chat.

BAN. Przekleństwo!

TYB. Jak trzody liczne są tam zgraje służby —
 Toć rzekłbyś, każdy jej włos osobnego
 Wymaga stróża. Wielu Merańczyków.
 Nieraz pomyślisz, że na szubienicę
 Wiodą cię. Wkrąg ją otoczyły łotry.
 My zaś możemy ledwo w siedmiu ludzi
 Jednego trzymać marnego pastucha.
 Bale wydaje nieustanne, jakby
 Ciągłe weselne wyprawiała gody
 Lub chrzciny — nam zaś serce bije mocno,
 Gdy jaki chłopiec z winiarni — przed nami
 W ulicy stanie. Toż nam przypomina
 Nasze zaległe długi. Merańczycy
 Harczą sobie na najlepszych koniach:
 Już deresz, już to siwy, już bułany.
 My wprzegać musim żony swe i dzieci,
 Jeżeli z głodu nie chcemy umierać.
 Bawią się, przejadają się bez końca,
 Jak gdyby każda cząsteczka ich ciała —
 Miała osobny żołądek, Z kominów
 Uchodzą nam bociany, gdyż my sami
 Odpadki jemy. Z naszych pięknych łąnów
 Zrobili gaje dziś do polowania,
 Których nam samym przekraczać nie wolno.
 A jeśli chora kobieta, lub biedne
 Dziecko — zgłodniałe — lichego gołębia
 Chwyci dla siebie: to go zaraz wiązą —
 I ten, co stokroć sto razy rabował —
 Surowym sędzią jest nieszczęśliwego,
 Którego nędza zmusza grosz zagrabić.

BAN. Tak ci jest.

TYB. Oni budują świątynię,
 Klasztory: gdzie zaśdmą w piszczałki, grają,
 Śpiewają głośno — że nawet pielgrzymi
 Tańcować muszą... Na błotnej ulicy
 My nawet dobrej nie mamy kapoty,

W którejby człowiek mógł siebie przed
 [zaczynam]
 Świętym patronem pokazać w kościele.
 BAN. O żarz się, wiruj, moja krwi!

TYB. Jeżeli,
 Panie, my skarżyć się chcemy, to pierwej
 Musimy pisać się nauczyć, bowiem
 Już by chłop biedny nie mógł tak do pana
 Iść, jako dotąd. Tak nakazał Bela
 Król: Merańczycy ciągną z tego zyski.
 Toż by zniszczyła podeszwa biedaka
 Zamkową — piękną, a gładką posadzkę.
 Kiedy tak może za ostatni halerz
 Jurysta nam wypisze naszą skargę.
 Ale któż gorzkie nasze łyzy wypisze,
 Aby nasz dobry król je mógł zobaczyć?

BAN. O Boże!

TYB. Winniby się raczej wstydzić,
 Gdy srebrem-złotem wyszywane pasy
 Im uderzają o nagolenniki.
 Boć to powstało skąd? z naszego potu.
 Na duszę klnę się — toć krepą żalobną
 Raczej by winni brzuchy swe owijać,
 Tak okazując nazewnątrż pokutę,
 Że nas nędzarzy — tym uciskiem ciągłym
 W grób popychają.

BAN. Znoś w spokoju.

TYB. Jużci
 W spokoju. Takci prawi nam w kaza-
 [niach]

Opat. Powiada tak: „Błogosławieni
 Cisi, albowiem synami bożymi
 Nazwani będą“. Lecz zawsze ma syty
 Żołądek. Boże, i cóż z tego, jeśli
 Nędza nas gnębi; piekła się nie boim;
 Niebo nam w jasnych barwach się nie złoci.

BAN. Zerwiemy pęta, zgnieciem równie wroga
 Jak przyjaciela; gdy ten cel osiągniem,
 Bedziem plakali. Żał mi twych gorczy-

TYB. (śmiejąc się). Ty nas żałujesz! Oh, nie
 [myśli Węgier]

Zbyt wiele o nas, gdy ma kieszeń pełną.
 Toć że natura sama przeznaczyła
 Biedaka, aby urodził się, żył,
 Pracował, cierpiał, troskał się, głodował
 I umarł. Tak-ci, tak! Zrozumieć trzeba
 Los nasz, by umieć nas żałować szczerze.

BAN. (z gniewem na niego spogląda, ale jego
 oko na czole Tyburca dostrzega bliźnię).

TYB. (zrozumiał — i troszką włosów stara
 się pokryć bliźnię).
 Było to przed dwudziestu sześciu laty.
 Młodziankiem byłeś jeszcze. Pod Jaderem
 Zły weneccjanin pewien pragnął ciebie:
 I twego ojca... Lecz to było dawno!

BAN. *(obejmuje go ramionami — przyciska do piersi — po chwili wsuwa mu do ręki sakiewkę).*

Mnie i mojego ojca? Pójdź, Tyburcy!

TYB. Ładny grosz! Ale czy go dasz każdemu, Co potrzebuje? Czy oddasz, co oddasz Za tych umarłych wyplakane łzy? Jeśli nie możesz dać czego innego Nad to co dajesz, jesteś bardzo biedn. Zważ, by ci jeden zbój — wraz z twym [workiem

Wielkoduszości twej nie ukradł.

BAN. *(z godnością).* Z kimże

Ty mówisz, Tyburc. Tyburc?

TYB. *(pada na kolana).* Panie Boże!

O, chciałbym zginąć. Nie jestem zło- [czyńcą,

A więc sam siebie zabić nie ośmielam.

Bowiem się gniewu bożego obawiam.

BAN. Tyburcy! Idź — idź! Poszukaj mej żony, A gdy ją znajdziesz przyjdź i czekaj na [mnie.

W domu zaś swoim opowiadaj ludziom, Że żyw jest Bank!

TYB. Więc dobrze! żyw nasz [ojciec,

Żyw jest nasz Bank, sąsiedzi! Wołać będę. *(Wychodzi ze łzami w oczach).*

(A. L.)

Brak miejsca nie pozwala nam dać tu bardzo bogatej twórczości dramatycznej węgierskiej. Wybitniejsi pisarze sceniczni węg. są: Edward Szigligeti, Zygmunt Czako, hr. Władysław Teleki, Karol Hugo, Józef Szigeti, Ludwik Dobsa, Franciszek Csepregi, Edward Tóth, Eugenjusz Rákosi, Grzegorz Csiky, Franciszek Herczeg i wielu innych. Za granicą Węgier znaną jest raczej farsa i krotchwilą węgierska, grana i w naszych teatrach, niżeli poważna komedia i dramat. Dajemy niżej fragment z *Tragedji Cziłowika*, Emeryka Madácha.

Jósika Miklos

(1796—1865)

Ostatni Batory

(Powieść)

Jósika jest to Walter Scott węgierski. Z powieści jego „*Ostatni Batory*” istnieje w przekładzie polskim (trzy edycje; pierwsza 1887). — Opowiada tu autor dzieje Gabrjela Batorego (1587—1618), księcia Siedmiogrodu. Był to degenerat, człowiek okrutny i w przedsięwzięciach szalony. Uciśkał ludność, równie węgierską jak saską — i miał bardzo szerokie zamiary podboju (Włoszczyzny), co prowadziło do nieustannych a bezpłodnych wojen. Powstał przeciw Gabrjelowi spisek dwustronny: naprzód Sasi, których rujnował, a powtóre szlachta węgierska; na czele spisku stał Gabrjel Betlen; ten nie miał innego sposobu, jak wezwać Turków na pomoc. Oblężony w Waraždynie Batory — zamordowany został przez własnych żołnierzy. Był ostatnim z rodu Batorych. — Trzeba dodać, że G. Batory i do spraw polskich się mieszał; był mianowicie w związku z uczestnikami rokosz Zembrzydowskiego. — Po śmierci Batorego księciem Siedmiogrodu został Gabrjel Betlen.

W powieści swej autor podaje całą tę historję Kaliguli Siedmiogrodzkiego, jaskrawo malując jego okrucieństwo, obłąd polityczny i jego zapędy miłosne. Cały szereg kobiet widzimy w tej powieści: z jednej strony bardzo uległe żony wielu nlecných doradców Batorego, jak Imrefi i Kamuly; z drugiej, kobiety czyste i dumne, jak pani Baltazarowa Kornisowa i pani Kendiowa, które opierają się jego żądcom — ale które Batory ściga swą zemstą; wreszcie piękna Saksonka Celesta Albina Weisówna, która wyobraża żywioł mieszczański Siedmiogrodu: jakieś nieokreślone uczucie popycha ku niej księcia, choć oczywiście zenić się z nią nie może — i pod zmienionem nazwiskiem, jako Ecsedi — ją od-
wiedza.

Do bardzo ciekawych figur powieści należy przebiegły i zuchwały Dimon, człowiek bezimienny, w istocie brat naturalny Batorego, szpieg i intrygant, który służy na obie strony, Sasom i księciu, ale w rzeczy samej największy wróg Gabrjela, któremu stanowiska zazdrości — i pracuje dla jego zguby. prawdziwie postać demoniczna.

IV

„OCZEKUJĄCA I OCZEKIWANY”

W kilka chwil potem Ecsedi, zatrzymawszy się w bliskości bramy miejskiej, zsiadł z konia, dał go do pilnowania stojącemu obok strażnikowi i zwrócił się ku starej lipie. Stała wkrótce przed temi, które go czekały. P. Ida szybko powstała z siedzenia i, rzec można, z uszanowaniem schyliła się przed przybyłym, witając go z uśmiechniętem obliczem. Celesta skinęła głową przyjaźnie, lecz poważnie. Ecsediego twarz pałała; spodziewał się widać czulszego powitania. Stał też długo przed piękną dziewczyną w milczeniu, lecz wreszcie zdjąwszy kapelusz, położył go na ławce koło Celesty i poprawił włosy! Chwilę trwało milczenie.

— Celesto, wyrzekł wreszcie — tyś smutna, cóż ci się stało złego? Liczę minuty, nim wybije godzina, w której się z tobą obaczę: go-

dzina, w której jedynie jestem prawdziwie szczęśliwy, że mogę ci powiedzieć, jak cię kocham. A ty stoisz przedemną smutna i z wyrazem goryczy w spojrzeniu. Powiedz, o ty duszo moja, dla czego cierpisz?

Celesta nie bez wzruszenia słuchając tej mowy, podniosła oczy na rycerza, który swoją wyniosłą postać robił wrażenie kolumny, stojącej obok drobnej, delikatnej, marmurowej statui — Celesty.

— I ty milczysz? Ach, jam się spóźnił! Może dla tego usta twe są zamknięte i miłość twa milczy Celesto, aniele mój? Może dla tego cierpisz, żem się spóźnił?

Pani Ida z nieznacznym uśmiechem skinęła głową.

Ecsedi, siedząc obok Celesty, pochwycił silnie jej rękę.

— Czym odgadł? mówił — a twarz zapłonęła mu, i oczy zabłyśły.

— O najdroższa, jam nie otrzymał dotąd od ciebie ani jednego pocałunku! O, to grzech śmiertelny przeciw miłości naszej. Niemasz chyba kobiety tak surowej, jak ty. Możnaby pomyśleć, że nie kochasz. O, niech pierwszy ten pocałunek będzie pocałunkiem pokoju — słodki i wonny, płomienny i radosny. O, Celi moja, dopókiś mi nie dała i nie przyjęła pocałunku, nie żyłaś!

Celesta zdawała się być teraz spokojniejszą, a przecież od czasu do czasu na jej gładkiem czole pokazywały się zmarszczki i chmurki.

— Więcej niż godzinę siedzę tu i czekam na ciebie — rzekła. — A wiesz, że czekać wypada raczej mężczyźnie, niżeli kazać czekać na siebie kobiecie kochającej.

— Na drodze miałem przygodę, dobry mój aniele, przygodę niespodzianą! Gdyby nie ta przygoda, byłbym tu o pół godziny wcześniej.

— W takim razie — rzekła — z uśmiechem Celesta — chcę być łaskawszą, niż wypada surowemu sędziemu, i przebaczam.

— A pocałunek pokoju?

— Pozostanie na przyszłość.

— Myślałam, że jesteś mniej surową — rzekła do niej Weinrauchowa.

— I pani też uważa za konieczne utrwalić zgodę zwykłym między zakochanymi sposobem. Błagam, przemów pani za mną.

— Dość, rzekła Celesta — odsuwając się od Ecsediego, aby ten się do niej zbyt nie zbliżył.

— Któż to był ten młodzian, którego na drodze spotkałem? Stąd właśnie wracał?

— Był to Sewer — rzekła Celesta — komendant twierdzy hermansztadzkiej. Dzielnny, uczciwy i rycerski człowiek.

— Nie widziałem w nim tego — rzekł lekceważąco Ecsedi. Sądziłem, że to jaki oficerak pachołków miejskich.

Celesta znów spoważniała.

— Nie, rzekła krótko, tyś tak nie sądził...

Ecsedi uśmiechnął się leciutko.

— Sądzisz, że wygląda tak bardzo szanownie? Od kiedyż znajduje się w Hermanstadzie?

— Został komendantem od kilku dni dopiero.

— A, więc to świeży komendancik. Rozumiem. Z tego powodu tak dumny.

— Młodzieniec ten to niezły człowiek — wtrąciła Weinrauchowa — trochę niepozorny, ale po bliższym poznaniu, dochodzi się do przekonania, że to jest człowiek uczciwy.

Ecsedi milczał.

— Ty coś kryjesz przedemną — rzekła Celesta. Tajemnica! Ty wiesz, że między nami być jej nie powinno. Wyście spotkali się i mówiliście coś ze sobą. Widziałyśmy to dobrze.

— Bardzo krótka była między nami rozmowa — odparł dumnie Ecsedi — nawet nie wiem, o czym mógłbym dużo mówić z tym panem Sewerem.

— Ręce jego poruszały się groźnie.

— Może muchy odganiał, Celi moja. — mówił Ecsedi śmiejąc się. — Młodzieniec odważny wszędzie znajdzie pole do popisu.

— Nawet wobec much? — spytała, śmiejąc się Weinrauchowa.

— Właśnie wobec muchy — odparł Ecsedi. Celesta teraz bardziej pochmurniała.

— Gabryelu — rzekła z powagą, lecz i z niezrównaną słodyczą — tyś mi nie powiedział prawdy i to mnie martwi, lecz ja znam cię lepiej, niż mi się chcesz przedstawić. Wiem, że mężny, rycerski Ecsedi, nie będzie nienawidził innego rycerza, który jest równie mężny, równie dzielny. Nie mylę się, jak sądzę, co do ciebie, Gabryelu! Powiedz mi więc, co znaczy ten wyraz goryczy na twojej twarzy, którego nie chciałabym widzieć?

Ecsedi milczał, usta jego szyderczo zadrdzały.

— Celesto moja — odrzekł — nikt się nie zawiódł na mnie, otwierając mi swe serce.

— Więc z Sewerem pokój, prawda?

— Ja się nie gniewam na niego. Na to trzeba czasu, aby nieco podrość. Jest on obe-

enie z tych ludzi, którzy stoją poza granicami mego gniewu.

— To pycha! — rzekła Celesta — lecz uczuciu temu inogłbyć tylko wtedy pozwolić wydobyć się z serca, gdyby to był jaki nędznik, niegodny ludzkiego szacunku; Sewer przecież jest człowiekiem zacnym, o którym nie złego słyszeć nie chcę.

Rumieniąc się, Celesta dodała po chwili:

— Tak, powinien on być poza granicami twego gniewu, bo nie mogę przypuścić, abyś chciał przykro dotknąć mego krewnego.

— Krewny twój! Nie wiedziałem o tem, ukochana — odparł Ecsedi marszcząc czoło.

— Jest on mym krewnym. Ojciec mój wziął go do swego domu, jako biednego sierotę; wychowywaliśmy się razem i jest między nami pokrewieństwo serc.

— W każdym razie ma on przywilej, że o nim wspominać źle nie można. Przestańmy zatem mówić o nim.

Weinrauchowa niespokojnie siedziała na krześle, a oczy jej spoglądały raz po raz na Ecsediego. Zdawało się, że jej nie zadowoliło takie zakończenie dyskusji. Co zaszło między Gabrjelem a Sewerem, nie było rzeczą dla niej wyjaśnioną. Że przecież coś było, o tem nie wątpiła. Dowodziły tego namiętne ruchy obydwu młodzieńców, gdy przemówili do siebie. Na twarzy Ecsediego była wciąż jakaś gorycz, a każde jego słowo, tyżące się Sewera, pełne było nieprzyjaznego usposobienia. Widocznie kryła się pozatem jakaś tajemnica, a Weinrauchowa nie była zwolenniczką tajemnic. Zapytała więc rycerza:

— Sewer powiedział coś, co się wam, panie, wydało niemiłym. Tak jest, to rzecz pewna, i myśmy to widziały z daleka.

— Nic mi nie powiedział — odrzekł Ecsedi, udając spokój — albo coś, co równało się niczemu.

— A więc przynajecie mi, panie, że powiedział coś — pytała dalej badawczo pani Ida. Celesta miała niespokojny wyraz twarzy.

— Przestańmy już mówić o tem — rzekła — i zmieniając tok rozmowy zapytała:

— Czy prawda, Gabrjelu, że książę jutro odjeżdża?

Weinrauchowa miała na twarzy wyraz zamyslenia i zdawało się, że nie słucha tego, co rycerz i siostrzenica jej mówią ze sobą.

— Tak — odrzekł Ecsedi. — Polujemy teraz na sarny i jelenie i mieszkamy w namiotach myśliwskich, jak nasi ojcowie, gdy ziemię tę zdobyli. Lecz wszystko ma swój koniec, Celi

moja! Książę w Temeswarze ważne sprawy czekają. Radu! w cichości się zbroi i musimy być w pogotowiu. W tych dniach książę oświadczył radzie, że pragnie Wołoszczyznę do Siedmiogrodu przyłączyć, aby zdusić gnado wiecznego niepokoju. Sądzę, że plan ten, jakkolwiek wykonalny, nie jest łatwym do osiągnięcia i że mieczom naszym trzeba będzie rąk silnych i nieugiętych.

— Siedmiogród powinien raczej wewnątrz się przetwarzać, niżli rozszerzać przez wyprawy wojenne — rzekła Celesta. — Siedmiogród rozrywają walczące stronnictwa, równie potężne i sprzeczne we wszystkim, a tęskniące za pokojem, naprzykład jak Sasi.

— Ale nie Szeklery — wtrącił Ecsedi. — Lecz jedni i drudzy znoszą tylko nieszczęśliwe skutki swoich grzechów przeszłości.

— Skutki grzechów? — zawołała gorąco Celesta. — Czyż Sasi nie brali udziału w każdej ofierze na rzecz kraju? Czy nie otwierali swych skarbców, gdy pieniędzy było potrzeba? A gdyby ich nie było, cóżby począł Siedmiogród bez tej pracowitej i użytecznej ludności?

— Nie przeczę — przerwał Ecsedi, lekko zaciskając usta. — Są oni bardzo użyteczni, ale nie dają rękami dostatecznej pod względem wierności dla naszej wspólnej ojczyzny. Zygmunt się ich nie lękał, ale późniejsi Batorowie nie mogli uważać zachowania się tej ludności za należyte. Wciąż oni tęsknią i marzą o swoich Niemczech. Chociaż dotąd pomiędzy nimi cicho, lecz o ile wiem, jest wśród nich wielkie stronnictwo, które przeciw księciu knuje intrygi i czeka tylko sposobności do jawnego buntu.

— Te słowa w twoich ustach, Gabrjelu! Ty oskarżycielem, a nawet wrogiem moich współrodaków! Cóż się stało, że dziś ci wszystko wydaje się tak ponurem? Kto ci o Sasach powiedział tyle złego? Czy nie zawarły z sobą przysięgi trzy narody? A komuż bardziej leży na sercu jej zachowanie, jak nie nam, najświeższym w tym kraju przybyszom? Przebóg! Geza i Andrzej wezwali nas, abyśmy nasz kraj opuścili i zamieszkali tu z wami. Stulecie nie minęło, a waszą ziemię nieuprawną i dziką — ojcowie nasi w prawdziwy raj zamienili.

— To prawda! Lecz dość tu jeszcze zostało lasów, w których mogą spiskować.

— Ach — rzekła Celesta. — Nie niewierność Sasów sprowadza ciągłe klęski na Siedmiogród, ale rządy, które książęta nasi źle nad tym krajem sprawują. Wiecznie prowadzą

wojny bezcelowe, a kraj cierpi i ludy jego są nieszczęśliwe...

— O! — zawołał Ecsedi — jak gorąco bronisz Sasów. Ale oni nie złazi się dotąd z narodem, utrzymują stosunki z cesarzem, z Włoszczyną i z wroga nam szlachtą węgierską.

Celesta pochyliła głowę w zamyśleniu. Weinrauchowa, milcząc, spoglądała, jak ta najpiękniejsza z kobiet, której usta były stworzone do pocałunków, a uszy do słuchania wyznań miłosnych, mówi o zatargach frakcyj politycznych, o wojnie i pokoju.

— Dzieła pokoju są ważniejsze od dzieł wojny i lud...

Umilkła, może aby nie dotykać rycerza zbyt silnem przedstawieniem tego, co go nie wywyższało, lecz raczej obniżało.

— Cóż lud?

— Cóż lud? — zapytał Ecsedi.

— Lud ma swoje prawa, które książę za nic waży. Po co ta nowa wojna z Radulem, której nie chce nikt prócz niego, a której skutki spadną na kraj i okrutnie nad nim zaciężą. Książę jest despotą, — książę nie waży sobie ludzkich cierpień, jest srogim w swoich rządach.

— Celo — zawołała p. Ida, ręce załamując — mówisz z nazbyt małym szacunkiem o księciu Siedmiogrodzkiem. Jesteś w miłości swej dla biednych i nieszczęśliwych zbyt gorąca — a nadto nie mówisz prawdy, bo wiem, że inaczej myślisz o księciu — i dziś czyliś nie odpierała zarzutów, jakie mu czyniono?

— Książę — odparł Ecsedi — czynić będzie to, co sam za dobre uzna.

— Ależ to tyranja! — zawołała Celesta. — Gabrjel Batory powinien być wykonawcą praw i stróżem paktów, zawartych między nim a narodem. Samowola — to pierwszy stopień jego upadku.

Ecsedi zamilkł i sposepniał. Zdawało się, że jakieś surowe słowo drży na jego wargach, ale wnet się uspokoiło. Oko jego tęsknie spoglądało na piękną rozmówczynię. Celesta była też dziwnie piękną w tej chwili, jak zwykle, gdy z głębi serca wypływające uczucie rzucało swój blask na jej oblicze. Dusza jej była niepowszednia i takiej właśnie towarzyszek życia byłby potrzebował ów książę, którego nazywała okrutnym, a inni szalonym. Był on namiętny i gwałtowny, samowolny, a nie miał obok siebie nikogo, coby umiał nim pokierować i powstrzymywać go w chwili fantazji i uniesienia.

Ecsedi lubił patrzeć na Celestę w momentach takiego zapału i widać było z jego oczu, że miłość potęguje mu się w sercu, gdy szlachetność jej uczuć podnosi się nad zwykłą płci jej sferę. Teraz jednak czuł się, jakby dotknięty jej sądem o księciu, którego przecie był przybocznym rycerzem.

Zdawało mu się, że jest za surową, że nie rozumie położenia osoby panującej — i o tożnąc uczuł do niej taki żal, że spoglądał na Celestę wzrokiem pełnym smutku i wyrzutu. — I ty przeciw niemu... — zdawały się mówić oczy młodzieńca.

Widoczne było, że serce w piersi skarży mu się na to. Był snadź powiernikiem Batorego i wiedział, że książę miał inne zamiary i cele, niż o tem sądził naród.

Weinrauchowa milcząc siedziała na ławie i od czasu do czasu spoglądała na Ecsediego. Kręciła głową, aby pokazać, że jest innego zdania niż Celesta.

(Pani Ida wychodzi. Ecsedi i Celesta zostają sami)

Młodzieniec się rozpogodził.

— Czy ci to nie jest miłe, że będziemy sami — zapytał łagodnie. — Czy dałem ci powód, abys się mnie lękała, Celi moja!

— Aby się lękała? — zapytała Celesta z dumnem podziwieniem. — Dlaczegoż miałabym się lękać ciebie? Jesteśmy przyjaciółmi, choć się czasem sprzeczamy — dodała już bardzo słodko, lecz wnet jej twarz zaszła jakoby chmurą. — Postępowanie ciotki jest dziwne — rzekła.

— Jakto?

— Odchodzi, jakby umyślnie, abyśmy zostali tylko we dwoje. Wiem, że ci sprzyja, ale tego nie lubię.

— Cóż jednak jest w tem złego? Przyznam ci, że mnie najmilej wtedy przy tobie, gdy między nami niema nikogo trzeciego. Gdy ktoś jest niepożądany, sprzeczamy się ze sobą; gdy jesteśmy sami, zgoda panuje między nami.

— To dlatego — rzekła z uśmiechem Celesta — że przedmiot, o którym wtedy mówimy, miłość nasza, nie daje powodów do sporu. Ale postępowanie ciotki budzi podejrzenie, jakby... — tu Celesta zamilkła spłonią.

— Jakby chciała nasz stosunek uczynić bliższym? Cóż w tem złego, ukochana? Słowa miłości płyną goręcej, gdy ich nie słuchają nikt

trzeci. Trzeci jest zawsze zbyt czyny i zakonczanym przeszkadza. Ciotka twoja o tem wie — wie, jak serce moje jest przepełnione miłością — więcej może, niż ty sama.

— Niż ja? — zawołała dziewczina. — Nie, to nie prawda, Gabrjelu! Kochałabym cię nawet, gdybym nie miała zaufania do ciebie, bo miłość jest nieświadoma, lecz wtedy nie powiedziałabym ci tego... A patrz, ja z radością mówię: kocham ciebie... ciebie, któryś jest szlachetny!

— I zawsze kochać mnie będziesz?

— Zawsze, do ostatniego tchu mego na ziemi.

— I zawsze tak zimno jak dotąd?

— Zimno? — spytała urażona Celesta. — Czegoż chcesz, abym ci mogła dowieść swej miłości? Ach, gdybyś mógł spojrzeć w me serce?

— Jakież dowody miłości dałaś mi dotychczas? Ja goręję, pożadam twego widoku, jak zbawienia, a ty przyjmujesz mnie jak wszystkich innych. Jeden pocałunek, jeden uścisk uniósłby mnie w niebo, a ty!...

— Ja — rzekła Celesta — odczuwam miłość swą w sercu. A przytem ty wiesz, kiedy dziewczycy wolno dać i przyjąć pocałunek.

— Ach, Celi, jednak ty jesteś zimna... Miłość nie porywa cię i nie unosi tak, jak mnie — namiętnie, gorąco, poza granicę suchych rozumowań. Przyjaciółki, ojciec, każde dziecko ma prawo do twego pocałunku. Ja tylko jeden jestem wyklęty, nie mogę zbliżyć ust do twoich ust...

— Ach, bo... — rzekła rumieniać się Celesta i zamilkła.

— Bo?

— Ach, po co się pytasz? Dziecko, krewnych, przyjaciółkę całują usta, ciebie zaś Celesta, kobieta kochająca, pocałowałaby inaczej... Dusza cała spłynęłaby mi na usta — i rozkosz pocałunku rozciąłaby mi życie na dwoje...

— Celesto! — zawołał Ecsedi — najczystsza i najszlachetniejsza ze wszystkich cór ziemi, czy się lękasz, aby życie twoje nie spłynęło się z mojem? — Ach, to właśnie jest tą rozkoszą, tym upajającym szalem pocałunku. Już zniknęły dwie istoty; stały się jedną... O, Celi!..

Posunął się, wyciągnął ramiona, ale ona z powagą się cofnęła.

— Gabrjelu — zapytała — dobrzeż to tak się zatracać w drugim istnieniu, gdy życie dwojga nie jest jeszcze połączone ze sobą? — Ach, i tak nie jestem już tą samą, co niegdyś. Moja dawna swoboda, mój słodki spokój — odbiegły mojej duszy, w której niegdyś panowała cisza głęboka. Teraz, gdy serce me oddałam tobie, niepokój ciągły tkwi we mnie. Minuty liczę, nim nadejdiesz, godziny mijają jak oczumgnięcia, gdy jestem z tobą; dni są dla mnie teraz jak ptaki skrzydlate i wtedy tylko zdają mi się nieskończone, gdy czekam cię, a ty nie przybywasz... I jeżeli miłość twa dla mnie jest prawdziwą i taką, jak moja dla ciebie — nie żądam nic takiego, przez coby dusza moja jeszcze więcej utraciła pokój.

.
.

(A. L.)

Vörösmarty Mihály

(1800—1855)

1. Odwrót Zalana

(początek)

Chwała nasza pradawna, w jakim ukryłaś się mroku?
Przeminęły stulecia — i w głębi tej nocy zagasły
Blaski twe. Idziesz samotna. Mroczne obłoki nad tobą.
Zapomniana, zwiotczała, chwiejąc się, idziesz bez wieńca.
Gdzież ten, co ci wojennym śpiewem przywróciłby chrobrą
Postać, w słowach potężnych wybuchłszy nad twoim upadkiem —
I po wielu stuleciach — ukazałby znów ci przywódcę
W skórze lamparciej Arpada — i groźną potęgę narodu?

Gdzie on? Nieme tysiące błdzą dokoła jak senne —
 Serce ich tętnić przestało — i drzemie sława odwieczna.
 Nadszedł niemocy wiek — a zniewieściałe potomstwo
 Światem dziś rządzi — i cnoty pobożnych wyszydza pradziadów.
 Mnie też w dniach ciszy sennej roily się miękkie rozkosze:
 Wnuk zapóźniony rycerzy — przemijające ścigałem
 Wdzięki niewieście — ich mocą oczarowany bezmyślnie.
 Ku nim ma pieśń kierowała swoje radości i skargi,
 Próżno-m chciał niebo ubłagać — o łaskę tych czarów zwodniczych.
 Przecie, gdy dni hałaśliwe młodości szalonej minęły,
 Nową siłę odczułem: jęły orzeźwiać mi duszę
 Piękne widziadła, pojawy rycerskie minionych stuleci:
 Űgo, i piękny Almosz, i dumny ów syn Almoszowy,
 Arpad w skórze lamparciej. Czy ty mnie słyszysz, ojczyzno?
 Wy, co się rwiecie ku szczytom, wy zdolni do czynu i czynu
 Żadni, synowie tej ziemi — czy wy słyszycie me słowa?
 Noc nadchodzi — czernieją szczyty pochmurne — ucichła
 Wrzawa życia — świat cały na sennej spoczywa pościeli.
 Lecz ja nie śpię: w mej duszy czarowne wirują obrazy
 Wieków zamierzchłych: kopije błyszczące i miecze stalowe
 Rozcinają powietrze; wojna dokoła grzmi, błyska —
 Widzę, jak suną przez stępy burkami okryci rycerze —
 Mkną na koniach galopem, aby zwyciężyć lub zginąć.
 Widzę chorągiew twą, Bulcsu — i iza mi w żrenicy wytryska.

(A. L.)

2. Wygnaniec

Któż jesteś powiedz, nieszczęśliwy,
 Co smutny ciągniesz w obce niwy,
 Gdzie nie brzmi szczęścia głos?
 W żalobną szatę przyodziany
 I biczem przekleństw osmagany,
 Przecz nęka ciebie los?
 „O! pozwól wlec wędrowkę dalej,
 Niech nawałnica we mnie wali
 Na polach tych, gdzie noc!
 Bo w mojem sercu większe ciemnie
 I większa burza huczy we mnie,
 Mój ból ma większą moc!“
 Może więc losu chce zrządzenie,
 Żeś stracił całe swoje mienie
 I bieda ciebie gniew?
 „Byłem zamożny ja przed laty,
 Dziś większej nad majątek straty
 Ból moje serce żre!“
 Może cię serca piecze rana,
 Zdradził przyjaciół? Ukochana
 Zerwała dawny ślub?
 „Nie znam ja zdrady z piekieł łona,
 Ani mnie zdradził on ni ona,
 Wierni mi poszli w grób!“

Umarli! — Może iza więc płynie
 Po żonie, dziecku lub rodzinie,
 Co w cichym grobie śpi?
 „Ci, których ja kochałem szczerze,
 Poszli już dawno w śmierci leże
 I po nich zaschły ży!“
 O, przemów, bracie, przemów, zali
 Piętno cię hańby może pali,
 Twe imię kryje srom?
 „Tak! co najbliższe, to w niesławie,
 I na wspomnienie serce krwawie,
 W hańbie mój kraj, mój dom!“
 Tyś znieślawiony, tyś wygnany,
 Tyś walczył za swój kraj kochany
 I trosk zaznałeś w bród?
 „Mnie wygnanemu jeszcze świeci
 Nadzieja, co się w blask roznieci,
 Bo jeszcze żyw mój lnd;
 „Kraj mój ukochan duszą całą,
 Umarł — i nic już nie zostało,
 Wesela niema tam;
 Końca boleści nie dożyję,
 Ja grób narodu w sercu kryję,
 Za miljon cierpię — sam!“

(M. D.)

3. Wezwanie

O Węgrze! Niech na wierność twą
Ojczyzna zda się miła!
Twój pierwszy i ostatni druh —
Kołyśka i mogiła.

Zresztą na świecie nie masz tym
Innego miejsca pono...
Życ i umierać musisz tu,
Cokolwiek ci sądzono!

To ziemia, którą nieraz krew
Twych ojców zlała wrzając...
To ziemia, co potężna jest
Dziejami lat tysiąca.

Arpad-bohater walczył cny
Tu za ojczyznę miłą,
Hunyada krzepkie ramię tu
Niewoli moc skruszyło!

Podobna-ż by duchowych sił
Aż tyle szło na marne,
Jako że wiecznem skrzydła ich
Przekleństwem są ciężarne?

Więc przyjdzie... a więc musi przyjść
Świetlany dzień, o który
W modłach tysiące mnogie serc
Unoszą się w lazury.

A jeśli nie, to musi przyjść
Wyniosły zgon i prawy,
I w ziemi głąb ojczyzny trup
W powodzi runie krwawej!

Wolności! święty sztandar twój
Tu dłoń dźwignęła męska...
Pod nim najlepszych synów twych
Tu krwawa zmoęła klęska.

Po zwianiu snów, przez losów złych
Burzliwe mknąc odmyty,
Żyw jeszcze naród w kraju tym,
Znekany, lecz nie zgięty.

Grzmi kraju i narodu wraz
W niedoli skarga wrzająca...
Błaga o życie lub o śmierć
Katusza lat tysiąca.

Toż z męskich piersi nie na żart
Krwí tyle toczy mękal
Tyle węgierskich wiernych serc
Toż nie napróżno pękał

Narody wieńcem stają wkrąg,
Tu, przy wolności grobie!
Z ludzkości oczu gorzka iza
W serdecznej łśni żalobie!

W wiernej miłości, Węgrze, miej
Ojczyznę twą jedyną,
Co żywi cię — a, gdybyś legł,
Pokryje cię darniną.

Zresztą na świecie nie masz tym
Innego miejsca pono...
Życ i umierać musisz tu,
Cokolwiek ci sądzono!

(Władysław Nawrocki)

4. Stary cygan

Graj, cyganie! Za cóż poję ciebie,
Nogom próżno skakać nie w zwyczaju!
Mam się gryźć o wodzie i o chlebie?
Do szklanicy lej-że mi tokaju!
Niestateczność treścią jest żywota,
Na przemiany pogoda i słońce;
Graj że, kto wie, co nam los przeznaczy,
Rychło smyk się zmieni w kij tułaczy.
Troska w sercu, a w szklanicy wino —
Graj cyganie! Precz niech troski giną!

Krew ci wrzeć powinna drożdży warem,
Krażyć winien mózg, drzeć szpik twych kości,
Wzrok komety płomienić się żarem,
Struny grzmieć huraganem surm złości,
Siejbą gradu ostrą, przeraźliwą...
Już się ludzkie dokonało żniwo.
Graj-że!

Niech melodji ciebie piorun uczy,
Co okrętom rozwiązuje pęta,
Jęczy, wrzdyga, gromi, błyska, huczy,
A zabija ludzi i zwierzęta,
Bo goreje świat, wojną objęty,
Wzdryga się Grób Boży w Ziemi Świętej.
Graj-że!

Czy to jęczy kto? Czy to kto płacze?
Czy to młyna piekielnego męka?
Czy to do wrót nieba kto kołaczę?
Czy to komu serce z bólu pęka?
Zali to jest złorzeczenie klęski?
Zali to nadziei hymn zwycięski?
Graj-że!

Zali to wygnańca pierwsza skarga
Nie uderza w głuche raju wrota?
Zali brat na brata się nie targa?
Zali pierwsza nie płacze sierota?
Zali na biesiadę sęp wyrusza?
Wieczna-ż męka to Prometeusza?
Graj-że!

Pozwól ziemi, onej gwieździe ślepej,
Dalej w gorzkiej swej posoce brodzić —
I w wędrowce przez płomienne stępy
Swoje zbrodnie i występki płodzić,
Póki z łona arki, w przyszłe lata,
Lepszego nie powitamy świata.
A więc graj! Kto wie, co...

Graj! — lecz nie! niech spoczną twoje skrzypce.
Światu kiedyś błysną święta zorze —

Gdy się już wyczerpią nawałnice,
 A niezgoda, gdy się w walkach zmoże
 Wtedy zagraj tak, by pieśń nieboga —
 Szła do węgierskiego Pana Boga...
 Wtedy w blaskach szczęścia łuny,
 Podnieś smyczek, uderz w struny —
 Jak poranek skroń ci zajaśnieje —
 Graj! — ze światem niech się co chce dzieje!
 (Władysław Nawrocki)

5. Pieśń przy winie

Perła wznosi się ku górze, w winnej cieczy —
 I nikt jej ku temu prawa nie zaprzeczy...
 Co jest perłą, niech w niebieskie rwie się szlaki,
 Co jest błotem, niech w pył lega ładajaki.

Karm i siłę bierze z jądła jeno ciała,
 Duchowego jest żywota wino chwałą.
 Duch i wino... Takie bliskie — krewne chyba?
 Zali kiedy głośną, sławną była ryba?

Miłość przy puharów brzęku gwarzy słodziej —
 Co w niej gorzkie jest — to wszystko precz
 [uchodzi.

Śmiejesz się, gołąbko luba, złotowłosa?
 Kochasz mnie? Niech błogosławią cię niebios.

Patrz — zgryzoty, bole, troski koi wino.
 Już przez wieki Węgier syny w mękach giną.
 Czas, iżby się ze snu wreszcie przebudzili:
 Szczęście nigdy im nie błysnie — lub w tej chwili.

Pije wino każdy, kto się Węgrem rodzi...
 Pite mądrze, myśl krzepiące — nie zaszkodzi...
 Rad kielichy za ojczyznę Węgier suszy —
 I czemś więcej chce jej służyć z całej duszy.

Towarzysze! W górę szklanki! Pijcie wino!
 Bole, troski i zgryzoty niechaj giną!
 Dziś Ojczyzny chwale — puhar poświęćcie
 A — jeżeli będzie trzeba — krew i życie.

Wiernie król na wszystkich Węgrów stoi
 [przedzie

I za sobą cały zbrojny naród wiezie:

Król w narodu swego chwale ma ponętę,
 Dla narodu szczęście króla znów jest święte

Być człowiekiem wraz i Węgrem — niech po-
 [trzebą

Będzie tym, których ta ziemia jest i niebo.
 Rozumiejąc się, wspierając — z dłonią w dłoń,
 Taki naród każdej burzy się obroni.

Wypić na Ojczyzny chwałę znów się godzi —
 Za Ojczyznę szklanka wina nie zaszkodzi!
 Niech obficie szczęście zlewa swe potoki,
 Gdzie dziś jeszcze kryją rany ból głęboki.

Niechaj tka węgierską wstęgę jedność z chwałą,
 By północy moc pogróżki zwalczyć śmiało!
 Zewnątrz krzepkie, wewnątrz rządne, możliwe,
 [wolne

Zawsze pewne, że się prawem rządzić zdolne.

Pragnie od nas: trudu, śmierci... bez wahania
 Wypełnimy najochotniej przykazania,
 By zarówno czuć w pokoju, jak w walk chwili —
 Żeśmy naszej powinności dopełnili.

(Władysław Nawrocki.)

6. Żywy posąg

(wiersz ofiarowany Polsce)

Jam posąg, lecz mię każdy człon boli nie-
 [szczęście —

W żyłach mi wre kipiąca męka krwi wybuchu.
 Płoną — jak na torturach — me zastygłe mięśnie,
 A nerwy moje toczą wciąż walkę bez ruchu.

Przed okiem mi wiruje ciągle wizja krwawa
 Ludu mego bojowych strasznych dni zagłady:
 Ofiary dla świętego odwiecznego prawa
 I nocne zapłaconych morderców gromady.

I widzę cienie dzieci mych umierających. —
 W gronie walk ostatecznych — widzę wypisane
 Krwia na murach Warszawy i wiosek płonących
 Imię mego ciemieczy, z tyranii utkane.

I słyszę rozpaczliwych bitew ryk gromowy
 I złowrogi szept zdrady, trucieli męstwa —
 Ach, i nie mogę rzucić na tych zdrajców głowy:
 Bezsilna — strasliwego zdrażonych przekleń-
 [stwa.

Nie mogę płakać, chociaż niby deszcz ulewny
 W oku mem wciąż gorąca łza tryskać zaczyna,
 Gdy wyłania się na świat ponury, bezzwenny:
 Wnet w zimne się, lodowe twarde perły ścina.

W głowie mojej szalony obraz jednej mary —
 Jak wichler goni, drugą spędzając w otchłanie —
 Święta miłość Ojczyzny, pełna łez ofiary,
 A za niemi w ślad wiary ohydne złamanie.

A każdy bicz nieszczęścia, jako piorun wali
 W naród mój w nieustannym jego krwi potoku;
 W zaraniu bitwy chwała zorzą mu się pali —
 Nędza, upokorzenie, śmierć wschodzi o zmroku.

W sercu mem — niewymowna męka! — wie-
 [cznie tryska

Święte pragnienie zemsty, by dom swego wroga
 Przemienić na płonący gruz i rumowiska,
 By choć tak w nim obudzić wreszcie bojaźń Boga.

Lecz tam, gdzie ból niememi wiecznie drga
 [lamenty —

Jękami wiecznie milczy głębia mego łona,
 Bo w niem na podobieństwo tamy w głąz zakłętą
 Marmurowa mi serce zakrywa osłona.

Mówić nie mogę. Jęk mój — jak cień nocy —
 [niemy.

Na ustach mych zamiera słowo i westchnienie,
 Sępy myśli i uczuć — żył mych czarnoziemy
 Szarpią wciąż, podsycając jeno me płomienie

Zawisł miecz mój wzniesiony, żądny walk —
[na wrogi,
Lecz naprężone się nie poruszają ramiona —
W odrętwieniu zastygły me kroczące nogi —
Nie skończy się mych cierpień liczba nieskoń-
czona.

Rozpętajcie się, członki moje skamieniałe —
Wyrwij się jęku, który płaczesz w moim łonie —
Bądź jak światł wstrzasające burze rozszalałe,
Co wyją, grzmia i huczą poprzez las i błonie!
Wyjdź, o słowo zaklęcia z ciemnicy więziennej,
Zbudź potęgę uśpioną, która drga w narodzie —
Uderz słuch każdej duszy mdłej, tchórzliwej,
[sennej

zarycz jako piorun na światła obwodzie.

Niewiele to, lecz wielkie, co wam usty swemi
Chcę rzec, — naturo, świecie, ludzkie pokolenie:
Jeśli w niebie jest litość, a prawo na ziemi,
Tedy spojrzycie na mnie i na me cierpienie. —
(A. L.)

7. Csongor i Tünde

Treść zapożyczona z ulubionego w Europie w wie-
ku XV — XVI opowiadania p. t. *Argirius*, które istniało
i w przekładzie wierszowanym węgierskim w XVI w.
Vörösmarty obrobił tą treść samodzielną na sposób
Szekspirowski (*Sen nocy letniej*). Przyczem legendę una-
rodowił i wprowadził do swej sztuki postaci z mitol-
ogii węgierskiej. — Csongor kocha Tündę; ale Mirigy
stara czarownica — wcielenie Pra-ża — prześladuje ko-
chanków. Napróżno Csongor od synów djabła uzyskał
środku czarnoksiężskie: musi on długo walczyć z nie-
jedną przeszłością i pokusą, zanim jego wierność przy-
niesie mu w końcu triumf — i za pomocą czarodziej-
skiego drzewa łączy się w końcu z Tündą. Dajemy
tu scenę, w której występują genjusze, życiwi kochan-
kom.

Scena z aktu V.

GENJUSZE. (*Pieśń w powietrzu*). Igrajmy —
[igrajmy.

Godzina upływa!
Ponad nami gwiazda drży,
Uśmiechnięta i szczęśliwa,
Lazur nieba nad nią łśni.
Z onych złotych gwiazd iskerek —
Idzie nasz świetlany szereg.
Od niebieskiej bramy —
Krążymy — fruwamy
Hej, koliskiem kótek-kół —
Lećmy w dół, na ziemię w dół!
Niebo cudnie promienieje —
Ziemia cudnie zielenieje.

(*Duchy kolejno sfruwają na ziemię*).

PIERWSZY. Hej, sfrunąłem. Jestem tu —

Jak mię łechcą liście drzewa!

DRUGI. Hej, sfrunąłem. Jestem tu —

Lekki wietrzyk mnie owiewa!

TRZECI. Hej, sfrunąłem. Jestem tu —

Młoda rosa pył rozsiewa.

KRÓL GENJUSZÓW. Bicie serca dziewicy jest
[moją kołyską.

Za to szczęście każdemu dam w nagrodę
[wszystko.

Bicie serca dziewicy serce me kołysze:

Ona patrzy miłośnicie; ja się wtulam w ciszę

PIĄTY. Miłszy jest zapach od kwiatu,

Jam jest duszą aromatu.

SZÓSTY. Ach, sfrunąłem. Jestem tu —

Jam westchnienie, pełne snu.

SIÓDMY. Na słodkiej twarzy dziewiczej —

Całus za całus się liczy.

Jam jest całus uśmiechnięty.

ÓSMY. Czekajcie — czekajcie:

Jam ogień w sercu zakłęty.

DZIEWIĄTY. Jam paniczek, co się zowie.

Co czynić? Mówcie, wodzowie!

NIEKTÓRZY. Zabawmy się.

INNI. W co i jak?

INNI. W pszczoł rój złoty, w róży krzak.

PIERWSZY. Ja królową będę pszczoł.

DRUGI. Ja zaś będę młody rój.

Hej, koliskiem kótek-kół

Polecimy w górę — w dół

Będziem bębnić, brzęczyć, dzwonić —

Wzajem się po liściach gonić.

TRZECI. A ja różą będę.

KRÓL. Stój.

Oto gałąź doskonała,

Z samej ziemi wyrosnięta,

By wprost z gruntu zieleniała.

Tu się bawcie — wy — bożęta —

Śród jej woni czystych fal.

DRUGI. Krzaku róż — czy dasz kwiat róży?

TRZECI. Jesteś motyl — uchodź w dal.

DRUGI. Jam pszczoła. Daj pić z twej kruży.

Użał się nad memi losy.

TRZECI. Co pić możesz?

DRUGI. Krople rosy.

TRZECI. Dobrze. Co mi dasz w nagrodę?

DRUGI. Pocałunek na ostatek

TRZECI. Nie trza — nie trza!

DRUGI. Ach, umieram bez powietrza.

TRZECI. Zapach chłoń, daję-c' woń.

DRUGI. Upojony-m jest tą wonią

Skrzydła sennie mi się kłonią.

Spadam, spadam gdzieś daleko,

Aż czerwona mnie koszula

Płatka róży wskroś otula:

Jak mi dobrze, jak mi lekko.

Toż się kąpać w tę tu ciszę —

Przyjdą inni towarzysze.

WIELU. Idźmy tam, by zbierać miód.

Wszędzie cud — dokoła cud!

Zapach róż, rosa róż, gałąź róż!

Miło tu, słodko tu dla naszych dusz.

(Całują się po troje).

TRZECI *(placząc)*. Biada! skrzydło me opada
Żądło jakieś w nogę kole.

PIERWSZY. Biada! skrzydło me opada.

Cierń mi sprawia srogie bole.

DRUGI. Tu nam komary grożą, pająki!

Precz z tej okropnej uchodźmy łąki.

MIRIGY *(wchodzi *)*.

KRÓL. Co za poczwarny idzie tu dziw!

CZWARTY. Aż zgroza patrzeć. Uchodź kto żyw
DZIEWIĄTY. Głowa bez formy, forma bez głowy

Ohyda — potwór — idzie na łowy.

PIERWSZY. Noga jej ręką, ręka jej nogą!

Uchodźmy swoją powietrzną drogą!

KRÓL. Lotem, lotem — hej, z powrotem!

Ziemia — to nie nasz jest świat.

Kłamstwo tu — i mrok — i jad!

(A. L.)

Garay János

(1812–1853)

1. Mojżesz Węgierski

Na błoniach, stopą Skity wydeptanych wokół,
Zuchwały jak pantera, a wolny jak sokół,
Lud zrodzony w brzasku wieków z krwi Magoga

[starej,

Nad Donem niezmierzone zalegał obszary.

O karki tego ludu wróg szczybił oręże,

Silni zgodą, w olbrzymów wyrosli tu męże;

Śmierć walecznych nie strwoży, przemoc ich

[nie złamie

Aż w domowych zapasach zwątało im ramię.

I ziemia, co karmiła ich od lat tysiąca,

Z gniewem niesforne syny od piersi odrąca,

Upada pod boleści i sromu ciężarem,

Gdy widzi ład skłócony w onem gnieździe sta-

[rem.

I trząsł się wielki obóz od zgietku i wrzawy,
Bratobójczych zapasów powiał sztandar

[krwawy,

I łuna krwawym rąbkiem pokrywa pół nieba,

A lud krzyczy jak wściekły: „oręża i chleba“!

Cóż to! czy grom uderzył? czy w śmiałym

[rozpędzie

Don gnany skrzydłem burzy, bije w skał kra-

[wędzie?

To głos wodza tak zagrzmiął... on gwałty po-

[wstrzyma,

Lud umilkł, słucha głosu — wzrok utkwiał w ol-

[brzyma.

To Almosz, syn Turula, mąż niezłomnej duszy,

Cudnież mu włos gołębi nad czołem się puszy.

Żrenica jak noc czarna, lecz popatrz w nią

[zbliska,

Jaki płomień słoneczny z jej głębi połyska!

„Stuchajcież mnie, zawoła, wy chobrze Ma-

[dziary:

Wamże ramię zbezwładniać bratniami poswary?

Zbrakłoż to ziemi żyznej na szerokim świecie,
Co Madziara do łona przytuli jak dziecię?

„Tam za góry, za rzeki nam pomknąć już

[pora

Tam pełne zwierza knieje, pełne ryb jeziora;

Sławny pradziad nasz Eteł, przed wieki da-

[wnemi

Krwia ojców drogo kupić każdą piędź tej ziemi

„Do lotu, bracia orły, za góry, za wody,

Tam siać nam czyste ziarno miłości i zgody;

W księdze wieków nam kreślić zgłoski ostrzem

[mieczy,

Niezlomna moc ramienia prawa zabezpieczy“!

Rzekł, i tysiąc płomieni błysnęło ku górze,

Tysiąc szabel w słonecznym kąpie się lazurze;

Z tysiąców piersi grzmiące rozległy się głosy:

„Prowadź nas... pójdziem z tobą wodzu siwo-

[włosy“!

I oto siedem rodów bratnich z krwi i ducha,

Zaczem pomkną na Zachód, istna zawierucha;

Patrzą w step, znać dostrzegli wśród mnogich

[rozdroży,

Szlak czarny, co go zdeptał przed wieki Bicz

[Boży!

Almosz wzywa Tuchtuna, Eloda i Tasza,

Unda, Huba i Kunda: „Wodzowie! Krew nasza

Niech uświęci serc węzeł“! Chwycą miecz

[z ochotą,

I siedem krwi strumieni ściekło w czasie

[złotą.

Z rąk siedmiu krew wytryska! już dobiega

miary,

Kolejno wodze usta przyłożą do czary!

*) Mirigy (czyt. *Miridy*) — jest to czarownica wroga bohaterom sztuki — Dosłownie *Mirigy* znaczy *Gruczoł*.

Uroczystem przysięgi związali się słowem,
Wybierać zwierzchnich władców w gnieździe
[Arpadowem.

Z łupów w boju zdobytych, w moc bratniej
[uchwały,

Wszystkim wodzom jednakie niech przypadną
[działy;

Im to sądzić przestępcę, im stać na praw straży,
Ten zgubion, kto na prawa łagnać się poważy.

Ruszają chmary ludu przez jary i wzgórza,
Mkną chyżo, jak po niebie mknie gradowa burza;
Śpieszą męże i starce, drobnej dziatwy roje,
Krasnolice niewiasty, jak kwiaty dziewoje.

Po przedzie, niby promień gdy z chmur się
[wysunie,

Jedzie wódz srebnowłosy na śniadym biegunie
Co krok zdobywa kraje, zbiera łup sowity,
W triumfie książę Skitów wiedzie dumnie Skity.

Pędzi po karkach ludów, przez siół zgorzeliska
Przebrnął bagna Mohacza, pot z czoła mu tryska
Gdzie przemknie, wicher przed nim niesie okrzyk
[grozy,

Już na Karpat wierzchołku rozbija obozy.

Tu powstrzymał krok starzec, tu serce w nim
[rośnie,

Stąd wzrokiem po obszarach zatoczy radośnie:
Kraj on mlekiem i miodem znać bogato płynie,
Niby ogród kwiecisty w rozkosznej dolinie.

Wtedy w duchu Almosza wielka myśl po-
[wstała,

Wzniósł w górę obie ręce, wzrok ogniem mu
[pała:

„Oto wasza ojczyzna! Bóg ją dał! — wyrzeczcie:
Niech kresy jej na wieki zakresła te miecze”.

„Ufność w Bogu i w mieczu! Bóg i miecz
[nie myli,

Waszą będzie ta ziemia praojca Attyli.

Wam dziś serce i ramię uzbroić w moc nową:
Jam strudzon, mnie czas spocząć pod darnią
[grobową”.

„Ty spełnisz wielkie dzieło z woli nieśmier-
[telnej!

O mój synu, bądź mocny, bądź wielki, bądź
[dzielny!

Lud to wosk w dłoni książąt — kłatwa tych
[dosięże,

Co z tego wosku lepią jasełka, nie męże!”

Umilkł, a lud tumanem na dolinę spada,
Grzmią rogi, krwawo błyska proporzec Arpada;
Kraj wzduż i wszecz końskimi stratowan ko-
[pyty,

Zgiełk, tętent, stare Karpat wstrząsły się granity,

A tam olbrzym — bohater, stoi na gór szczy-
[cie,

Podniósł ręce ku niebu, wzrok utkwiał w błękicie;

Nad promienistym czołem zadrży puch gołębi,
Znać brzask ojczyznej chwały błysł mu w du-
[cha głębi.

(Seweryna Duchńska)

2. Dwaj śpiewacy

Śród doliny w małej wiosce —

Na uboczu gdzieś — w oddali —

Skromni, zgodni, niezawistni

Dwaj śpiewacy zamieszkali.

Jeden śpiewak był to słowik:

Wielki smutek pierś mu dał,

Bo piękności go pozbawił

Trosk miłosnych srogi zar.

Drugi śpiewak — to skowronek,

Co miał szary strój ubogi,

Który kąpał się w kurzawie

I gdzieś mieszkiał w końcu drogi.

A gdy słowik ze skowronkiem

Wszczęli pieśń — ci piewcy dwaj —

I gdy tamten w niebo wzlatał,

Ten napełniał pieśnią gaj:

To ich muzyka czarowna

Całą ziemię radowała —

A z słuchacza smutnych oczu

Cicha szczęścia łza spływała.

(A. L.)

3. Urlopnik

Trzej byli razem: pisarz i sędzia brzuchaty

I Janosz, obieżyświat nad obieżyświaty.

Inni przy stołach różnych, liczny tłum zebrany:

Parobczaki wesołe; piją wina dzbany.

Od wieczery już pije cała ta gromada

Bez miary. Kielich wkoło krąży i opada.

Król Matjasz pewno tyle nie miał na Dunaju

Wiwatów, ile Janosz, gdy wrócił do kraju.

Toż były wielkie krzyki i wielkie wiwaty.

Gdzie bowiem mąż, jak Janosz! Chwat ci to

[nad chwaty.

Wszystkie oczy wpatrują się weń, jako w słońce,

Gdy opowiada czyny swe zdumiewające.

Teraz ujął swą ręką kielich na pół kwarty

I prawi swego życia sprawy — że niech czarty!..

Gdzie był, co widział, czynił, co inni czynili

Huzarzy, aż słuchacze gęby rozdziawili.

Janosz sam jeden tamał wojska huragany,

Ze swoim porucznikiem przebył oceany,

Francuskiemi głowami namiot swój obwiesił

I poprzez kraniec ziemi nogi swe przewiesił.

— Ale, mówił zazwyczaj — wszystko to jest

[niczem...

Więc się wszyscy przybliżają ciekawem obliczem.

— Jakto niczem? — rzekł sędzia. — To więcej
[niż dużo.

Pij, kumie. — Piją znowu, że aż się łby kurzą.

Djak rzecze: — Jeszcze większe dziwy usły-
[szycie —

Bo najlepsze w zanadru ukrył. Znakomicie
Teraz się tu szanowne publicum przekona,
Jak on jeńcem wielkiego miał Napoleona!

— Hm — rzekł Janosz — wielkiego?.. No, dla
[tych łobuzów

Napoleon jest wielki może, dla Francuzów.

Ale ja twierdzę święcie, że nie dla Madziarów,
A zwłaszcza nie jest wielki dla naszych huzarów.

Tak swoją rzecz nasz Janosz urlopnik wykladał,
Bo chociaż nigdy w życiu na konia nie siadał,
Ale tak często, prawiąc, o koniu wspomina,
Że w końcu za huzara miała go drużyna.

— Gdzie i kiedy, rzec trudno... Lecz na naszą
[wartę

W dwieście tysięcy chłopą napadł Bonaparte.
Nas stu, dwustu najwyżej, huzary nieliczne,
Ale jak żywy ogień, wymuskanie, śliczne. —

Słyszając te wielkie dziwy, djak przebiegły
[kichnął,

A Janosz dalej prawi, na chwilę nie ścichnął:
— Gdy na dwieście tysięcy tak nas dwustusypie,
Jak sądzicie, kto płakać musiał tam na stypie?

— Kto miał płakać? — odrzeczł sędzia tak
[zapytan —

Nie walczyć: ten mieć rozum winien był kapitan.
— Rozum był jużci! Lecz też kuraż nie do wiary,
Biliśmy się i to jak! — mówił piechur stary. —

Jam pierwszy jął ich rąbać szereg po szeregu.
Francuz padał, jak trawa albo płatki śniegu.

Słońce aż na to płonąć zaczęło goręcej,

Że dwustu tak runęło na dwieście tysięcy.

Słyszając te wielkie dziwy, djak na nowo ki-
[chnął,

A Janosz mówił dalej, na chwilę nie ścichnął.

— Uciekały Francuzi, jak z wiatrem cykorja,
My za nimi, aż dusim!... Taka ci historia!

Sam najwyższy dowódca ucieka przez błonia,
Koń ma złote strzemiona, wiatr nie dogna konia.
Ja za nim na ognistym wrywam rumaku,

Aż go w boru jak wichler zdybię. Mam cię,
[ptaku!

— Hej do kroćset! — zawołał, i za kark go
[chwycam.

— Czy tyś jest Napoleon? Wyznaj — tak go
[pytam.

— Ha, co prawda, to prawda! jestem — Tyko
[jęczy:

— Zzał się nad mojem życiem!... Że mi się
[odwdzięczy.

Żadaj czego zapagniesz, mój ty Węgrze
[młody.

A toć cesarz francuski skarbów ma jak wody.

— Nie na tem rzecz polega — mówię — proszę
[pana,

Ha, do kroćset tysięcy! Chodź do kapitana.

Słyszając te wielkie dziwy, djak na nowo ki-
[chnął,

A Janosz mówił dalej, na chwilę nie ścichnął.

— Jedziem, aż na równinie znajdziem się prze-
[stronnej.

Patrzym: przed nami powóz stoi sześciokonny.

W powozie damska pani, ślicznie wystro-
[jona,

Złotem i brylantami wkoło obwieszona.

Spojrzy na nas. O Jezu Marja — tak wykrzyka,
Pełna trwogi, gdyż była to Marja Ludwika.

— Tak mi przyszło cię widzieć, wielki Na-
[poljonie!

Jeńcem ty, najjaśniejszy mężu mój w koroniel

A ty ktoś jest, rycerzu, coś go wziął za bary?

— Do kroćset — odpowiadam — jam Johannes
[Hary.

— Słuchaj, dobry wojaku! — patrząc w moje
[oczy,

Mówi ta damska pani, że aż mię coś mroczy —

Czyn wykonałeś wielki. Nikt, nawet z Madzia-
[rów,

Nie zrobił tego. Godzien jesteś wielkich darów.

Puść go, a zaklinam cię do grobowej deski
Będziem z tobą w przyjaźni. Na honor króle-
[wski.

— Do kroćset, najjaśniejsza pani! Jam jest
[zdolny

Rozumieć, co to honor. Jeniec mój jest wolny.

Bo dla pięknej kobiety rycerz prawowity

Gotów iść w ogień, wodę i w piekiel skowity.

Jam prawy Madziar. Cesarz niechaj się nie lęka.
Niech siada razem z panią. Oto moja ręka.

Na ten dziw djak znów kichnął, aż się wstrzę-
[sły mury.

A Janosz kończy dzieje swojej awantury.

— Rzekłem i z Napoljona zdjąłem sznurów
sploty.

Ów zaś każdą z rąk daje mi zegarek złoty.

Jeden — myślę — kapitan będzie sobie nosił.

Drugi później porucznik ode mnie wyprosił.

Choć sobie mogłem jeden wziąć na całe życie —

Bo wy teraz wierzycie mi lub nie wierzycie.

Ale brzuchaty sędzia wraz z wiejską młodzieżą

I chytry djak we wszystko, co on prawił, wierzą.

I krążył wielki kielich, i szła mowa taka:

„Niemasz ci nad Janosza większego wojaka“!

(A. L.)

Eötvös József

(1813–1871)

1. Sierota

Północ bije na wieży.
 Któż to chyłkiem tak bieży
 W pomrok głuchy i czarny
 Po murawie cmentarnej?
 To sierotka, to dziecko;
 Żle samemu na świecie,
 Więc podąża co siły
 Do matczynej mogiły.
 Siadł na grobie i płacze:
 — „Niech Cię jeszcze zobaczę,
 Powstań, Matko jedyna,
 Wyrzecz słówko do syna!
 Odkąd wzięli Cię z domu,
 Ni pozalić się komu;
 Kto sierotę popieści?
 Kto ukoi w boleści?
 I kto powie mu słodko:
 — Ja cię kocham, sierotko! —
 Z wygasłego ogniska
 Ni płomyček nie błyska!
 Lepiej spocząłby w grobie
 Pod krzyżykiem przy Tobie,
 W chatce pustka i bieda,
 Kęsa chleba nikt nie da!”
 Długo sili się, długo,
 Łzy pociekły mu strugą;
 Ciche skargi wiatr niesie
 Po rozłogach, po lesie —
 Dziecku zimno, drży cały,
 W szron mu łezki stężały;
 Skargi coraz brzmiały ciszej, —
 Wiatr je ledwo dosłyszysz.
 I zamilknął grobowo,
 Lodem zmarzło mu słowo;
 Ledwie iskra tli w duszy
 A śnieg pruszy i pruszy.
 Radby powstał... nie może,
 Brak mu siły... mój Boże!
 Nadaremno trze oczy,
 Na grób cicho się stoczy.
 Jak mu dobrze, jak słodko!
 Spocznij, biedny sierotko!
 Grób go tuli do łona,
 Jakby matka rodzona.
 Nawskroś zbiegły go dreszcze,
 I uśmiechnął się jeszcze
 I zamrużył powieki:
 Zasnął cicho... na wieki!

(Seweryna Duchńska)

2. Spoczynek

Do stóp krzyża pielgrzym stary
 Zwolna dowlókt krok.
 Siadł, spokojnie na obszary
 Zgasły rzucił wzrok.
 Jak on szermierz walk świadomy,
 Gdy zakończy bój,
 Na wierzchołku baszty stromej
 Zatknie sztandar swój:
 Tak na bładem starca czole
 Jego Anioł Stróż
 Za przekrwawę życia bole
 Zatknał sztandar już.
 On w tej chacie upowitej
 W olch cienisty mrok,
 Piolunowej czary syty,
 Wlókł za rokiem rok.
 Oko starca patrzy śmiało
 Przez tumany chmur;
 Widzi przeszłość skamieniałą,
 Jak warowny mur.
 — „Dzięki — rzecze — Tobie, Boże,
 Dziś mi w sercu lżej.
 Już boleści ostre noże
 Nie tkną piersi mej.
 Wszyscy moi ukochani
 Poszli w cichy grób!
 Jak bezlistny dąb, bez trwogi
 Patrzę w odmęt burz;
 Zwiął mi liście wiatr złowrogi,
 Cóż mi weźmie już?”
 Patrzy w głębię własnej duszy
 W przedgrobowym śnie,
 Ani radość jej nie wzruszy,
 Ani boleść tknie.
 Milczy starzec sam na świecie,
 Jak na grobie słup;
 Wtem przybieży drobne dziecko
 Do pielgrzyma stóp.
 Pacholeńca lica hoże,
 Słodko głosik brzmi:
 — „Dziadku — rzecze — w Imię Boże
 Pobłogosław mił
 „Krzyżyk szczęście mi przyniesie.
 Nim zapadnie noc,
 Niech dla matki zbiorę w lesie
 Słodkich jagód moc.
 „Ja, pielgrzymie, tobie za to
 Tę róż wiązkę dam,
 W mym ogródku ją przez lato
 Podlewałem sam!”

Na bieluchnem dziecka czole
 Kładzie starzec dłoń;
 I odbiegło w lot pacholę
 Przez kwicistą błoń.
 Siedzi pielgrzym oniemiały.
 Patrzy w wiązkę róż;
 W jego piersi zaszumiały
 Skrzydła znikłych burz.
 W myśli błysły jasne chwile
 Rozbudzone snów;
 Marzeń tyle, bólów tyle,
 Tyle słodkich snów!

Mimo śniegów tych nad głową,
 Mimo czoła bruzd,
 Słyszysz jakieś drżące słowo
 Z koralowych ust.
 Zcicha oczy wzniośł ku górze,
 W pomoc niebo zwie;
 I upadły, drżąc, na różę
 Krople rosy dwie.
(Seweryna Duchwińska).

Najgłośniejszem dziełem Eötyösa jest powieść p. t.
Notarjusa wiejski, która wyszła w tłumaczeniu polskiem
 w r. 1855. Przekład Jana Dobrzańskiego.

Vachott Sandor

(1818—1861)

Pożegnanie

Błado świeci księżyc,
 Brzmi wieczorny dzwon.
 Pożegnanie śle mi
 Jego smętny ton.
 Pobłogosław, Boże,
 Kąt ten pełen ziół,
 Gdziem tak wiele szczęścia —
 Trosk tak mało czuł.
 Błogosław i ciebie,
 Siny wzgórk mój,

Gdziem siadywał nieraz,
 Plotąc marzeń rój.
 Jak mi ciężko żegnać
 Ten rodzinny kąt —
 Gdybymż mógł, sierota,
 Nie odchodzić stąd!
 Tylko ty, strumyku,
 Jeden — wśród mych dróg
 Pójdiesz razem ze mną —
 Wieść nas będzie Bóg!
(A. L.)

Petőfi Sandor

(1823—1849)

1. Miłość i Wolność

Miłość! wolność! — W dni moich rozkwicie,
 Duch mój z niemi w ścisłą wszedł zażyłość:
 Za mą miłość dam w zamianie —
 Życie.
 Za wolności odzyskanie —
 Miłość!
(Władysław Sabowski)

2. Cud Boży

Odkąd gwiazda dziejów jasno
 W mroku zbiegłych wieków płonie:
 Ach! my zawsze ręką własną,
 Miecz topili w naszym łonie.
 Ilekroć pod tym mieczem krew ściekała
 [w bród:
 Że Węgry dotąd żyją — ach! to Boży cud!

Niezleczeni długie wieki
 Z naszą krwawą żyjem blizną,
 A kto balsam niósł na leki,
 Wszak płacono mu trucizną.
 Żył duch ujął nas w matnię swych piekieł —
 [nych złud:
 Że Węgry dotąd żyją — ach! to Boży cud!
 Jak psy, wciąż się gryzłim sami,
 Rozgrzebując własne śmiecie;
 A tymczasem, dzwoniąc kłami,
 Lwy siadały nam na grzbiecie.
 Srogi Turczyn i Tatar gniółł nieszczęsny lud:
 Że Węgry jeszcze żyją — ach! to Boży cud!
 Patrzcie, oto wody Sawy
 Toczą nurty tak czerwono:
 To się Mogoł wessał krwawy,
 Jak pijawka w nasze łono.
 Szła w trop za nim pożoga, bładny mór i głód:
 Że Węgry jeszcze żyją — ach! to Boży cud!

Oto Mohacz — król wśród błota
 Zgrzązł, stawiając wrogom opór,
 Włóczęnia jego, już sierota,
 Przekowana w srogi topór
 Wciąż spada nam na karki i krew toczy
 [w bród:
 Ze Węgry jeszcze żyją — ach! to Boży cud!
 Co dziś począć, biedny ludu?
 Mrok tajemny przeszłość słoni...
 Mamyż z nieba czekać cudu?
 Mamyż ufać własnej dłoni?
 O! bracia, skrzepmy barki na pracę i trud:
 Ze Węgry jeszcze żyją — ach! to Boży cud.
 (Seweryna Duchńska)

3. Ocean się przebudził

Ocean ludów zbezładniały
 Ze snu ciężkiego zbudził się...
 Niebiosa z ziemią wraz zadrżały,
 Bo w strasznym gniewie fale swe
 Aż pod najwyższe chmury śle.
 Czyście widzieli jego tany,
 Słyszeli dźwięk tej pieśni nut?
 Zobaczcie ten niespodziewany,
 Ten niepojęty dla was cud,
 Zobaczcie jak się bawi lud!
 Ocean ryczy, jego łono
 Wstrząsa okrętem, drży i wre,
 Pędzi go w przepaść niezgłębioną,
 Wyniosłe maszty w drzazgi trze,
 Rozpięte żagle w szmaty drze!
 O, trwaj w swym gniewie, oceanie,
 Wszechświat potopem krwawym strasz,
 Pokaż mu głębin swych otchłanie,
 Podnoś się wyżej, wciąż, aż dasz
 Wściekłości pianą chmurom w twarz.
 O, trwaj w swym gniewie, falą siną
 Gmachy przesądnych złudzeń zwal!
 Wskaż, że choć fale nisko płyną,
 A okręt po nich sunie w dal,
 On zawsze jest na łasce fall...

(Władysław Sabowski)

4. Wiosna 1849

Młoda wiosno, starej zimy dziecko,
 Dziecię, świetne wróżące nadzieje,
 Gdzież więc jesteś?... Dlaczego po świecie
 Płaszcz królewski twój nie promienieje?
 Przyjdź, o wiosno! — Twój przyjaciele
 Już cię dawno zwiem na łąny nasze,
 Niech twój uśmiech promienny rozściele
 Na gałęziach liściaste szalase.

Córka twoja, Jutrzenka, ze łzami
 Oczekując ciebie, z bólu pada...
 Matko! przyjdź ją leczyć uściskami,
 Spójrz na nią, jak wąta i blada.

Przyjdź, błogosław nasze stępy, wiosno,
 Szare nasze błogosław niebiosą,
 Ulecz zorzę... niechaj łąą radosną
 Zwilży ziemię naszą, złotowłosa.

Wróć przestworzom wesołe płaszcza,
 Co pieśniarzom podszeptują pienia,
 I swym śpiewem uczą niemowlęta
 Najświętszego Wolności imienia.

Lecz nad wszystko, co przyniesiesz w darze,
 Przynieś kwiatów, wiosno, kwiatów wiele,
 Niech dłoń twoja szczodra po obszarze
 Ziemi naszej mnóstwo ich rozściele.

(Władysław Sabowski)

5. Pieśń junaka

Mój duch śni wciąż o krwawych dniach,
 Gdy stary świat zapadnie w zgłiszczą,
 A na tych gruzach nowy gmach
 I nowych staną dni bożyszcza.

Niech zabrzmią już, niech zabrzmią już
 Bojowych trąb rozgłosne tony:
 Wojennych burz, wojennych burz
 Pożąda duch mój, krwi spragniony.

Z radością skoczyłbym na grzbiet,
 Na grzbiet bystrego mego konia —
 W szeregu mężnych byłbym sędzi,
 Jak wicher przez skrwawione błonia.

Gdyby w pierś moją trafił strzał,
 Znajdzie się ktoś, co ją otuli,
 Znajdzie się ktoś, co będzie miał
 Całunków balsam przeciw kuli.

W kajdany wraz gdybym wpadł,
 Odwiedzi ktoś mej celi ciemnie,
 Ponurych snów mych czarny świat
 Rozproszy jego wzrok tajemnie.

A gdybym zmarł, a gdybym zmarł
 Pod mieczem kata czy wśród bitwy,
 Znajdzie się ktoś, co wnetby stał
 Krew białych zwłok mych łąą modlitwy.

(A. L.)

6. Do magnatów przebywających zagranicą

Wrzody ojczyznę toczące,
 Rzucam na was potępieniem,
 Gdybym miał gromy pałace,
 Spaliłbym was ich płomieniem!

Gromy nie są mi danymi,
 Lecz jak pocisk piorunowy

Uderzę słowy grzmiącemi
Na skalane wasze głowy.

Czyli kraj nasz tak opływa
W skarby, by je marnie trwonić?
Nie! Ojczyzna nieszcześliwa
Nie ma czem swych ran ostonić.

Złodzieje! plony jej łąnow,
Krwawy pot krainy żywej
Składacie u stóp bałwanów
Na ołtarz cudzoziemczyzny.

Tu głodne tłumy marnieją,
Zebrząc okryte w łachmany,
Tutaj łyż krwawe się leją —
Wy tam lejecie szampany.

A gdy pochłonie ostatki
Mienia rozpusta szalona —
Wracacie żebrać u matki,
Co przez was żebrać zmuszona.

Jak się skazaliście sami
Na wygnanie z własnej ziemi —
Tak niebo zrobi z duszami,
A ziemia z kośćmi waszemi.

(Władysław Sabowski)

7. Co poczniecie?

Tchórze wnet na trwogę dzwonią,
Kiedy lutnia pod mą dłońią
Wyda śmielszy jaki dźwięk,
Jaki okrzyk, a nie jęk.

Burzy, co się wnet rozsroży,
Wiatr przedwiestnik już nie trwoży,
A pieśń moja — wolny ptak,
Mknie z tym wiatrem w niebios szlak.

Burza się niechybną stała,
Ale dotąd czemże grzmiąta?
Głuchym krzykiem moich warg,
Słabem echem ludu skarg.

Lecz gdy w grozy majestacie
Straszny podmuch jej poznacie,
Zmiecie ona liście z drzew,
Z żywych serc wysączy krew.

Cóż poczniecie, gdy jej łąna
Od bieguna do bieguna
Zalśni blaskiem swoich szat,
Gdy jej wulkan wstrząśnie świat?

Cóż poczniecie, gdy żywiły
I pioruny jej w popioły,
W gruzy wszystko zaczyna gnieść?
Ja — hymn wznoszę na jej cześć!

(Władysław Sabowski)

8. Pieśni o generale Bemie

a) Pułk Siedmiogrodzki

My nie-zwyciężym? — rzecze Bem nasz stary,
Rycerz wolności, mąż niezłomnej ręki:
Toż światłem pomsty lśni nam przez opary
Krwawa gwiazda Ostrołęki!

Wódz idzie siwy... Włosy jego brody
Świecą jak biała chorągiew wśród boju —
A po zwycięskim triumfie swobody,
Jak prawy symbol pokoju.

Wódz idzie siwy. Za wodzem kochanym
Młodych rodaków jego wić mknie hoża;
A tak za starym idą huraganem
Rozwichrzona fale morza.

Dwa zjednoczone macie w nas plemiona
I jakie jeszcze: Węgrzy a Polacy!
Jakaż potęgą zegnę ich ramiona,
Gdy w jeden cel mkną jak ptacy?

Jeden jest cel nasz: by wspólnie kajdany
Zerwać, któremi nas tyranja pęta.
Więc przysięgamy na twe krwawe rany,
Zerwiem je, Ojczyzno święta!

Zbójco w koronie, niech przeciw nam wali
Sług twoich płatnych wraza legła wściekła,
A my z jej trupów będziemy budowali
Most, którym pójdziesz do piekła!

My nie zwyciężym? — rzecze Bem nasz stary
Rycerz wolności, mąż niezłomnej ręki:
Toż światłem pomsty lśni nam przez opary
Krwawa gwiazda Ostrołęki!

(A. L.)

b) Pod Vajda-Hunyadem

Przypuście mnie wy, mury dostojne —
Racz mnie przyjąć, sławny grodzie stary!
Bądź pozdrowion! Gdzie mieszkał bohater,
Tam w pocie natchnień skrzą się zary.
Kto tu mieszkał? kto? Wielki Hunyadi —
Jakiż ogień w duszy mej się zjawia?

Serce moje tak wali jak bęben.
Zamiast ust — niechaj serce przemawia.

Tu on mieszkał — tutaj on być może —
Pod sklepieniem rozmyślał tej wieży —
I stąd pewnie on w przyszłość spoglądał,
Stąd dziś w przeszłość wzrok duszy mej mierzy.
Tu spoczywał po tych licznych trudach,
Jakie niosła mu bitw nawałnica,
Gdy na murach Konstantynopola
Potrząsł dumnym rogiem półksiężycą.

Tu spoczywa dziś w cichej samotni,
Gdzie zielona się wiję dolina:
Żaden wichur nie wstrząśnie chorągwi,
Co nad grobem jego się przegina.

Ta samotnia go kryje przed światem:
 Nic innego on z niej nie dostrzeże,
 Jenó zdala widzi gór praójca —
 Retyeza szczytów białosnieże.

Gród Hunyada w zdumieniu rad woła:
 — Kogoż widzę? Hunyadi — me dziecię!
 Przyszedł w końcu nadludzki bohater —
 Co go czekam tu czwarte stulecie!
 Ja wierzyłem zawsze, że ty wrócisz —
 Moc ta wiara dawała mi czysta —
 Że nie zgine, że strzymam żalobę
 I cierpienia przez te lat czterysta.

I przyszedłeś! Bądź mi pozdrowiony —
 Długom, ojczy, śnił, że przyjdiesz w gości!
 Żal mi jeno, żem głaz — i nie mogę
 Płakać łzami serdecznej radości.
 Gość odrzecz: — Żal mi, Hunyad-varze,
 Że twa radość jest ułudnym snem.
 Nie przychodzi tu ów, coś go czekał,
 Nie Hunyadi zowie się, lecz Bem!

Rzecz: Hunyad-var: Cóż mi się troskać,
 Jak się zwałś wówczas, jak zaiste
 Dzisiaj! Imię zmienne jest, przemija —
 To co widzę — Duch — jest wiekuiste.
 Nie z imienia, z ducha cię poznaję —
 Twych mi czynów wskazują cię bliźni,
 Tyś ten sam, co lat temu czterysta:
 Do węgierskiej dziś wracasz ojczyzny.

(A. L.)

9. Austria *)

Jak opustoszało Jeruzalem,
 Tak opustoszejesz ty, Austro!
 I jako mieszkańce Jeruzalem,
 Tak na wygnanie pójdą twoi cesarze!
 Gotowi bądźcie wy, ścigani wygnańcy,
 Wy Filistyny nadęte!
 Oto godzina uderza,
 Żeście uchodzić powinni,
 Póki was nie wycisną
 Walącego się tronu ruiny.
 Tu wam ginąć nie wolno,
 Ale żyć, długo żyć po upadku —
 W nędzy, nędzy nieskończonej.
 Próżno wy umywacie swe ręce,
 Wy nowe Ponckie Piłaty!
 Świat wy złudzić możecie,
 Ale Bóg was widzi i rozumie —
 I niemasz dla was żadnej łaski!

Czyście wy zasłużyli,
 Choć cokolwiek na litość niebiosów,
 Coby wam li na włoskę przychyliło nieba?
 Nie, nie! Wasza monarchja —
 To straszliwa Kalwarja wolności,
 A wasze panowanie było czem? Przekleństwem!
 Porwaliście setki bohaterów,
 Światło ducha, płomień ducha,
 Co roztopia kajdany niewoli,
 I głęboko pod ziemią wyście ich ukryli.
 A na ziemi w rozpaczonym pomroku
 Wyście kwiat rozwijali tyrantji,
 Ciemnotę, co koślawi i ciało i duszę —
 Spętaliście łańcuchem
 Prawo narodów —
 I okradliście ich skarby
 Wy, purpurnośne katy,
 Wy, koronowane złodzieje!
 Lecz ukradzione dobro
 Wam samym nie da zysku.
 Pótnagich
 Wypędzać będą was
 Zbuntowani poddańcy —
 Jako cherub o mieczu ognistym
 Wygnał z raju Adama i Ewę.
 Żebrać będziecie tak,
 Jako przez was żebrały miljony.
 Żebrać będziecie, nędzarze,
 A nikt wam nie da jałmużny:
 Gdyż do kogo bądź się zwróćcie —
 Ten, iż zbrodni waszych był ofiarą —
 Plunie na was, odepchnie
 I ze wstrętem się od was odwróci.

A gdy z głodu tak zemrzecie,
 Nad waszem zdechłem ścierwem
 Ulatywać będą kruk!
 Gdyż nie będzie człowieka — i niech go nie
 [będzie,
 Coby ze zgrozy trupy wasze chciał pogrzebać!
 Kruków jelito będzie waszym grobem
 A całunem wam będzie przekleństwo narodów!
 (A. L.)

10. Jałmużna

Przy wyjściu z teatru stał starzec, i łzawo
 Poglądał na tłumy, co z śmiechem i wrzawą
 Po schodach z marmuru schodziły.

Poglądał i wołał: — „O! panie i pany!
 Grosz dajcie, grosz jeden, bom głodem znę-
 [kany

I nie mam do pracy już siły.

Lecz panny i panie śpiesząc się bogate
 Na wista z lansjerem, na słodką herbatę,
 Mijały oziębłe biednego;

*) Potężny ten i piękny, białym wierszem ułożony fragment, zawiera strofy prorockie, dla których podajemy ten utwór w przekładzie.

Mijały, nie wsparłszy... On jednak westchnie-

[nia

Słał w niebo gwiaździste, za serca z kamienia,
Słał z prośbą za wodza swojego.

Tłum poszedł. — Za tłumem, pod ramię z ko-
[biętą

Prześliczną, szedł panicz, szedł w oku z lornetą
Wesoły, śmiejący, urodny.

Więc starzec do niego: — O! panie wspaniały!
Daj na chleb, zawołał, daj datek mi mały,
Bom biedny, bom chory, bom głodny...

Pan spojrzał, przystanął przed szatcem przy

[ścianie,

I krzyknął: — „A czemu, gdy prosisz, łachmanie,
To czapki nie zdejmiesz przed nami“?!

I w głowę uderzył tak silnie starego,
Że czapka zleciała, że opadł płaszcz z niego
I lica zalały się łzami.

I wtedy zobaczył młodzieniec wspaniały —
Że biedny ręk nie miał... Zobaczył też mały
Krzyż zasług, na piersi przypięty...

Więc do nóg upada i jęknął zławiony!
— O przebac, o daruj! jam podły, szalony,
Mnie szatan opętał przeklęty“!

(Miron)

11. Karczemka

Stoi karczemka na końcu wioski,
Stoi pośrodku drogi szamaskiej
I na gościniec patrzy szeroki,
Półki się nocne nie zbliżają mroku.

Mrok nocny pada. W cichym rozgwarze
Kończą się prace, milkną żniwiarze.
Przestały huczeć młyńskie kamienie,
Zapanowały mrok i milczenie.

Lecz zato w karczmie rozgwar niemały:
Brzmiały dźwięki pieśni — grają cymbały —
Tańczą chłopaki rozochocone,
Aż trzeszczą w oknach szyby wstrząśnione.

Hejże, karczmarko, złota dziewczyno,
Staw tu przed panem najlepsze wino,
Niech będzie stare, niech będzie czyste —
I, jak mój młody konik, ogniste.

Hej-że, cyganie! Zagraj na dudzie.
Tańczymy żywo! Tańczymy, ludzie.
Całą mą sakwę wytańczyć muszę,
Muszę wytańczyć całą mą duszę.

Wtem od ulicy w okno ktoś wali.

— Chłopcy, mniej wrzawy róbcie na sali.
Wielmożny pan nasz spać chce w tej porze,
Przez wasze krzyki usnąć nie może.

— Niech czarci porwą twojego pana —
I ty, służalcze, idź do szatana!

Hej-że cyganie, zagraj na dudzie:

Tańczymy dalej, tańczymy, ludzie.

Znów bicie w okno gromadka słyszy.

— Niech się panowie weselą ciszej,
Niech Bóg wam szczęści. Tak późna pora...
Biedna matula moja jest chora.

Nikt na te prośby nie odpowiada.

Płacą karczmarce ile wypada:

Milkną cymbałów dźwięki wrzaskliwe.

Idą do domu chłopcy pocziwie.

(A. L.)

12. Mój Pegaz

Pegazem moim nie angielski koń
Wysmukły, wiotki, z szczudłowemi nogi;
Nie moim stępak meklemburskich błon,
Niezdarny, wielki i ciężki do drogi.

Pegazem moim, kary jako mrok,
Węgierski rumak, krwi madziarskiej czystej,
Z rozkoszą słońce swój zatapia wzrok
W zwierciadle jego szerści jedwabistej.

Nie w stajni zrodzon, nie przechodził szkół —
Jak konie stadnin i zawodów pańskich,
Wzrósł bez wędzidla, karmą stepnych ziół.
Jam go na piaskach schwytał kiskumańskich.

I nie włożyłem siodła mu na grzbiet,
Lecz tylko prostą okrył go derzycą;
A gdym go dosiadł, w lot się puścił wnet,
O! bo mój kary — krewny z błyskawicą!

Najchętniej zwykł on pędzić ze mną w step
Bo tam wzrósł dzielny, bo tam urodzony,
Gdy w Pustkę zmierzam, w górę wznosi łeb,
Rży, kopie, parska, wietrząc łan zielony.

Gdy dom napotkam w pośród pól i łąk,
A przed nim dziewcząt, jako pszczołek roje;
To biorę kwiatek z najpiękniejszych rąk
I jako wicher pędzę w stępy moje!

A w tym polocie na rumaku mym,
Co by w świat inny na mój głos mknął cwałem,
Lśni piana, para bucha zeń jak dym,
Lecz nie znużeniem kipi on: — zapaleń!

O! nie tak prędko trud go zwali z nóg,
I nie tak prędko zechce on wytchnienia;
Bo wiele jeszcze przebyć musi dróg,
Nim dotrę granic mojego zyczenia.

Więc pędź, Pegazie, koniu drogi pędź!
Przez skały, rowy, naprzód! dalej, dłużej!
Aż tam, gdzie wszelka kończy się już chęć,
Pędź mój Pegazie, pędź na skrzydłach burzy!

(Władysław Sabowski)

13. Poeta i wino

Nie chcę, by mi w podarek
Dano wieniec laurowy,
Inny dar od madziarek
Przyjąć jestem gotowy.

Gdy chcą, głowę niech moja
W liście winne przystroją...
Bo liść winny, syn pieśni —
Są w swej doli równieśni.

Los tak samo uczynny
Wieszczą i krzew obdarza,
Wina duszą — płyn winny,
Pieśń jest duszą pieśniarza.

Gdy się dusza rozpułnie
Czy to w pieśni, czy w winie,
Krzew i pieśniarz umiera,
A świat sobie zabiera
Ich spuściznę jedyną:
Wdzięczną piosnkę i wino.

(Władysław Sabowski)

14. Obdarci rycerze

I jabym umiał wiersze moje
Przystroić blaskiem świetnych szat,
Na pańskie posłać je pokoje,
W wir towarzystwa, w wielki świat.

Lecz nie skrepuję ich zapału,

O strój wytworny pragnąc dbać:
Rąk marmurowych ideału

Nie myślę w rękawiczki pchać.
Nie grzmiać dziś działa, dźwięki mieczy

Ucichły, w kątach żre je rdza,

Ale trwa wieczny bój człowieczy,

Ideł walka wieczna trwa.

Z orszakiem licznym, zbrojnym szykiem

I ja w ten wielki ruszam bój

I walczę pieśnią... Zapaśnikiem-

Rycerzem jest wiersz każdy mój.

Chociaż obdarci to szermierze,

Lecz mężnie walczyć idą w świat,

Bo tylko dzielność czcą rycerze,

A nie wytworność barw i szat.

Więc ślę je w bój — a myśl nie bada,

Czy po mym zgonie będą trwać:

Wróg, czy duch czasu śmierć im zada,

Snem wiecznym błogo będę spać.

(Władysław Sabowski)

15. Fragment z poematu Apostoł

Winne grono — owoc drobny
Nim dojrzeje — minie lato.
Kula ziemską — też ozdobny
Wielki owoc. Ileż na to
Trzeba lat, że dożyć może?
Sto tysięcy — może więcej.
Lecz rozbitości wreszcie w zorzę
Dojrzałości dla ludzkości.

By dojrzało winne grono,
Ciska weń swe żary słońce —
Ani baczy jego łono,
Jakie trudy tchnień gorące —
Jakie blaski siać ma z nieba,
Gdy chce słodycz w owoc wsączyć,
Aby stał się — jak potrzeba —
Aby w pełni go wykończyć.

Ziemia łaknie też gorąca —
Ludzkie serca to promienie:
Ludzkie dusze to są słońca,
Co jej skier swych niosą tchnienie.
Ale tylko wielkie dusze
Mają taką twórczość w sobie —
Lecz to rzadkie są genjusze:
Więc nierychła żrącość w globie.

Jam też promień — świecę jaśnie,
Rzucam ziemi ogień szczery —
Krótkotrwały blask mój zgaśnie,
Nim dzień złotej wzejdzie ery —
Ono wielkie winobranie!
Dzieła mego drobne ślady,
Niby kropla w oceanie —
Nie wyróżnią się z gromady.

Lecz to życia mego siła, —
Że w spokoju czekam grobu —
Bo świadomość we mnie była,
Żem i ja był promień globu.
Świeć więc duszo, pracą błoga —
Świat do szczęścia stworzył Bóg —
A do szczęścia — jakaż droga?
Wolność — to jej szlak i próg.

Hej, o wolność walczy my dzielnie...

(A. L.)

Fragment powyższy mieścił się jako cytata w od-
czycie p. B. Jaroszewskiej o Petőfim.

16. Psy i wilki Pieśń psów

Świszcze dziki wicher na pochmurnem niebie,
Zima — dziecię Bliźniąt — w śniegu pola grzebie!
Cóż to nas obchodzi? W kuchni przy kominie
Z taski Jaśnie Pana grzejesz się, psi synie.

Troszczyć się o jadło? Kiedy pan się naje,
Resztki po obiedzie każdy z nas dostaje.
Prawda, bicz nas czasem batoży, kaleczy,
Boli to, lecz psiakość rychło się uleczy.
Czasem pan wesoły, czasem bywa srogi:
My uszczęśliwione liżem jego nogi.

Pieśń wilków

Świszcze dziki wicher na pochmurnem niebie,
Zima — dziecię Bliźniąt — w śniegu pola grzebie.
Hej, dzika pustynia — to nasze mieszkanie:
W krzak się jeno wciśniesz, kiedy śnieg nastanie.
Tam nazewnałz mroźno, tu głodowe znoje:
Okrutnie tych wrogów nas udręcza dwoje.
A z niemi wróg trzeci, broń nabita — kroczy,
Biały śnieg czerwoną naszą krwią się broczy.
Marzniem, chudniem, ginie tu my, wilcy gło-
[dni —
Nędza — oto dział nasz, ale-śmy swobodni!

A. L.)

17. Korona stepu

Step podobny do starej
Czaszki króla olbrzyma —
Nad łysemi obszary
Włos gdzieniegdzie się trzyma,
Dąb go zdobi wspaniały —
To królewska korona.
Wieki nad nim przebrzmiały
Dźwiga przecież ramiona.
On się ozwał... ach, słyszę!
Cień przemyka ponury,
A wiatr liśćmi kołysze,
Dąb coś gwarzy do chmury.

Ona tkliwie go pieści,
On się żyma i miota,
Wreszcie snuje powieści
Starganego żywota.

Wśród gór uroczych daleko, na Wschodzie
Praojce moi kwitnęli w swobodzie.

Tam matka, wdzięków uznana królową,
Niebios wspaniałą dorastała głową.
Grom ją dopatrzył śród burzy szalonej.
Wyznał jej miłość — ale odtrącony,
Gdy zjednać serce brakło mu sposobu,
Srogą jej zemstę poprzysiął do grobu.

Spełnił, co wyrzekł: ja, płonka zielona,
Z bracią wzrastałem u matki mej łona —
Grom ryknął gniewem, i nieszczęsne dzieci,
Z pnia odtrącone na skrzydłach zamieci,
W dalekie świata rozbiegły się strony:
Mnie przyjął w łono ten step niezmierzony.

Tam wzrósł i dojrzał — nad starem tem czołem
Lata i wieki toczyły się kołem.

Smutno — zbyt długie snuć pasmo żywota!
Gdzie rzucę okiem, tam ból i tęsknota,
Dawne wspomnienia daremnie myśl roi;
Gdzie jesteś, matko? gdzie wy, bracia moi?
Czasem się człowiek przybłąka w te strony,
Witam go, chętnie udzielam uchrony;
Gdy słońce letnim dopieka mu skwarem,
Omdlałą głowę słońce mym konarem,
I rad uzyczam, gdy mróz zimą ściska,
Suchych gałązek działwie do ogniska.
Ach, i nie jeden z sercem zrozpaczonem
Na mych konarach spotkał się ze skonem.
Otóż i powieść dosnułem do mety:
Pasma dni moich zbyt długie, niestety!
Kiedyż je przetnie czas litosną dłonią?

Gdy czarne chmury widnokrąg przysłonią,
Gdy grom, wróg stary, zaburczy w oddali,
Czemuż pnia mego w proch już nie powali?
Jak wódz niezłomny, wiecznież z ziemi łona
Dźwigać mam w niebo potężne ramiona?
Z czyjej-że ręki cios na mnie wypadnie?
Może zgnilizna zdradziecko się wkradnie
I rdzeń mój robak rozłoczy plugawy;
Ach, strzeż mnie, Boże, od takiej niestawy!

Tak dąb mówił żałośnie,
Chmura słucha ze drzeniem —
I współczucie w niej rośnie,
Łzy jej płyną strumieniem.

Wtem dobywa grom z łona —
A wśród huku i błysku —
Padł król puszczy i kona
W jej śmiertelnym uścisku.

(Seweryna Duchńska)

18. Jak się Madziar bawi

Bóg jest oddawna na Madziara w gniewie,
Przyszłość mu zakrył chwilami czarnemi.
Czy szczęście będzie kiedy w jego ziemi?
Śmiać się czy płakać winien? Madziar nie wie.

Lecz jeśli innych Bóg skąpi mu darów,
Dał mu czem zabić ponurą tęsknicę:
Gdzie lepsze wino i gdzie są dziewice
Więcej urocze, niż w ziemi Madziarów?

Pójdź dziewczę! ramię me niech cię uściśnie,
Niech nasze serca i usta się spoją,
Niechaj twój uścisk smutki, co się roją,
W czarnych głębinach mej duszy rozprysnie.

A wino... Wina prędzej niech mi dadzą,
Niech płacze we mnie łez czerwonych falą,
Łez, co jak iskry piorunowe palą
I martwych wskrzesić mogą swoją władzą.

A teraz skrzypce! Cyganie, graj zwawiej!
 Płacę ci szczodrze... graj!... niechaj utonie
 Smutek mój cały w skocznych dźwięków łonie!
 Niech wie wesołość — że się Madziar bawi!
(Władysław Sabowski)

19. Karczmarzka

Gospośniu! piękna jak kalina,
 Wina!... spragniony jestem srodze!...
 Do Hertohagy z Debreczyna
 Jest kawał... nic nie piliem w drodze.

Powiewa wichur groźny burzą,
 Ciało i duch lodowacieje,
 Rzuć na mnie okiem, moja różo,
 Blask twoich spojrzeń mnie rozgrzeje.

Gospośniu! kwaśne wino twoje.
 Czyż się je gościom dawać godzi?
 Niech za pokutę usta moje
 Całus twych pięknych ust osłodzi.

Piękna kobieta... mocne wino...
 Nogami prawie już nie władnę...
 Gospośniu! twoją to jest winą...
 Uściskaj jeszcze nim upadnę...

Raz jeszcze... proszę mnie na względzie...
 Pozwól mi spocząć na twym łonie...
 Dziś moje łóżko twardem będzie,
 Bom ja tu obcy w waszej stronie.

(Władysław Sabowski)

20. Powóz o czterech wołach

Nie było to w Peszcie pono,
 Tam nie bywa tak, zakaty!
 Rozsiało się zacne grono
 W powozie dość starej daty.
 Wprzężono wołów dwie pary,
 Nie zdziwiło to nikogo,
 Cztery woły wielką drogą
 Prowadziły powóz stary.

Noc dość widna, twarz miesiąca
 Z chmur wyjrzała czasem chwilę,
 Błada, jako bolejąca
 Wdowa na męża mogile.
 Miły wietrzyk na obszary
 Roznosił woń łąnow błogą,
 Cztery woły wielką drogą
 Prowadziły powóz stary.

Inni gwarzą drogę całą,
 Lub do śpiewu łączą głosy.
 Dla mnie miejsce się dostało
 Przy dzieweczce jasnowłosej.
 I w gwieździstych nieb obszary
 Patrzyliśmy, gwarząc błogo.
 Cztery woły wielką drogą
 Prowadziły powóz stary.

„Patrz, co gwiazdek na tem niebie,
 Mówiłem do niej w małżeństwie, —
 Wybierzmy jedną dla siebie,
 Niech dla nas na nieb sklepieniu
 Swego światła zlewa czary...“
 Wybraliśmy, gwarząc błogo.
 Cztery woły wielką drogą
 Prowadziły powóz stary.
(Władysław Sabowski)

21. Na grobie Etelki

I.

Zbudziłem się. Słońce młode
 Pieści światłem ziemię, wodę
 Biedne chały, pyszne wieże,
 Śpiewne ptaki, kwiaty świeże.

Na fali, co szybko płynie,
 Na górze i na dolinie,
 Na motylku, co w dal leci —
 Wszędzie uścisk jego świeci.

Czemuż słońce tak wesoło
 Swe uściski rzuca wkoło?
 Nie widziało do tej chwili
 Grobu, w którym cię złożyli.

II.

Znów jestem tutaj... wiedzie mnie cierpie-
 [nie —
 Strażnik twych prochów znów staje przy
 [tobie,

Powiedz mi, luba, jakie tam marzenie,
 Jaki sen pierwszy miałaś w zimnym grobie?

Jam miał sen straszny... Od słońca napaści
 Ziemia szalonym uciekała lotem,
 Lecąc spadała do głębin przepaści,
 To znów bujała aż pod nieb namiotem.

Niezmordowane słońce wciąż ją gnało,
 Przez nieskończoność bez chwili wytchnienia
 Wszystko w wszechświecie kruszyć się zda-
 [wało,

I gwiazd myrjady i otchłanie cienia.

Słońce po całej wszechświata przestrzeni
 Ścigało ziemię po za bytu metę,
 Wreszcie porwało za warkocz z płomieni
 W szalonym gniewie ogromną komętę...
 Ziemia się przed tym ciosem uchyliła —
 Padł on w me serce... Boleść była wielką,
 Ale nie taką, jaką mi skrwawiła
 Duszę śmierć łubej, śmierć twoja, Etelko.

(Władysław Sabowski)

22. Podzwonne

Dzwony śpiewają żałośnie...
Dla kogo?... dla mojej róży,
Którą zmiotł mi podmuch burzy
W piętnastej zaledwie wiosnie.

Jej trumna stoi w świątyni
Żałośnie przyozdobionej,
Gdzie wkrótce ja, narzeczony,
Zamierzałem stanąć przy niej.

Aniele-stróżu jej duszy,
Święty mieszkające niebiosów,
Zabierz mi pamięć mych losów,
Pociesz mnie w strasznej katuszy!

Lecz gdzieś ty?... Piorun tej burzy,
Co ją roztrzaskał, zapewne
I ciebie stopił w łyż rzewne,
Kiedys dał zwiędnąć mej róży!...

(Władysław Sabowski)

23. Łzy i gwiazdy

Z niebios lecą gwiazdy drżące,
Z moich oczu łzy gorące...

Po kim z sfer swych się wydarły
Łzy i gwiazdy?... Po umarłej!...

Deszcz gwiazd jasných, też potoki
Płyną smutnie pod obłoki.

(Władysław Sabowski)

24. Na Dunaju

O rzeko, jakże często twoje spokojne lica
Rozdziera dno okrętu, wichrów nawałnica!

I żłobi takie długie i głębokie rany,
Jak nigdy w sercu ludzkim losów huragany
A przecież kiedy burza albo okręt minie,
Wnet rana się zabliznia na wód twych głę-
[binie.

O, czemuż, gdy twoje serce zrani ból, czo-
[wieku,
Na rany zagojenie nie posiadasz leku?

(Erazm Krzyżkowski)

25. W nocy

Przy oknie stoję, patrząc w dal,
Jak księżyc śle w przestrzenie
Czarownych swych promieni blask
I rzuca ciche cienie.

Cóż, biedny gupcze, patrzysz tu
Miłośnię tak z pod chmury?
Czy myślisz, że, by ujrzeć cię,
Spoglądam wciąż do góry?

W mej głowie ani było dziś
Bładowe twoje oblicze —
A idźże z Panem Bogiem precz!
Szczęśliwej drogi życzę.

Tam naprzeciwko w domku tym
Dziewczátko mieszka hoże,
Jam gotów czekać całą noc,
Aż je zobaczę może.

(Erazm Krzyżkowski)

26. Kradziony koń

Jak kurzawa z wiatrem po błoniach,
Pędzi żwawo chłopak na koniu.
Hej, gdzie pędzisz, zuchu, przez błonie?
Jadę z stepu, chciałem paść konie.

Zbiegł mi ogier wietrzak za jadem,
A to żrebię oto ukradłem.
Dziś w miasteczku jarmark na konie,
Tam ja nieboraczek pogonię.

Ej, do kata! Trzymać łajdaka!
Hola, oddaj mego żrebaka.
Mój był ogier w stepie, z nim łoszę:
Wracaj, bo cię kijem poproszę.

Tych morałów złodziej nie słucha,
Tylko konia zaciął od ucha,
Lecz do strapionego człowieka
Zwrócił się, wołając zdaleka:

Gospodarzu, smutek zagaście,
Macie jeszcze koni piętnaście.
Mnie jedyne serce gorące
Skradła wasza córka na łące.

(Erazm Krzyżkowski)

27. Przygoda wilka

Druhu, ty jadłeś. Krwawi ci z pyska,
A nam głód straszny żołądki ścisza.

Zima haniebna, tak puste knieje,
Po stepie rumak wichrów szaleje.

Ludzie i ludzie, ni śladu zwierza,
Lecz, bratku, mów, gdzie była wierzchołka?
Takie pytanie rzuca gromada
Wilków, przybysza witając rada.

Na to obzarty chętnie się skłania,
Następujące czyniąc zeznania:

Znacie śród stepu chatę zgarbioną?
W niej żyje pastuch ze swoją żoną.

Za chatą stajnia, zboża sąsiedzi,
Ze stajni owiec dochodzą beki.

O nocnej porze do tej zagrody
Szło dwóch wędrowców: ja i gach młody.
Panicz do cudzej żonki się skrada,
A ja, zgłodniały, do owiec stada.

Nie miałem czasu czekać do ranka —
Owcy nie było... zjadłem kochanka.

(Erazm Krzyżkowski)

28. Nigdy w swem życiu...

Nigdy w swem życiu nie był zakochany,
Dla kogo miłość niewolą więzienia:
Ona da skrzydła, ale nie kajdany;
Dała mi skrzydła, potęgę wzniesienia.

Takiego lotu nie mają i ptaki,
Jak miłość daje, by w obszar żeglować;
A świat przefrunąć, o! na polot taki
Mych skrzydeł nawet nie myślę próbować.

Odrązu w ogród aniołów się wzbiję,
Do szczytu blasku, w głębie niezmierzone;
Tam z róż płomiennych i gwiazdek uwiję
Wieniec uroczy, promienną koronę.

I jasność niebios, i ciemność złowroga
Naprzemian w chwili wokół mię otoczy;
Piekło i niebo, szatana i Boga
Jednem spojrzeniem ogarną me oczy.

Gdy tak przepłynę piekiel, niebios kraje,
Wtedy i męki, co piekło gotuje,
I ową błogość, jaką niebo daje,
Ja w jednym mgnieniu uczuję!

(Stanisław Budzyński)

29. Ja chcę być drzewem...

Ja chcę być drzewem, jeśliś ty kwitnieniem;
Jeśliś ty rosą, niech ja będę kwiecie;
A chcę być rosą, jeśliś ty promieniem,
Byle być z tobą złączonym na świecie.

Jeśliś ty nieba błękitną głębiną,
Ja chcę jak gwiazda tonąć w te odmęty;
Lecz jeśliś czarnem piekłem jest, dziewczyno,
To ja dla ciebie pragnę być przeklęty!

(Stanisław Budzyński)

30. Rozkosz miłości

Błogi spokój mi ocienia
Różany miłości krzew,
A czoło mi ośypuje
Wonnym listkiem wiatru wiew.

Moja droga Filomela
Objęła mi głowę wkrąg;
Każdy ton, co mię dolata,
Niesie boskich marzeń ciąg!

I z czary miłości piją
Me usta rozkoszy zdroj,
Z innej czary nie smakuje
Tak miód, jako napój mój.

A nademną się unosi
Tłum białych miłości chmur,
Jakby z nieba w odwiedziny
Zstępował aniołów chór.

Blask miłości księżycowy
Tak srebrem obrzuca mnie,
Żem zapomniał swej niedoli
I cały miłością tchnę.

(Stanisław Budzyński)

Arany János

(1817–1882)

1. Keveháza

(Bój Hunnów — r. 540)

Dlaczego żałobnie tak kracze pstry sokół?
Dlaczego w lazurze sep lata naokół?
Dlaczego tak krążą te nieszczęść zwiastuny
Nad brzegiem szerokich, błękitnych wód
[Duny?

Dlatego żałobnie tak kracze pstry sokół,
Dlatego w lazurze sep krąży naokół,
Że jutro w tem miejscu, o tejże godzinie,
Tysiące rycerzy, w strumieniach krwi zginie.

Od Duny szerokiej na lewo, na prawo
Niepróżno tłum ludów mknie z wróżbą tą
[krwawą.

Ze wschodu, z zachodu różnego narodu
Gromada nadpływa, jak wilki w dni głodu.
Napełnij się dzisiaj falami, o rzeko,
Bo jutro twym nurtem krew pójdzie daleko

I łyzy szerokimi zapełnią cię ściegi,
Bo matki zapłaczą na wód twoich brzegi,
Lecz rzeka falami nie huczy w powodzi.
Spokojnieby można przepłynąć ją w łodzi.
A Makryn Rzymianin ze Sasem Dytrychem
Uczują na drugim wybrzeżu, na cichem.
„Podnieśmy puhary! Niech pije kto łaknie!
Nie bójmy się Hunnów, bo czołem im bra-
[knie!”

I krążą puhary i Szazhalom dzikim
Szeroko, daleko rozbrzmiewa okrzykiem.

Rozliczne tam ludy, rozliczne plemiona,
Rozlicznych języków tam ćma połączona:
Czerń obcych rycerzy, czerń obcej odzieży,
Kołczanów, i hełmów, i strzał, i pancerzy;
Alany, Herule, Lombardy i Goty,
I Syrjan, i Celtów i hordy, i roty,
I stroje rozliczne stubarwnie się świecą
Pod murem Potencji, pod sławną stolicą.

„Podnieśmy puławy! Niech pije, kto łaknie!
Nie bójmy się Hunnów, bo czółen im bra-
[knie!]

A Makryn wciąż wzywa: Lej wina, lej piwa!
A Dytrych podwójną go miarą zażywa.
Dytrychu, ty Sasie, nie szalej, nie szalej,
I ty, Rzymianinie, zbyt wina nie nalej.
Bo trunek i taniec wam będą ku szkodzie,
Bo wilk już u celu, bo wilk już w ogrodzie.

Spójrz, oto pod górą, hen, tam przy Kelenie,
Jak mroczy się czyste niebiosów sklepienie.
Zmroczona, ściemniona, keleńskich nieb strona:
Porusza, porusza się łąka zielona...

A każdy pył kurzu — to rycerz odważny,
A każda tam słomka — pień włócznie żelazny,
A dwustu tysięcy płuc męskich dech mocny
Rozżarza swym ogniem wiatr chłodny pół-
[nocny.

I Keve, wódz dzielny na czele szeregów,
Z walecznym rycerstwem już stanął u brze-
[gów,

Lecz fala przez głębie szerokie tu bieży:

Ni mostu, ni łodzi dla tyłu rycerzy.

A gdyby i most był — to byłby zamały,

A łodzi i setki wnetby się złamały —

Bo tłum ten, gdy zajął zielony brzeg wody,

Brzeg trzęsie się cały, jak szklane zim lody.

Więc Hunnów wódz rozkaz dał wnet, by

[drużyna

Z swych miechów wylała szlachetną ciecz

[wina.

A rozkaz dowódcy — nie puste to śmiechy,
Więc Hunny natychmiast opróżnią swe miechy
Dunaju ty stary, napij się do syta!

Bo może już nigdy twe sine koryta

Pić wina nie będą — i niech po tem winie

Wić Hunnów walecznych w spokoju prze-

[płynie.

A noc takim mrokiem dokoła obłana,

Że ledwie czasami zabłyśnie wód piana

I cała kraina zapadła tak w ciszę,

Że ledwie się czasem plusk fal zakołysze.

Lecz fala coś pluszcze, lecz fala klekocze,

Pocichu, powoli przez wody przezrocze

Mkną, zda ci się, ciemne, olbrzymie delfiny—

Mkną chyżo a cicho przez Dunaj, przez siny.

Z miechami pustemi tak mkną niewidomie

Hunnowie, jak gdyby na moście, na promie,

I stają bezpieczni aż na Szazhalomie —

Pod nocy oponą, w swym dzikim ogromie.

Lecz cicho, junaki! w spokoju, w milczeniu,

Wystąpcie z fal cichych Dunaju! I w cieniu,

Gdy ziemię mgłą czarnym pokrywa wyziewem,

Na brzeg wchodzą Hunny pod wodzem, pod

[Kevem.

A Makryn pijany nie czuje i nie wie,
Że śmierć mu na karku zasiadła już w gnie-
[wie.

Nie czuje i nie wie nic Dytrych, Sas dzielny,
Że płonie Potencja, gród jego weselny.

O, płoń! o, gore! A kto zeń ucieka,

Na tego cios włócznie skądś spada zdaleka!

Zwęglona, zniszczona, w perzynie, w ruinie—

Potencja, największy gród w całej krainie.

I żaden się kamień nie ostał w grabieży,

I żadne niemowlę u łona macierzy,

Lecz ciągle w dolinie śmiertelny bój krwawy

Trwa jeszcze wśród jęków, i szczęków,

[i wrzawy,

I ciągle upada pstra ludów gromada,

Gdzie każdy językiem odmiennym ci gada,

I biegnie tłum cały związany, zmieszany,

Gotowie z Alany, Celtowie z Rzymiany.

O mroki, zakryjcie różany blask zorzy!

O nocy, niech łono twe ranka nie tworzy!

O, niechaj w swej drodze zatrzyma się słońce,

By ukryć te tłumy narodu jęczące,

Niech światłem swem wieści skrwawionej nie

[szerzy,

Że martwy wśród martwych wódz Hunnów już

[leży,

I niech nie pokaże, jak Hun w pstrym nie-

[ładzie,

Pomimo zwycięstwa ucieka w gromadzie.

Sas Dytrych, toć rycerz dzielności nadmę-

[skiej,

Lecz nie on powodem tej Hunnów jest klęski.

I ostrą jest włócznia żelazna Makryna,

Lecz nie w nim jest śmierci Kevego przy-

[czyna.

To bóg sam swe oko odwrócił od niego,

I żołnierz to własny uranił Kevego;

W zatrutych strzał deszczu, pod mroków

[oponą

Ta krwawa omyłka została spełnioną.

Gdy o tem na góry dowiedział się szczycie

Sas Dytrych, wnet biegnie na śmierć i na

[życie.

I spada na huńskiej ucieczki nawały;

Podobnie wstrzymują bieg sinych fal—skały:

A w pięści swej dzierżył Sas Dytrych wa-

[leczny

Trzon włócznie potężnej na cios obosieczny,

Tym końcem on kole, a tamtym on wali,

I świszcze, i błyszczy iskrami swej stali.

Bóg nocy niejeden już żywot ukrócił,

Niejeden duch pyszny w pył nędzy obrócił,

I tak jak nad falą podnosi się fala,

Nad tłumem umarłych — tłum żywych prze-

[wala.

I chociaż umarłych jest dużo w dolinie,
Lecz żywych wciąż tłumy — i tłum ten znów
[ginie.

Ze wszech stron od łąk i od lasów zielonych
Wojsk idą szeregi, krwi wrażeń spragnionych.

Hej, Belo Kadoszu, podnieście swe miecze,
Bo mocniej bój siecze, czerwieniej krew ciecze.
O! Hunnów potomku, ty piękny, ty śniady,
I cóż ci pomogą strzał lotne gromady?
Choć tarcza słoneczna, pod huńskich strzał
[chmurą,

Zapadła w toń mroków śmiertelnie ponurą,
Lecz nic nie pomaga rycerzy odwaga,
Bezsilnie opada i orzeł i flaga.

Hej naprzód, hej naprzód, synowie Atylli,
Śmierć groby wam swoje niedługo odchyli!
A burz czarownice, a chmur błyskawice
Tak lśnią, że bóg od nas odwrócił żrenice.
Lecz naprzód, niech wali miecz Hunnów naj-
[dalej,

Niech wrogi padają od groźnej, od stali —
Rycerze, popchnijcie ostrogą rumaki
I ślijcie do niebios swych wrogów orszaki.

Oburącz tnie Kadosz po wrażeń głów fali
I świszczce i błyszczcy iskrami swej stali.
Na ślepo udziela wkrąg ciosów swych Bela.
Zagłada tam spada, gdzie grot jego strzela.
Lecz tak, jak gdy w skały kto dawne uderzy,
Wnet piasek się sypie, jak z morskich wy-
[brzeży,

Lub jako gdy w falę znów fala się wlewa, —
Tak rycerz, ściśniony tłumami, omdlewa.

Naprawdę się Kadosz obronnie w tył chyli,
Wrogowie żelazem mu piersi przeszylili,
I ten, co go dotąd nie pobił nikt w boju,
Od miecza Dytrycha upada w krwi źródła.

Bela, tłumami otoczony dokoła,
Choć zwinnie odpycha grot wrogów od czoła,
Lecz w końcu samotny, podobny do wieży,
Raniony upada i martwy już leży.

Nieprędko, ach, ujrzą te łąki, te kępy
Tak dzielne, tak piękne rycerskie zastępy.
Nieprędko, nieprędko się tu zazieleni
I kwiecie, i trawa na pustej przestrzeni.
Szeroka dolina pod kopyt napadem,
Pod wojsk niezliczonych potężnym stóp śla-
[dem

Powiedziała i wyszła. Gdzie Hunny stąpali,
Tam trawa nie rośnie w pobliżu ni wdali.

Sto tysięcy Hunnów poległo tu w chwale,
Dwukroć tyle wroga w krwi leży i w kale,
Nie wrogi i wrogi — zmieszani w dolinie,
I falą czerwoną krew razem ich płynie.
Kto tutaj zwycięzca, a kto zwyciężony?
Osłabły jednak obydwa legiony.

Pobity z zwycięzcą zmęczeni — i bledną —
I stali się masą bezładną — i jedną:

A walka śmiertelna wciąż trwa nieustanna,
Aż zorza na niebie zabłysła poranna.

A kiedy się krwawe kończyły rozprawy,
Zamroczył niebiosą północy cień krwawy.
Hunnowie, zmęczeni od ran i od bólu;
Tysiącem umarłych leżeli na polu.

Cofają się tłumnie, lecz Dytrych zwycięski
Wnet pogna za nimi, łez zwiastun i kłęski.

„Niechaj mi tu zaraz dwa konie przywleką,
Jak noc ma być jeden, a drugi jak mleko.

A oba niech będą bez skazy, bez wady —
Tak wielki chce Mano, bóg naszej gromady“.
Rumaków chcąc pary, tak Torda rzekł stary,
I pali, i żarzy stos bożej ofiary,
Buchają płomienie na chwałę dla Mana,
I noc zda się zorzą wieczorną oblana.

„O, pięknych wy Hunek synowie waleczni,
Nie traćcie nadziei, boście już bezpieczni.
Bo zemstę ofiarą już dosyć zrównano,
I znów się uśmiecha nam wielki bóg Mano.
Lecz zanim blask zorzy ozłoci sklep nieba,
Umarłych nam godnie pochować potrzeba,
Bo gdybyśmy wraz nie złożyli ich w tumy,
To w gniewie by rzucił bóg na nas żar dżumy“.

Hunnowie słuchają słów mądrych kapłanów:
Połowa rycerzy wnet kopie wśród łąnów,
A druga połowa nagrobki układa,
Gdzie w ciszy ma spocząć umarłych gromada.
Wnet ziemię przynoszą z okolicy całej,
Budują kurhany dla braci swych chwały,
A każdy tam grób — to stóg ziemi wysoki,
Na każdym poległych popielą się zwłoki.

Tonęła wśród nocy ponurej pomroku
Szeroka, głęboka dolina Tarnoku.
Lecz wśród niej szeroko, daleko płomienie,
Od ognia pogrzebnych wciąż lśnią nieskoń-
[czenie.

Gdy zdala się patrzysz wśród mgły nieprzejrzy-
[stej,

To zda ci się błękit niebiosów gwiazdzisty,
U stóp zaś każdego krwawego ogniska
Tłum ludu, że, zda ci się, widzisz mrowiska.

O, śmierć wojownika jakże jest wspaniała!
Na polu bojowym otacza go chwała,
Kamraci na tarczy go niosą w mogiłę
I w rękę mu kładą to wszystko, co miłe
Mu było za życia: więc groty i włócznie,
Więc miecz i siekierę. A potem mu hucznie
Nad grobem zapalą żar stosu płomienny,
Co gasnąc, w blask chwały się zmienia pro-
[mienny,

I trup bohatera Kevego — wraz z ciałem
Kadosza i Beli — w orszaku wspaniałym

Poniesli na grobu wieczyste posłanie —
I kurhan ozdobił ich grób. Na kurhanie
Wzniesiono głaz czarny, przez wieków pieśń —
[święty,
W kurhanie spoczywa wódz Hunnów zam-
[knięty.

I wokół z bojaźnią i ze czcią tłum cały —
W łzach śpiewa po zmarłych żalobną pieśń
[chwały.

Tak owa błoń bitwy, krwi straszna wyla-
[niem,

Na wieki się stała Kevego mieszkaniem,
I tam, gdzie spalony on z wojskiem był razem,
Do dzisiaj się miejsce to zwie Kevezahem.
I mnogie od bojów tych lata minęły,
Płynęły jak ptaki, jak fale płynęły —
Rok żaden Kevego nie zbudził z uśpienia.
I żaden nie zaćmił sławnego imienia.

Na trzeci dzień Hunny nabrali znów ducha,
Jak morze, co wichrem szalonym wybucha,
I zadął w róg złoty u stopni kurhana
Bendegus szlachetny, syn Tordy kapłana.
Wiatr wschodni podnosił do góry wspaniałe
Chorągiew, co dotąd spadała niedbale,
I godło ich — orzeł wzniesiony zuchwale —
Na zachód, na zachód, na zachód mknął stale!

W pobliżu Tarnoku gród Zezimor leży:
Tam Makryn się chował wśród trzciny wy-
[brzeży.

I huńskich wojaków nań runie nawała,
A z góry spadali, jak spada z niej skała!
I słońce południa ściemniły obłoki,
Od zgrozy promienie zapadły się w mroki —
I słońce zmroczyło swe blaski promienne,
Spojrawszy na krwawe te boje plemienne,

I jasną dolinę pokryły wnet mroki
I znikli wojacy w ciemności głębokiej,
I bój był straszliwy w ciemności tej piekle,
A każdy z rycerzy krwi żądzą wrzał wściekle,
Lecz Bóg chciał, że w groźnej rozprawie tych
[bojów

Zwycięstwo zabłysło dla huńskich, dla wojów,
I rzeka z gór spływa krwią ludzką gorącą,
I wrogów w czerwieniu mogilne swe strąca-

Bendegus rozlewa deszcz śmierci obfity,
Ilekcóż wyrzuca swój grót jadowity,
Jak orkan szalony, w krwól płynąc potoku;
Miecz jego nie próżno mu wisi u boku,
I w czaszkę Makryna raz bijąc za razem,
Na miazgę mu strząsał ją groźnem żelazem.
A Sasa Dytrycha gdy grotem ukole
Jak gwóźdź wbity mocno — grót stanął mu
[w czole.

I nigdy już Makryn nie widział zórz słońca
Bo upadł w ciemności, co w groby go strąca

A słońce znów blaskiem wesołym zaśniło.
Lecz nie dla Makryna już ono świeciło.

A Dytrych, jak bawół, co wyje szalenie,
Gdy czuje jak w głowę go wałą kamienie,
W tył z bólu się rzucił i gromy wyzywa,
I łamiąc na dwoje grót z czoła wyrывa.

— „Poddaj się Dytrychu, waleczny ty Sasie!”

— „Dopókim jest żywy, nie poddam ci ja się!”

— „Oddaj się na łaskę — niełaskę mej woli!”

— „Nie, nigdy, przenigdy nie zniosę niewoli!”

I Dytrych podobnie, jak buldog zażarty,

Gdy sforą rozjadł opadną go charty —

To w tył się potoczył, to naprzód poskoczył,

A grót mu tkwi w czole i miga mu w oczy.

„O szkoda cię, wodzu walecznych zastępów,
Byś już dla zgłodniałych miał żerem być se-
[pów.—

I leżąc samotny wśród krwawych tych szlaków
Bez ruchu, byś nie mógł odegnąć tych ptaków.
Masz dłoń mą, choć ona raniła, lecz szczerze
Oddaje ci wojny i miru przymierze“

I w końcu Bendegus ze Sasem Dytrychem
Dłoń sobie podali nad brzegiem wód cichym.

Trzy dni jeszcze wojsko spoczywa — i sypie

Mogiły dla zmarłych i pije na stypie

I bogu dań składa w dziękczynnej ofierze.

Za kwiaty zwycięstwa i wojsk dwu przymie-
[rze.

I lutnie zabrzmiały. A złote ich struny
Śpiewają, jak mężnie toczyli bój Hunny,
Śpiewają, jak mężnie naddziady walczyli,
Tak, jak my ich czyny śpiewamy w tej chwili.

(A. L.)

2. Wallijscy bardowie

Siadł Edward król, angielski król

Na bułanego konia.

Chcę widzieć, jak wśród moich pól
Wallijskie kwitną błonia.

Czy jest tam rzeka, płodny grunt,
Czy łąki trawą lśnią?

Czy zrosił je zgnieciony bunt
Spiskowców żyzną krwią?

I czy, jak chcę, miejscowy lud
Szczęśliwy tak jest tam:

Jak gnane w jarzmie stada trzód

W cienie więziennych bram?

Korony twojej, panie wkrąg.

Djamentem Walji błoń:

Tam szumi trawa bujnych łąk

I rzeki srebrna toń.

A, panie, lud, wallijski lud

Szczęśliwy tak jak chcesz:

Tam w chatach głód i mrok i chłód
 I cisza trupich rzesz.
 Siadł Edward król, angielski król
 Na bułanego konia:
 Gdzie stanie, groby pośród pól
 I nieme wszędzie błonia.
 Był zamek Montgomery zwan,
 Król na noc zjechał tam,
 I zamku Montgomery pan
 Ugaszcza króla sam.
 Płactwa i ryb i dziczy huk,
 Co tylko radzi gust,
 Niosą szeregi rączych sług
 Na czar dla oczu — ust!
 Co jeno z trunków, jadła, zbóż
 Ten cudny rodzi kraj,
 Co wina ma zza sinych mórz
 Na stół królowi daj!
 — Panowie szlachta, hejże, wy,
 Czyż nikt nie trąca kruz?
 Na cześć mą, któż, wallijskie psy,
 Podniesie kielich, któż?
 Panowie szlachta, nędzne psy,
 Gdzież wiwat dla Edwarda?
 Niechaj mi pieśń pochwalna brzmi —
 Sprowadzić mi tu barda!
 W zdumieniu patrzy każdy gość,
 A w pulsach tętni krew:
 Na twarzy błyska biała złość
 I purpurowy gniew.
 Zamiera dech, owłada strach,
 Na ustach milknie żart...
 Jak gołąb siwy naraz w drzwiach,
 Jawi się stary bard.
 — Ja — rzecze starzec — panie mój,
 Wyśpiewam czyny twe:
 I rzezi ranny, chrzęści bój,
 Kiedy strun liry tknie.
 I rzezi ranny, chrzęści bój,
 I rzeka łśni od krwi;
 Na trupy spada kruków rój:
 To, królu, czyny twe!
 I cały lud jak jeden trup —
 Czy słońce masz, czy mgłę;
 Wszędzie potykasz się o grób:
 To królu czyny twe!
 — Ha, precz z nim, wieść mi go na stos!
 Tak zabrzmiał głos Edwarda:
 Chcę słodkiej pieśni słyszeć głos —
 Młodego wiodą barda.
 — Słodko wieczorny szumi wiew,
 Na Milford schodzi cień —
 Zeń dziewic, wdów — żałobny śpiew,
 Jęk skargi płynie zeń!

Niewiasto, dziełek już nie ródz,
 Lub rzuć je w głębi mórz!
 I skinął król: — Ha, na stos pójdź —
 I na stos idzie już!
 Lecz nie wzywany naraz wszedł
 Zuchwale trzeci bard —
 Na kobzie pieśnią zabrzmiał wnet
 W stalowych piersi hart!
 — Padł w boju rycerz w kwiecie lat...
 Niech słyszy duch Edwarda!
 Lecz coby cześć twą śpiewać rad,
 Nie masz takiego barda.
 Dotychczas lutnia płacze go...
 Niech słyszy duch Edwarda —
 Przekleństwem jednak wszystkie grzmia
 Pieśni naszego barda!
 — Ha, dość! — i król jak srogi czart
 Okropny wznieś głoś:
 — Gdzie tylko w Walji stanie bard,
 Prowadź go na stos!
 Czereda sług rozpieczęła się
 Po kraju w ciemną dal —
 Tak owa uczta zmierzchnęła się
 Śród krwi czerwonej fal!
 Siadł Edward król, angielski król
 Na bułanego konia:
 Gdzie stanie, łuny pośród pól
 I w zgłiszczach Walji błonia.
 Pięciuset bardów, pieśnią grzmiąc,
 Na stos się dało wieść —
 Żaden nie ulękł się, by drząc,
 Edwarda śpiewać cześć!
 — Ha, co za pieśń! ha, co za szmer!
 W Londynie co za tłum!
 Wisieć mi będzie sam lord mer,
 Gdy mię przebudzi szum.
 Cisza. Nie słysząc skrzydła much —
 Cisza, choć głowę strąca.
 Śmierć niesie słowo, szept i ruch —
 Bo król nie może spać!
 — Ha, niech mi bębny, rogi brzmia,
 Niech brzmia mi dźwięki trąb!
 Wallijska uczta wspomnień krwią
 Mejszy wstrząsa głąb!
 Lecz głośniej brzmi nad bębnową grę —
 Nad trąby i nad róg
 Pięciuset bardów pieśń, co mknie
 W niebo, jak gromów huk!

(A. L.)

3. Sąd Boży

Ciemny radwański bór głucho drży
Tam Benő Barczy umarły leży:
Ostry pugiął w sercu mu tkwi.
Na Boga! Iście któż nie uwierzy,
Toż to zabójstwa ślad jawny, świeży!

Ojciec na zamek każe go nieść...
W samotnej, wielkiej kładą go sali
I pokrawiony leży dni sześć;
Ani go myli, ni przebierali,
Proste mu, twarde łoże usłali.

Halabardników poczwórna straż
Zamyka wszystkim wchód do komnaty.
Matka czy siostra, choć we łzach twarz
Niechaj gdzieindziej płacze — za katy!
Błada, kto chciałby przełamać czaty...

Kobiety w cichy skryły się ką
I głuszą żalność, co pierś im łzawi.
Ojciec pieczęcią na Boży sąd
Wzywa: zabójca niech się objawi!
Winny, przy którym rana się krwawi.

Zamek, kirami żałobny drżąc,
Zasłania złote południa słońce;
Nad ciałem stoi sędzia i ksiądz,
I czarne krzyże i świece drżące, —
Żółtawym blaskiem migotające...

— Niech przyjdą wrogі, gdy miał ich zmarły!
I przyjdą, których ojciec pokaże.
Lecz żyły rany się nie otwały,
Nad Benom wrogów mignęły twarze,
Żaden zabójcą się nie okaże.

— Któż więc morderca? Mówcie, przekłecil!
Czyżby z mojego był pokolenia?
On tu i póki znak mej pieczęci
Nie napiętnuje zbójcy ramienia:
Na wszystkich żywych mam podejrzenia!

— Niech przyjdzie druhów gromada szczerą!
Młodych rycerzy szereg wnet stawa,
Smutni widokiem krwi bohatera,
Co go nie bitwy porwała sława;
I przeszli: rana ciągle nie krwawa.

— Niechaj dwór cały i wiejski lud
Stanie nad trupem!.. Idą ochoczo:
Przejdą kolejno — lecz próżny trud
Na bohatera smutne łzy toczą —
Łzy żałościwe krwi nie wytłoczą!

— Niech przyjdzie matka; siostra jedyna!
Siostra ma w oku połysk cmentarny,
Matka przypada z jękiem do syna,
Ale trup milczy na ten krzyk gwarny,
A w ranie krople suchej krwi czarnej.

— Niech jego luba wreszcie tu stanie,
Niech Abigiela zjawi się tkliwa!
Zbliża się. Oko utkwiała w ranie,
Idzie bez ruchu, rzekłbyś, nieżywa...
I nagle — z rany krew mu wypływa!

Ona nie płacze, ona nie wzdycha,
Ale rękami skronie ugina.
Nastaje chwila straszliwie cicha
I krew we wszystkich żyłach się ścina:
— Dziewczyno, tyś mi zabiła syna!

Ona, zakłęta niby przez czar,
Milczy i słucha — bełkocze: — Ha!
Jam nie zabiła, choć dla mnie zmarł.
Bóg mi i niebo świadectwo da,
Lecz jam ten sztylet dała mu — ja!

Miał moje serce, dowody miał,
Że między nami raj zakwitł już,
Czemuż przysięgi odemnie chciał?
— Gdy mi odmówisz, to śmierć mi wróż.
— Idź! i ze śmiechem dałam mu nóż!

I sztylet z rany dziko wyciska
I ogniem płoną jej dwie źrenice,
Śmieje się, płacze, skrå noża błyska —
W szalonym skoku biegnie w ulicę:
W zdumieniu widzi tłum latawice.

I na gościniec biegnie i w las.
Tańczy wesoło i śpiewa w lot:
— Była dziewczyna, hej, była raz,
Robiła chłopcom tysiące psot,
grała z nimi, jak z myszą kot!

(A. L.)

4. Toldi

Toldi jest to pólbajeczny bohater węgierski, który miał żyć rzekomo za czasów Karola Roberta oraz jego syna Ludwika (króla polskiego). Już w w. XVI na tle baśni o Toldim ułożył b. naiwny poemat — Peter Illosvai (ob. wyżej). Jan Arany podjął ten sam temat, ale go podjął jak wielki artysta. Poemat jego stanowi trylogję, której cz. I nazywa się *Toldi*, cz. II — *Miłość Toldiego*, cz. III — *Wieczór Toldiego*. Dajemy tu dwa fragmenty: jeden z części I, drugi z cz. II.

Z Części I. Pieśń XII.

Kiedy Mikołaj Toldi swego przeciwnika
Rzucił o ziem, ten piasku kolaniem dotyka.
Dobry król swej radości ukryć nie miał siły
I łzy dumy i szczęścia oczy mu zaszkliły.

I rzekł, do swoich dworzan stojących w półkole:
 — „Chytry Czech, na walk więcej nie wyruszy pole,
 „Tym razem znalazł mistrza! — straszna to nauka,
 „Niech nie zaczepia Węgra, kto śmierci nie szuka!..
 „Czy nie znasz, Toldi, tego dzielnego szermierza?
 „Jak zwie się ten zuchwalec, co jak grom uderza?!
 „W całym mojem królestwie niemasz bezwątplenia
 „Rycerza, bym go nie znał z rodu i imienia.
 „A jednak w całych Węgrzech dotychczas nie było
 „Nikogo z równą jemu tak straszną siłą! —
 „Strach mi, że to nie Węgier, że obcemu może
 „Winniśmy, iż stał plamy na naszym honorze!
 „Lecz mniejsza! Czy on z Niemiec, czy z innej krainy.
 „Ocalił nas od sromu przez swe dzielne czyny,
 „W nagrodę za zasługę spotka go zapłata!
 „Toldi! daję mu dobra twego „zbója-brata!“
 György*) Toldi zbladł, zczerwieniał, a ci, co słyszeli
 Słowa króla, nań patrząc, po cichu się śmieli,
 Aż mu krew cała zbiegła od mózgu do serca,
 Gdy słyszał jak szeptali: Brat Toldi — morderca!..

Miklos, na ostrzu szabli zatknął Czecha głowę,
 I obszedł, by lud widział, szranki turniejowe.
 Wtedy król wydał rozkaz (który otrąbiono)
 Dwunastu swoim „panom“, by go przywiedziono. —
 W pozłocistej lektyce, z sztandarów łopotem
 Znalazł się Miklos Toldi przed króla namiotem.
 — „Rycerzu! rzekł król dobry, podnieś swą przyłbicę
 „Chcemy śmiałka znać imię i zobaczyć lice...“
 Miklos do stóp królewskich przypadł na kolanie
 I rzekł: „Mylisz się, królu potężny i panie! —
 „Ja nie jestem rycerzem, — jam tułacz, banita!..
 „Dlaczego? — jaki powód, niechaj nikt nie pyta! —
 „Jestem zbrodzień — być może! lecz nie wiem dlaczego
 „Jestem prześladowany przez brata własnego!..
 „Przed tobą spowiedź czynię, najjaśniejszy panie,
 „Z ust twych czekam na karę lub na zmiłowanie.“

Tak do króla dumnymi Miklos mówił słowa,
 Przyczem szyszak żelazny zrzucił na ziem z głowy,
 A na pobladłych licach rumieńców płomienie
 Wskazywały naprzemian radość i cierpienie.
 Król z lubością spoglądał w piękną twarz młodziana
 I dziwił się, skąd była mu tak bardzo znana!
 — „Czyli ojcem twym nie był Toldi Laurenty?..“
 Miklos opuścił głowę, milcząc jak zakłęty..

Do szlachetnych wielmożów zwrócił król swą mowę,
 A słowa jego brzmiały jak dzwony spiżowe:
 — „Wierni mo! rycerze, moją powinnością
 „Powiedzieć wam o czynie, co był nikczemnością!
 „To młode, piękne dziecko jest bratem Toldiego,
 „Co nań nastawił sidła, by się pozbyć jego!
 „Zagarnął jego mienie, zdał na pastwę głodu!
 „Pozbawił praw ojczystych, przywilejów rodu!

*) György, czyt. *Djórđj, Dsiórđż* (Jerzy).

„Lecz zdołałem przeniknąć nikczemne zamiary,
 „I biada zuchwalcowi, nie uniknie kary!..
 „Brata młodszego sługą uczynił w swym dworze,
 „Zazdrosny, że swą siłą zaćmić jego może,
 „Że te dzielne ramiona, warte armji całej,
 „Zgasiłyby mu imię i sławę zabrały.
 „Nędznik pomimo związek krwi i rodu święty
 „Pragnął, by brat w niziny nędzy był zepchnięty.
 „Wiemy, jak go podjudzał, — wprawil w szal wściekłości,
 „Aż zabił biedny młodzian rządcę jego włości,
 „Zdracząc György! — jakże wielki między wami przedział!..
 „Od tego jestem królem, żebym wszystko wiedział
 „I żebym zdławił spisek przez ciebie knowany
 „Przeciw bratu, co rycerz jest nieporównany!
 „Wiem wszystko od sług twoich, i czekałem długo
 „By ci tem bryznąć w oczy, ty zdradliwy sługo.“

Przemowa króla zachwył wzbudziła tłumiony,
 Że król choć taki młody, a tak doświadczony.
 György zaś z głową spuszczoną, brwiami zmarszczonemi
 Wolałby się był zapaść ze wstydu wskroś ziemi!..
 Król rzucił Mikłosowi przyjazne spojrzenie
 I po ramieniu klepiąc go, strojną w pierścienie
 Ręką białą, rzekł mile: „Wstań, królewskie słowo,
 „Brat cię więcej nie skrzywdzi, lub odpowie głową.

„Ułaskawiam cię tutaj na ziemi, a w niebie
 „Jestem pewny, Bóg również ułaskawi ciebie.
 „Możesz dóbr swych zażywać w ciszy, nie w udręce
 „Nie mogły nigdy one przejść w godniejsze ręce;
 „Zaś abyś nie miał waśni z sąsiadem na roli,
 „Brat twój część swoją tobie z dobrej odda woli,
 „Nieprawdaż, renegacie, że twoje życzenie,
 „By brat młodszy od ciebie całe przyjął mienie?“

A György oczy utkwivszy w królewskie oblicze,
 Nie śmiał przeczyć, tak groźne, i tak tajemnicze
 Fałdy zbruzdziły gładkość czoła królewskiego,
 Tyle w oczach wyczytał gniewu strasznego.
 „Skończyłem! — rzekł król. — Teraz potwierdzisz zrzeczenie
 „Własnoręcznym podpisem, nim cię stąd wyżenie
 „Gniew mój! — Ty, nędzny gadzie bez czci i honoru,
 „Wygnanys raz na zawsze z królewskiego dworu!“

Mikłós do króla z prośbą obie ręce splatał..
 „Ja nie chcę mego mienia, ani mienia brata
 „Pozostaw mu je nadał w wieczyste władanie,
 „Skoro je tak ukochał, miłościwy panie!
 „Co do mnie, pozwól, królu, bym spełnił swe śluby:
 „Być żołnierzem w twej armji dosyć dla mnie chluby —
 „Bóg dobry, co mnie wyrwał z otchłani potwarczej,
 „Pomożel — Środków życia oręź mi dostarczy!“

— „Twa skromność nas ujęła i w szczerłość jej wierzym!
 „Lecz tobie nie przystoi być prostym żołnierzem.
 „Spełniłeś czyn, na jaki nie każdy się waży...
 „Mianuję-c towarzyszem mej przybocznej straży!..
 Z temi słowy odpasał szablę z głównią złotą
 Sadzoną djamentami, przedziwną robotą.

„Weź ją, wierny rycerzu, niech na każdym kroku
„O twej wierności dla Nas, świadczy przy twym boku!”

Wypowiedzieć się nie da, jak promienna była
Radość, która młodziana serce przepełniła.
Miklos szabli nie oddałby za skarby ziemi,
Nie wymienił z bogactwy choć Darjuszowemi!
Chciał wyrazić swą wdzięczność, lecz gorące słowa
Wieżły w gardle, uczuciom nie sprostała mowa.
Dobry król to rozumiał! — Majestat rozumie,
Co chce powiedzieć serce, choć mówić nie umie.

Aby dopełnić miary bezbrzeżnej radości
Osiągnąć, o czym dusza mar.y w samotności,
Ujrzał matkę sędziwą między ludzi tłokiem...
Zapomniawszy o wszystkim, był tam jednym skokiem.
Do piersi w pancerz krytej przytulił jej skronie
I przez pancerz czuł serce, jak jej biło w łonie.
Trwali bez słów, łyzy jednej! — Jeno Bunczu stary
Idący za swą panią, łyzy ciurkał bez miary.

Jednak serca w swym harcie nie wytrwały długo
Jak niebo, nagle z chmury, dżdżu zapłacie strugą,
Zapłakały ich oczy, w łez trysnąwszy zdroje!..
— „Nareszcie widzę ciebie, drogie dziecię moje!..
„Widzę jak nad twym czołem już piuropusz biały
„Powiewa, znak rycerstwa, jasny symbol chwały!
„I serce me matczyne radośnie uderza...
„Sam Bóg ciebie, mój synu, stworzył na rycerza!..
Na to Miklos: „Tak, matko, mam w Bogu nadzieję,
„Że miecz króla w mej pochwie, już nie zardzewieje —
„Nie sobie-m szczęście winien, matko moja droga,
„Ani siłę mych ramion, jeno łasce Boga!..
„Z Györgyem Toldi, król orzekł, mienim zamieszkanie:
„On jedzie do Nagyfału*) i tam pozostanie—
„My tutaj!.. — Gdy błąd uzna, tem lepiej dla niego...
„Nie uzna... niechaj dobrzy Anieli go strzegą.“

Miklos tak kochał matkę, że myśli nie stało
Dać folę zwykłym chuciom, jakich żąda ciało.
W jego sercu płomiennem była mu jedyną,
Nie chciał się ni słubami pętać, ni rodziną.
Zostać nieustraszoną, wielkim wojownikiem,
Postrachem wrogów! — Mężem, który się przed nikim
Nie cofnął nigdy, łamiąc najdzielniejsze szyki..
O jego wielkich czynach piszą dziś kroniki.

Kto gniew jego rozbudził, mógł być pewnym zguby.
Dłoń miał szczodra i złotem sypał bez rachuby.
Kiedy w miłej ojczyźnie pokój był — wesoły
Uczłował wraz z panami swemi przyjaciół.
Nie zostawił po sobie ni złota, ni ziemi,
Ni dzieci, co by brata szły ślady krwawemi.
Pozostawił coś więcej nad doczesność całą,
Imię męża okryte nieśmiertelną chwałą!..

(Marjan Tatarkiewicz)

*) Czytaj: Nadjfału.

Z Części II. Z Pieśni V.

Raz tylko jeden ujrzeć — (choć co to nada?)
 Różankę *) swoją — dziś już cudzą — biada, biada!
 Chłodno się z nią pożegnać? — i tego nie mogę.
 Nie iść tam? (niemo westchnął) — ruszyć w inną drogę.
 Krew zagasić — jak gołąb stać się — jako jagnię!
 Tej jednej chwili ceną — wieczne pożegnanie!
 Gorzko będzie — lecz niech tak będzie! — tego pragnie.
 Tak wahał się bohater — lecz nęcą otchłanie.

Różanki serce także dręczyły w tym względzie
 Przechwałki męża: co za gość u nich dziś będzie!
 Wybladłe usta przeczyć chciałyby, lecz mowa
 Zamiera; trudno ująć Różance rzecz w słowa.
 Cały dzień Boga o to prosiła jedynie,
 Żeby Toldi nie przyszedł (dałże obietnicę?).
 Cały dzień w sercu tajnie jedna myśl się winie:
 Że gdy nie przyjdzie, w sercu pękną jej tętnice.

To jedyne spojrzenie — owo pierwsze słodkie —
 Przenikające, smutne, lecz rozkosznie wiotkie —
 Wymówkami żałosne, rzęsą łopocące,
 Milczące, pytające, odpowiadające —
 Wzbronione! Lecz w niem boskie prawo dumą wzrusza.
 Przekleństwo w niem i niebo oraz piekiel cienie —
 I rozpacz, gdzie zatracą się ciało i dusza:
 Całą uczucia głębię stwierdza to spojrzenie.

Mieli czas, by odzyskać zwolna równowagę.
 Rozmowa: — wszystkie słowa obwiną w rozwagę.
 „Pogoda — urodzaje — bitwy — łowy — konie...“
 Maska twarzy osłania, co wre pod tem w łonie.
 Lecz serce Mikołaja wicherzy się otchłanią —
 Przy uczcie od gorącej krwi — miłości — wina —
 Pije za młodą parę, jak może pić za nią.
 I coś mu, że Wawrzyniec rozumieć zaczyna!

Gdy zaś piękna niewiasta wzięła w ręce kielich
 I zwilży w ogniu wina czar ustek anielich —
 Zapomniał niemal o tem, co bezdennie boli —
 Oddając się rozkoszom chwili mimowoli.
 Biesiadnicy wciąż różnie unoszą się duchem —
 Aż leśne przyniesiono warchlę na półmisku.
 Jak żywe, zda się: leży, w dół oparte brzuchem —
 Skóra — czerwony pancerz; jabłko trzyma w pysku.

Tar, zbrojny wielkim nożem, gospodarczą bronią,
 Rzuca się na warchlaka; kraje lewą dłonią.
 „Daj — woła Toldi — nóż mu ze śmiechem wydiera.
 Puść go Wawrzon, zezem na niego spoziera.
 Wówczas — niewiem — podszepty jakiegoś demona,
 A może temu winna ta tokaju szklanka,
 Lub pamięć jakichś uczuć dawno pogrzebiona
 Sprawily, że tak naraz powiada Różanka:

„Wawrzonie! jakąż dziwną bawisz nas zabawą?
 Kosztem lewej oszczędzasz swoją rękę prawą.

*) W oryginale *Piroska* (czyt. *Piroska*), co ze względu na dwuznaczność dźwięku, tłumaczymy dosłownie na *Różankę*. Toldi wywalczył na turnieju Różankę dla innego, Wawrzyńca Tara, ale sam ją pokochał, jak i ona jego. Stąd konflikt wewnętrzny jego duszy. Wawrzyniec o tem nie wie i zaprasza Toldiego na ucztę do siebie.

Widziałam, jak prawica twa dzielnie wywija —
 Jak to w czasie turnieju ostatnia kopija...^{a*)}
 Zachnął się Tar gwałtownie — i naprzemian blednie,
 Aż bardziej poczerwieniał niż warchlaka ciało:
 Lewa ręka cisnęła się, by mimowiednie
 Odeprzeć słowo w miejscu tem, skąd mu zabrzmiało.

Krew, co z ust niemal trysnąć chce w wzruszeniu żywem —
 Zabarwiła kobietę swym nagłym dopływem,
 On zaś stał w osłupieniu, na Różę patrząc
 I na Toldiego spojrzął, nóż w rękę trzymając.
 Ale wnet jak kozica trwożna w lasu głębi,
 Co widzi, jakie grozą jej niebezpieczeństwa,
 Całem ciałem się pręży, do skoku się kłębi —
 Wszystko jej zda się dobre: cieśnia, trzcina, gęstwa:

Tak on mknie ku najbliższym drzwiom (coś go wystrasza) —
 Ku drzwiom, które nie wiodą nigdzie prócz poddasza.
 Nie było stąd sposobu uciec ani rady —
 Oknem skoczył w ulicę — czerwony i blady.
 Jak dziki zwierz zatrzyma na swym łupie wzroki —
 Chwilę czeka a nozdrze mu drga — dyszą płuca —
 Lecz gdy łup znów chce uciec — ten wnet za nim w skoki,
 Tak za Tarem okrutny Toldi w skok się rzuca.

Lecz oto przed nim Róża stałe wyleknioma.
 Za mężem swoim prosi jak najpiękniej żona.
 Z miłością ciemnem okiem w Toldiego spogląda —
 Złoży rączki — i łaski dla Wawrzona żąda.
 Mikłosz na swoim łonie widzi gorejącem
 Jej twarz — i gniew mu z serca niby mgła gdzieś pryska —
 I jako czarna chmura zachodowem słońcem
 Promienna — nagle w oku sam promieniami błyska.

Do serca to oblicze przyciska różane —
 Przyciska swe rozkoszne niebo zakazane.
 I tak ją pocałunków okrywa tysiącem —
 Bezpamiętnych — i słowem wybucha gorącem.
 „Pójdź — szepcze, ledwie dysząc. — Uchodźmy — tak woła. —
 „Uchodźmy. Koń mój czeka. Siądziem na bachmata.
 „Wiatr ni słońce mojego nie znajdzie aniola.
 „Bronić się będę wobec wszystkich mocy świata.“

Toż ocknie się Różanka z rozkoszy głębokiej —
 Jak żuczek, co w miodowej upadł kadź patoki.
 Cofa się lekko — patrzy w niego — błaga szczerze:
 — „Nad honorem kobiety czuwaj, bohaterze.“
 I drży piękna niewiasta. Ach, krzyknąć nie może —
 Nie lamentuje — znikąd pomocy nie woła.
 Drży tylko, jako lilji kielich na jeziorze,
 Zgadując, że oporu stawić mu nie zdoła.

Ale i w Toldim gorzka przemaga powinność.
 Oto bezsilna przed nim szlachetna niewinność —
 Wzywa jego — rycerza — przeciw samej sobie —
 By słabości jej nie chciał wyzyskać w tej dobie.
 Teraz dopiero widzi rycerz ów zawzięty,
 Nad jaką czarną grzechu przepaść szedł — niestety!

*) Aluzja do faktu, że o Różankę walczył nie mąż, lecz Toldi.

Ze pomyśleć ohyda, — bo to wsieręć nad wstręty,
By fałszem złamać serce przezczystej kobiety.

Niech jego złamie los, niech straci go w otchłanie —
Za życia niech go dręczą wszystkie piekiel szranki —
Niby zgrzyt — takie było jego pożeganie:
Odszedł, by nigdy więcej nie widzieć Różanki.

(A. L.)

5. Pamięci Petöfi'ego

a) Odłożyłem swą lutnię

Odłożyłem swą lutnię — niechaj odpoczywa,
Nie czekajcie odemnie już pieśni, rapsodów!
Już nie jestem, czem byłem; z wiosennych

[ogrodów

Najlepsza część mej duszy — znikła już nieżywał
Już ogień mój nie płonie; zgasły jego skry,
A płomień jego drzewem, zda się, spopielo-

[nem —

O gdzieś ty? Czem się stałaś ty,

Młodości ma z gorącym łonem?

Innym niegdyś mi nieba śmiały się uśmie-

[chem —

Ziemia mi się stroiła w szaty aksamiłne
I w lazurach mi gwiazdy płoneży błękitne,
A gaje śpiewu ptaków witały mię echem.
Zefir mi balsamiczne snuł dokoła mgły —
A łąki mi jaśniały kwieciami ubarwionem,

O gdzieś ty? Czem się stałaś ty,

Młodości ma z gorącym łonem?

Niegdyś nie tak samotnie żyłem, nie tak

[smutnie:

Uderzaliśmy razem w Apollina łuki,

Nawzajem oczy nasze, pełne ognia sztuki —

Śledziły — jak nam palce przebiegały lutnię!

On duszę mą zapalał; tak gorzeli mi

Dwóch płomiennych uniesień tchnieniem po-

[łączone...

O gdzieś ty? Czem się stałaś ty,

Młodości ma z gorącym łonem?

Śpiewaliśmy z nadzieją na przyszłość lata —

I we łzach ku przeszłości spoglądając krwa-

[wej —

Zapalaliśmy złotą aureolę sławy

Dla ludu i ojczyzny węgierskiego świata. —

I wszystkie nasze pieśni, wszystkie nasze ły

Laur składały na czole jej błogostawionem:

O gdzieś ty? Czem się stałaś ty,

Młodości ma z gorącym łonem?

Roiliśmy, że kiedy na naszej mogile —

Zakwitną białe brzozy, całą naszą ziemię

Ozłoci jasna chwala — i potomne plemie

Wspominać będzie obu — ze łzami a mile!

Roiliśmy! Ach różne były laurów sny —

Nie złożysz ich na czole męką rozdwojonem.

O gdzieś ty? Czem się stałaś ty,

Młodości ma z gorącym łonem?

Czemżeś jest teraz, pieśni ma osierocona?

Możesz umarłych pieśni tylko widmo drzące?

Może widziało smętne, na grobach płaczące —

Bo rdza się dziś okryła twa złota korona;

Możesz całun ozdoby w kwiatów wieniec

[mdły

Lub głos co brzmi na puszczy czy morzu

[wzburzonem:

O gdzieś ty? Czem się stałaś ty,

Młodości ma z gorącym łonem?

Odłożyłem swą lutnię. Zbyt wielkie to brzemie,

Któżby melancholijnych moich słuchał pieśni,

Któżby kwiatów powiędłych radował się pieśni

Na gałęzi wyschniętej, co pada na ziemię?

Na gałęzi wyschniętej jeszcze białe dni

Przeżywa kwiat, aż zemrze kielichem schylo-

[nym:

O znikłaś, czuję, znikłaś ty,

Młodości ma z gorącym łonem!

b) Po trzydziestu latach

Często i dzisiaj nawet, nawiedzasz sny

[moje —

Ty, w śmierci osiwiłaś, a obcy spocznieniu:

Nie mógł cię naród osnuć w całunów zawoje,

Niepogrzebiony — zawsze obecny mi cieniu!

Gdybyśmy dziś wierzyli, jak Rzym albo

[Greki,

Tam, gdzieś padł — dziś by płonął ołtarz nie-

[śmiertelny:

I oddawna na błękit wstąpiłbyś daleki —

Sam bóg — piłbyś wśród bogów nektar ich

[weselny.

Lecz pod nawałą czasu, co mija i rośnie —

A który nas osłabia — krzepnie twa potęga —

Z tego, coś dał nam — wszystko kwitnie

[w wiecznej wiosnie —

Z pokoleń w pokolenia duch twój pieśni sięga!

A ja, co żyłem długo duchem twym i ciałem —
Smutny jestem — i gniewne nieraz rzucam
[słowa:
Czy serce twoje moskiewskim przebite kindza-
[łem —
Czy siekierą wołoską skrwawiona twa głowa?
(A. L.)

6. Pocieszenie

Czem jest ognisko dla domu zimnego,
Czem bywa gniazdo dla wróbla sieroty,
Czem rosa kwiatom mdlejącym z spiekoty,
Czem bywa balsam dla rany chorego,
Czem światło w nocy, cień w skwarne połu-
[dnie,

Czem to, co nieme, choć w duszy gra cudnie,
Co jasne świty rozżłaca niekłamnie:
Tem, o Poezjo — jesteś wszystkim dla mnie.

Skróś ciernie życia idąc przemęczony,
Od trosk i nocy nieprzespanych blady,
Na brózdach czoła niosąc cierpień ślady,
I te przedwczesne na mych włosach szrony:
Jeśli gdzie ujrzę kwiat wonny w rozkwicie,
Wraz z nim znów żyję i znów kocham życie,
Bo jest w tym kwiecie twój pierwiastek
[boski —

I zapominam wnet bólu i troski.

Gdy serce, żądne przyjaźni, wybieży
Ku ludziom, niosąc im skarby miłości —
I odrącone szuka samotności,
I niby chory w moich piersiach leży:
Tys mu jest miękiem przytulnym węzłowiem,
Sen błogi niesiesz, który jest mu zdrowiem,
Gdyż rzeczywistość w tym śnie i jej burze
Milkną — i wszędy wonieją mi róże.

Tyle mi szczęścia dajesz, o świetlana!
Tak ból mój skrywasz przed światem tajemnie,
Że i złość ludzka nie widzi jak we mnie
Niezagojona w sercu krwawi rana.
Kiedy mnie smutki i troski udręczą —
Ty we łzach moich barwną płoniesz tęczę —
A kiedy skargą wybuchną me wargi,
Ty uszlachetniasz nawet słabość skargi.

Nie wiem, czy wartość mają moje wiersze.
Nie myślę nad tem. Co do tego komu?
Są *mojem* światłem, w *moim* biednym domu.
Nie będą świecić na przestrzenie szersze.
To nie latarnia, co w mroków odmęty
Rzucając światło, kieruje okręty,
By nie schłoneły ich zdradliwe tonie:
Dosyć mi szczęścia, skoro dla mnie płonie.
(*Marjan Tatarkiewicz*)

7. Ognisko rodzinne

Wieczór oto, wieczór... Wszystko odpoczywa,
Śród ciemności morwa czernieje senliwa. —
Szerszeń brzmi — i głową gdy uderzy w ścianę,
Cofa się — i milknie, lecąc w mgły rozwiane,
Zamyśłone, sennie, nogami długimi
Leniwe ropuchy pełzają po ziemi;
Nietoperze krążą niby nocne duchy,
W starej wieży pućka przeraża dziewczuchy.

W mroku na podwórzu stoi krowa biała,
Matka świeżo mleko z piersi jej czerpała;
Krowa cicho żuje i sama wieczerza,
Lecz głodne cielątko różkiem ją uderza.
Biała kotka myszek i robaczków szuka —
Miłą jej przebiegła polowania sztuką.
Naprzęży się, stanie i patrzy wokoło —
I raptem do matki podskoczy wesoło.

Otworzono wrota, a płomień ogniska
Purpurową łuną aż na parkan błyska,
I znużony Burek przed wrotnemi progi
Rzucił się, na głowę nawinąwszy nogi.
Wewnątrz gospodyni mleko w dzieże zbiera—
Daje trochę dziecku, które się napiera.
A dokoła dzieci roją się jak pszczoły...
Przy kominku słychać rozgwar ich wesoły.

Smukłą dziewczę kładzie w piec duszę
[z żelazkiem
(Najpiękniejsza z córek, gwiazd świecąca
[blaskiem)

Skończyła sukienkę — teraz ją prasuje —
Jutro dzień świąteczny, a więc się gotuje.
Wokół malcy; bajki prawi im dziewczyna.
Słuchają, groch łuszcząc — i pęka łupina —
Rzucają łupinę w komin do płomieni,
Płomień podsycony twarze im rumieni.

Najmłodszy nie słucha, jeno chleba woła,
Potrząsając głownią czerwoną dokoła.
Starszy chłopiec z boku siadł i książkę czyta —
Ma pastorem zostać! — chwała znakomita!
Tak przynajmniej stary ojciec sobie życzy,
Ale on w brewiarzach nie czuje słodczy,
Kocha tylko pieśni, — pieśni i pieśniarzy,
I sam pieśni składa i o lutni marzy.

— Dobry wieczór! — wchodząc gospodarz
[powiada,
I na ławie ciało znużone układa,
I szarym rękawem obciera swe czoło,
Czoło, wyorane pługiem życia wkóło. —
Lecz gdy słyszy wokół śmiech i gwar mło-
[dzieży,
Twarz mu wypogadza oddech wiosny świeży—
I zapala fajkę, co w troskach pociesza —
A żona go słowem wesołem rozśmiesza.

Ale już bez zwłoki dobra gospodyni
 Małżonkowi swemu śpieszne służby czyni
 I na środek izby niesie stół drewniany
 I ustawia na nim proste misy, dzbany.
 Sama razem z dziatwą jadła już poprzednio,
 Ale mąż: — Pójdź, droga! w godzinę obiednią
 W miłym towarzystwie więcej jest wesela.
 I potroszku dziatwie z potraw swych udziela.

— Ale, córko moja, wyjrzyj, kto tam puka?
 — Żebak zabłąkany, co schronienia szuka.
 Nie ma własnej chaty, przyjąć go należy —
 Smutnoż to bez dachu, smutno bez wieczerzy.
 Wchodzi siwy starzec, kaleka schyłony,
 Drżącym rzecze głosem: Chrystus pochwalony!
 Niech błogosławieństwo zakwitnie w tym
 [chlebie,
 I niechaj Bóg dobry błogosławi ciebie.

— Dzięki — rzekł gospodarz — siądź tu
 [w naszym kole.
 Matko, dodaj jeszcze, gdy mało na stole.
 Siądź, wędrowcze siwy! — gospodarz zaprasza.
 Ów broniąc się siada... Wonieje mu kasza.
 Smaczmem tedy jadłem głód zaspokoili —
 I kryniczną wodą pragnienie gasili. —
 Jedzą, nic nie mówiąc i milczenia strzegą:
 Taki jest obyczaj ludu węgierskiego.

Po skończonej uczcie żebak dzięki składa
 I pewniejszym okiem spojrzy i zagada,
 I powoli mówi, jak struga płynąca —
 Im dalej, tem mocniej głos o pułap trąca;
 Nawet starszy chłopiec książkę swą zamyka,
 Zbliża się, uważnie słucha wędrownika —
 A gdy starzec skończył i zapala fajkę —
 Prosi go, by jeszcze powiedział mu bajkę.

— To nie baśń — surowo rzekł ojciec do syna —
 Starzec nań spogląda — znów gadać zaczyna.
 Dokoła panuje milczenie pobożne —
 I zamilkło nawet starsze dziewczę trwożne,
 Choć nikt nie zgaduje i choć nikt nie słyszy,
 Rumieniąc się szepcze bratu swemu w ciszy:
 — Trzy lata od niego bez żadnej nowiny!
 Rok jeszcze ja czekać mam na ślubowiny.

Ale późno, późno... Ogień już bez duszy —
 Gasnąc popielnemi żrenicami pruszy.
 Dzieci sennie... Młodszy na matczyne łono,
 Dawno śpiąc, ułożył głowę pochyłoną.
 I gość też mniej mówi — a rozmyśla dłużej.
 Kotka się jedyna mruczeniem nie znuży,
 A potem na ziemi rozłożyli stół —
 Świerszcz swoje królestwo objął niewidome.

(A. L.)

Poeta opisuje tu dokładnie dom rodzinny i otoczenie z czasów swej pierwszej młodości.

8. O naszym eposie naiwnym

Nie trzeba się powoływać na liczne argumenty, gdy powiemy, iż epos historyczno-legendowy miało niegdyś u nas kształty poetyczniejsze niż u pisarzy XVI wieku.

Osobliwy był nasz los, iż gdy inne szczęśliwsze narody doszukają się w *zabytkach poezji* najdawniejszych swoich dziejów, do których historia nie dotarła: nam przeciwnie historia podaje wątek nici naszej najdawniejszej poezji.

Kronikarze nasi, pomimo całą swoją trzeźwość, nie mogą się powstrzymać, aby już tu, już owdzie nie ukazać źródła poezji, z którego często czerpią. Oby częściej to byli czynili! Oby częściej zwracali byli uwagę na powieści i podania ojczyściel

Historycy nasi z dumą podnoszą tizeźwość jaką odznaczali się kronikarze węgierscy w najdawniejszych czasach. Ja się nie cieszę z tej trzeźwości. Nasza mitologia, nasz świat legendowy zaginęły: czy zdobycze historii zastąpią tę stratę?

Kronikarze nasi, jak ogólnie sądzimy, po większej części czerpali z pieśni ludowej: o ile pewniejszą jest autentyczność fragmentów, na których się oparli — od tych, które pominęli?

Czy wynika z tego, iż prawdopodobieństwo materiałów zużytych odpowiada rzeczywistości? A pomimo to, iż najdawniejsi nasi kronikarze z naiwnością uczonych starają się poniżyć i zlekceważyć naszą poezję pierwotną: niektóre jednak ustępy pozwalają nam się domyślać nie tylko śladów eposu, ale równocześnie odstawiają nam formy legendy, mianowicie szczegóły dotyczące powieści o odrębnych zdarzeniach i postaciach u Beli Bezimiennego; jest to bez zaprzeczenia szczegółowość eposu i jeżeli nie stanowi to „olbrzymich muskułów węgierskiej pieśni o Nibelungach“ (jak powiada Szalay), to w każdym razie w tych szczątkach powinniśmy uznać wielki żywy spadek i pozostałość poezji ludowej. Czasy Arpada i Zsolta dostarczyć mogły bardzo najobfitszego materiału. I właśnie te czasy Arpada i Zsolta Bezimienny zna najdokładniej. O czasach Taksona i Gezy zaledwie cośkolwiek wspomina. Bohaterzy — zdobywcy kraju, z których najgłośniejszym był Arpad, krążą jeszcze i w epoce syna. Z ich zniknięciem, zamilkło epos; tak jak powrócił do domu bohaterów Troi kończy sławny helleński okres mityczny. Formalnie więc zaokrąglą się cykl eposu; w szczegółach zaś kronika uwydatnia nie w jednym miejscu pochodzenie swe od poezji.

Przytaczam tutaj fragment, który, nie moge zaprzeczyć, wygląda jakby zapożyczony z opisu Daresa Frygijszkiego; możliwe jest jednakże, iż odpowiada on tylko pieśni ludowej. „I była twarz Almosa ładna, chociaż brązowa; oczy miał czarne i duże; postawę wysoką, wysmukłą, ręce muskularne, palce długie. Sam zaś Almos był łaskawy, pełen dobrych chęci, szczodry, mądry, dobry żołnierz, i żywo obsypywał darami wszystkich tych, którzy zasłynęli bohaterstwem w Scytji.“ Nie jest to powiedziane suchym językiem kronikarza, jest to całkiem poetyczna „*ethopoea*“. Jeżeli pojedyncze epizody zajęcia ojczyzny, jak utrzymuje Anonymus, zbadamy z punktu widzenia form poetyckich, musimy przyznać, iż związek wypadków jest tam bardziej historyczny, niż poetycki. Z lekliwą trzeźwością omija Bezimienny wszystko, co mu się wydaje bajeczne lub dziwaczne (awanturnicze), i pilną zwraca uwagę, aby opowiadane zdarzenia związać szeregiem znanych miejscowości, nazwisk, narodów i tym sposobem nadać im zupełny pozór historyczny.

Cykl kronik jednakże, który się rozpoczyna od Kezaia, kończy zaś na Turócim, tak ściśle się trzymał form eposu w swoich licznych epizodach, iż służył za gotową legendę nowym poetom. Arpad, który zagarnia kraj najpierw symbolicznie, zanim go w posiadanie obejmie, jest gotową postacią poetycką. Skazanie na śmierć Lehela i Bulczu; Lehel, który pragnie raz jeszcze zagrać na rogu i na rogu tym wygrywa zemstę: jest to motyw tak pełny, iż nawet dzisiejszy poeta nic do tej legendy dodać nie zdoła. Obłężenie Konstantynopola (u Turóczy'ego) odwierciadla cechy naiwne epickie nie tylko w całości, ale i w szczegółach. Oto podanie o Botondzie podług Turóczy'ego. Nie wspominamy o tem, jako o czemś nieznanem, ale po to, aby lepiej rzecz unaocznic. Apour, dowódzca Węgrów z wojskiem swoim stoi pod Złotą Bramą. Wielki, prawie że olbrzym, Grek wychodzi z miasta. Z dwoma Węgrami, mówi, chcę walczyć i jeżeli nie zwyciężę ich, cesarz grecki zapłaci Węgrom daninę. Grek wybiera do walki samego Botonda. Ten dumnie występuje, mówiąc. „Jestem Botond, Węgier prawdziwy, najmniejszy z Węgrów; dobież sobie jeszcze dwóch Greków, aby jeden trzymał duszę twą ulatującą, drugi ciało pochował, gdyż uczynię cesarza greckiego wasalem mojego narodu“. I wspaniale podchodzi ku bramie z toporem i, aby siłę swą pokazać, jednym uderzeniem

wybija w niej taki otwór, iż pięcioletnie dziecko śmiałoby przezeń przejść mogło. Wtedy rozpoczyna się walka. Węgrzy z jednej strony, z drugiej zaś strony Grecy z naprzężonym oczekiwaniem przyglądają się z murów i baszt miasta. Sam cesarz z cesarową w ogromnym wstydzie odwracają głowy i śpieszą do pałacu. W gniewie cesarz odmawia daniny, za co Węgrzy mszczą się spustoszeniem prowincji i z bogatym łupem wracają do ojczyzny.

Jest to całkowita, w najmniejszym szczególe utrzymana, legenda poetycka. Zadługo by było wykazywać w kronikach ustępy, w których wyczuwa się w większej lub mniejszej mierze epos pierwotny. Poezja współczesna zna je dobrze i częściowo z nich korzysta, znajdując w nich gotową legendę.

Pojedynek Beli, korona i miecz, czerhalomskie porwanie dziewcząt — toż gotowe szczątki pieśni legendowej. W opisie wojen króla Salomona u Turóczy'ego na każdym kroku wyczuwamy tchnienie eposu. Oto ustęp wprost homerowski: Salomon i księżęta Geza i Laszló od dwóch miesięcy oblegają Nándorfehérvár. Saraceni często wypadają z zamku, ale po krwawej walce są odrzucani z powrotem. Jednego razu trzech bohaterskich Saracenów, uzbrojonych we włócznie i łuki, wypadło z zamku i straszne spustoszenie czynili w obozie węgierskim. Tymczasem jeden z Węgrów, obsługujących machinę oblężniczą — uderzał nią nakształt pioruna — i zabił jednego z Saracenów. Ciało zabitego Węgrzy starają się porwać, lecz jego towarzysze bronią go dzielnie. Król i księżęta, widząc tę walkę, podniecają stojących wokół rycerzy: „Oby serce i krew Machabeuszów odezwały się w Węgrach — i oby zawładnęli ciałem Saracena!“

Słyszając to z szybkością strzały pośpieszyli rycerze: Opus, György i Bors księżęta, by ciało Saracena odbić.

Opus zuchwale ściga nieprzyjaciela, aż do bramy zamkowej; napróżno szturmowani spijają na niego kamienie i strzały z baszt zamkowych: cało powraca! Tymczasem György i Bors, porywają trupa i wrzucają go *in turpitudinem*.

Nie jest że to walka Trojan z Grekami nad ciałem Patroklesa?

Z przytoczonych przykładów, jak sądzę, wynika, że istniało u nas epos naiwne, które przedstawiało, jak zwykle pieśń ludowa, dzieje w formie poetyckiej. Jak się to stało, że epika XVI wieku tak mało odziedziczyła po swoich

przodkach, i że w okresie książek drukowanych, nie powstają pieśni bardów, a nawet sam kunszt poezji epickiej zatracą się prawie zupełnie? Jest to pytanie, na które trudno odpowiedzieć: pomimo to spróbuję. Już u pierwszych naszych kronikarzy widzimy tę trzeźwość, która zmienia legendę na historię i stara się odłączyć ją od poezji. Bela Bezimienny starannie wystrzega się gadatliwej pieśni ludu, chociaż znów czasami wprost na nią się powołuje. Omija naprzykład wyżej wspomniane podanie o Botondzie, dlatego, iż słyszał je tylko w pieśniach ludu, a nigdzie w kronikach nie spotykał. „Niekórtzy — pisze — mówią, że podeszli oni (Lehel, Bulczu, Botond) pod sam Konstantynopol i że Botond rozbił toporem złotą bramę Konstantynopola; lecz ponieważ nie czytałem o tem w żadnym dziejopisie i tylko słyszałem w kłamiwych baśniach chłopów, nie wpisałem tego do tej pracy mojej“. Oburza się Szymon Kezai nie tylko na podanie Orozjusza, który mówi, że Węgrzy pochodzą z pewnych rozpustnych kobiet i złych duchów, zaprzeczając, „*ut spiritus generare possint*“, ale i koniec podania o Lehelu, który gra na rogu obala cesarza, uważa za nieprawdopodobny „ponieważ jest w zwyczaju osoby oskarżone przyprowadzać przed oblicze panującego z rękoma związanymi“.

Wahanie się ducha krytyki owego czasu, jest w każdym razie znamienne; lecz nie dlatego jest to pocieszające, abyśmy mogli dane naszych kronikarzy przyjmować bez zastrzeżeń, gdyż uznając, iż brali oni materiał z tradycji, mogli oceniać to, co nieprawdopodobne, lecz równocześnie niezawsze odczuwali to, co nieprawdziwe; jest to godne uwagi dlatego, iż świadczy o trzeźwości sądu, który tkwi w charakterze naszego narodu. Trzeźwość ta jednak stała się szkodliwą pamięci naszych poetów ludowych z prawieku, szkodliwsza może, niż szerzenie wiary katolickiej, gdyż ta

wojnę wytoczyła wyłącznie mitologii, gdy tymczasem dawniejszy krytycyzm tylko pod wpływem wymagań rozsądku usuwa z historii wszystko, co trąciło legendą, i w ten sposób owa trzeźwość niszczy kwiaty naszej puścizny poetyckiej.

Gdyż naiwność nie ma większego wroga nad to prymitywne, a jeszcze naiwniejsze uczucie, którem osobnik lub naród chce się wyzwolić z nieśmiałości dziecięcej. I wtedy z gorliwością neofity, wypowiada wojnę tym wszystkim błędom, których przedtem sam był niewolnikiem; nienawidzi je; trzeźwy umysł każe mu się wstydzić, iż je kochał.

Początkującą wiedzę możemy nazwać naiwnością uczonego; u nas ujawniła się ona wcześniej i służyła naszemu trzeźwemu umysłowi swoją ostrożnością; ale zbyt długo przetrwała, a w poezji trwa do najnowszych czasów. Nie daje nam to wcale powodu do dumy, chociaż tłumaczyć się możemy charakterem czasów, jakie przeżywaliśmy. Ta trzeźwość przedwczesna spowodowała przewagę refleksji nad wyobraźnią, a podług mnie główną przyczynę stanowi tu fakt, że poezja pisana od samego początku oderwała się od ludowej, lekceważąc ją, skutkiem czego poezja ta z wolna zamierała, schła, a tem samem pozbyła się podstawy, która stawia poezję narodową na piedestale. Nie wiem, czy my następcy potrafimy w braku podstaw doprowadzić do czegoś większego na polu poezji epicznej; z mojej strony odczuwam to z boleścią, lecz ostrzegam zarazem przed cudzemi opowiadaniem ludowemi.

Obawiam się, by przez nie się nie wkraść do naszej poezji duch obcy, co bynajmniej lepsze nie będzie; gdyż na jedno wychodzi, czy ugrząźć w naśladownictwie starych klasyków, czy też jakiegokolwiek innej poezji obcej.

(Zofja Nanassy-Grużewska)

Szechenyi Istvan

(1791–1860)

Położenie Węgier

(Wyjątek z dzieła „Świat“)

Ojczyzna nasza jest fatalnie poszarpana na partje, wyznania religijne i odrębne narodowości, wreszcie na autonomje samorządowe.

I dzieli to naszą ojczyznę na 73 odrębnych ojczyzn; z tego partje zajmują jakieś 5 części, wyznania z jakich 6, odrębne narodowości 10,

autonomje zaś samorządowe 52, nie licząc w to okręgów, jassów, kunów, miast królewskich i t. p.

Nie dostrzegamy przyczyny naszej słabości, a wielu z nas nie przypuszcza nawet, jak słabi jesteśmy. Poszarpanie to czyni ojczyznę naszą podobną do ciała umierającego, do chorego, którego krew krążyć już przestaje. I jeżeli jasno chcemy widzieć przyczynę, to musimy jej szukać w tej smutnej heterogenezie niedoli przeszłych czasów, które tak często nasz kraj okrywały żałobą i w tych nienaturalnych stosunkach znajdziemy źródło tej hańby czasów teraźniejszych, które zniżają nas do rzędu małych narodów.

Mało troszczą się o swój kraj najpoważniejsi obywatele ziemscy (nie mówię, że nie ma pomiędzy nimi wyjątków)—wydają swoje mienie zagranicą, o ile zaś nawet wegetują w kraju, to żadnych usług mu nie oddają, pomimo, iż mają ku temu wszelkie dane, jak wykształcenie, środki, stanowisko.

Inni z nich tak się zachowują względem żywotnych spraw kraju, jakby całego swego bytu nie zawdżeczali właśnie jemu. Należałoby im zakazać wtrącania się do rządów, gdyż wypływa to ze świętych praw natury, iż wzajemian za szczodre dary, jakimi cię obsypuje ojczyzna, każdy człowiek ma na siebie nałożone względem niej obowiązki. Zgodnie zaś z ustawą legitymizmu do stanowiska, na jakim go umieściło przeznaczenie boskie, przywiązane są pewne przywileje tak, jak przywileje ma panujący, który zasiada na tronie królewskim. A teraz posiada taki obywatel wspaniałe prawo do zabierania głosu na zjazdach komitatów, lub w sejmie krajowym, bez żadnych specjalnych urzędów ma możność wpływania wiedzą swoją i rozsądkiem na rządy i t. p. A czy wielu czyni to ze zrozumieniem rzeczy, z całkowitą bezstronnością? — Czy wielu potrafi ocenić te niezliczone dary losu, z których kilka zaledwie wymienilem? W innych krajach ludzie gotowiby byli nawet krwią serdeczną zapłacić za takie prawa; tam bowiem nieraz lata całe, nawet wieki trzeba milczyć, zagłuszać najwznioślejsze idee, niszczyć w zarodku nauki i udawać głupców, dopóki tyranja nie pozwoli przemówić, a i wtedy jeszcze nie wolno mówić tak, jak się czuje sercem i duszą, tylko tak, jak inni myślą, życząc sobie lub rozkazując.

W największych naszych pałacach przyjmują język węgierski obco, rzadko kiedy chętnie; słowem jest to jakiś intruz, załśni cza-

sami z pomiędzy licznych słów obcych podobnie jak błyskawica na pochmurnem niebie. I biedny ten wygnaniec chętniej kryje się w folwarkach, pomiędzy służbą; ozdoba domu—kobieta, która wszystko ożywia i najsuchszym rzeczom wdzięk nadaje, nie rozumie go, a jeżeli nawet rozumie, to odwraca się do niego tyłem. Szlachta prawie całą swoją umiejętność zwraca przeciw naukom ojczystym; naturalnie i tutaj są wyjątki i to różnego rodzaju, którym zawdzięczamy jedynie nasze istnienie obywatelskie. Ale równocześnie z pomiędzy narodów chrześcijańskich, my jesteśmy najbardziej zacofani. Zamało znając zagranicę, Węgry przeceniają skądinąd swój kraj, pojęcia nie mają o wynalazkach, które dla innych krajów są błogosławieństwem, i powstają z dzikiem oburzeniem przeciw licznym ulepszeniom. Wiele ograniczeń uważają za swobodę i w tem widzą swój przywilej, że mogą obejść wyrok sądu, który zbyt powolnie karze za samowolę, gdyż przyznać trzeba, iż grasuje między nami kilku wprost uprzywilejowanych burzycieli porządku społecznego; tego zaprzeczyc nie możemy. I za tych kilku „betjarów“ pokutuje większość niewinnych, gdyż zagranica wyobraża sobie, iż w kraju naszym przez samowolę jedynie rządzić można szlachtą węgierską. I wielu jest takich, co chociaż nie wierzą w tę swobodę nieograniczoną, nie potrafią uprzytomnić sobie w głębi duszy istotnej filozofji wolności społecznej i uważają się za naprawdę wolnych, t. j. nie mających żadnych zobowiązań.

A miłość ojczyzny, która wolną powinna być od wszelkiego egoizmu, miłość ojczyzny magnatów i szlachty nie jest tak doskonałą, gdyż pomimo, iż obdarzeni są tem największem dobrodziejstwem ojczyzny, t. j. posiadaniem własnych domów, u nich mianowicie jest najwięcej swarów i braku jednności.

Mieszczanie, którzy są jedynymi przedstawicielami sztuki krajowej w znaczeniu rzemiosła, przeważnie nie są Węgrami i nie chcą być nimi, pomimo, iż oddychają powietrzem węgierskiem, jedzą chleb i piją wino węgierskie, i innej ojczyzny poza ziemią węgierską na całym świecie nie mają. Prawda, że stany wyższe niezbyt osładzają im życie i niezbyt raczą protegować tę kastę ludzi, która przez swoją zręczność i wiedzę handlową mogłaby z punktu widzenia praktycznego oddać wielkie usługi naszemu krajowi. Niema u nas w ścislem tego słowa znaczeniu uczciwego stanu artystycznego, ani kupieckiego, ani rze-

mieślniczego i póty go nie będzie, póki prawo nie otoczy opieką jednostki i jej mienia, a społeczeństwo nie zacznie więcej niż dotychczas oceniać tę jednostkę.

Chłopi dzielą się na wiele odrębnych narodowości; i oto Szwab przez swoją mądrą pracowitość, Słowak przez nieopisaną płodność, Rumun przez uporczywe przestrzeganie swoich zwyczajów, Austriak przez swój spryt kupiecki—zaciskają w coraz ciaśniejsze ramki rodowitego Węgry, który, jeżeli weźmiemy za najprawdziwszą miarę gustu—jego nieuległą męską postawę—jest bez zaprzeczenia najpiękniejszym typem ludzkim wśród mieszkańców kraju. I ci, którzy w porównaniu z innymi narodowościami, nie o wiele są liczniejsi i których liczebność jest już ostatnią siłą, mają tak samo jak lwy niewiele potomków; gdy natomiast Słowacy, Niemcy, Rumuni tak się mnożą jak grzyby w lesie. Węgry unika roboty w poczuciu własnej niezależności, z bujną dumą odsuwa każde rozbudzenie się duszy i najpotrzebniejsze środki upiększenia ze wschodnią powagą.

W wielu miejscowościach węgierskich mieszkańcy są rośli i wysmukli, jak młode jodły i niezmiernie podobni do siebie z rysów twarzy, postawy, ruchów, a jednak i ci nawet nie tworzą jedności duchowej w tak małym stosunkowo kole. Krzyż—to chwalebne godło miłości bratniej i miłosierdzia, staje się źródłem nowych przeciwieństw. Zaledwie znajdujemy takie stowarzyszenie lub związek, w którym starcia wyznaniowe nie zaszczyliłyby od samego początku śmiertelnej trucizny—nienawiści religijnej. Tylko ruiny są już teraz widoczne tam, gdzie powstawały instytucje narodowe z czystych chęci i zamiarów. Niech tylko pominięte będzie jedno wyznanie, niech jedna kwestja będzie omówiona z punktu czysto naukowego i rozumowego, nie zaś podług interesów klasowych lub wyznaniowych; jestem przekonany, że tam do porozumienia nie dojdzie. Ten nikły ciężar miłości ojczyściej, to wzniosłe uczucie, panuje w tak niewielu sercach, iż nie zdołało wytworzyć pięknej harmonji narodowej, a to skutkiem dysonan-

sów takich, jak: nędzny egoizm, żądza zysku, małoduszność, bojaźliwość, przesady podsunęte przez rodową pychę. A przecież zjednoczenie i zgoda zdolne są przełamać wszystkie moce złowrogie, wyczarować wielkie cnoty i siły. Cudzoziemiec, który zwiedza nasz kraj i obserwuje życie na Węgrzech, przysłuchuje się językowi naszemu, nie przypuszcza nawet, że gdyby pojechał o 3—4 wiorsty dalej i gdyby chciał przemówić ojczyzną mową do mieszkańców, to musiałby znać ze trzy-cztery języki. Tak oto pokrajany jest naród węgierski, a właściwie lud, na 24 najzupełniej odrębnych części, które znów dzielą się na 52 osobne okręgi, t. j. na sztucznie stworzone komitaty.

Te komitaty, a właściwie ich przedstawiciele uratowali ojczyznę węgierską od zaniku i zniszczenia, tak, jak pewniejsze są pojedyncze kopy siana podczas burzy, gdyż piorun w jedną tylko uderza, a inne pozostają nieknięte. Jednakże to *palladium* niepodległości ma jedną stronę ujemną, jak zresztą wszystko na świecie, nawet rzeczy najpiękniejsze; podział ten, wywołując jak najpowolniejszy obieg krwi, pozostawia po sobie piętno śmierci. I tak nie myśli Vas o Abaju—najbliższy kłopot Kecskemetu jest ważniejszy dla niego, niż byłaby wieść, że Löese zapadło się pod ziemię; co obchodzi Csalok, że Mosony zalewa Dunaj; wody Tolny burzą Peszt; Győr zajął Hausagowi tamę wodną; i tego rodzaju swary w kraju widzimy ciągle, i dzieli się ten niewielki zresztą kraj, na 52 maleńkie królestwa, a chociaż na wielkiej scenie świata zaledwie jest to widoczne, jednakże rozłam ten rośnie wciąż, aż wreszcie mógłby wejść na rozdroże, a wtedy stać się może tak, jak w znanej powieści o statku, którym każdy z majtków kierował wedle własnego rozumu i gdy statek zapędzony pomiędzy skały rozbił się, wtedy dopiero ludzie pośpieszyli na ratunek i każdy czerpał i wylewał zalewającą ich wodę, aż dopiero gorzka fala połączyła ich na wieki.

(Zofja Nanassy-Grużewska)

Greguss August

(1825—1882)

O estetyce

Kto się przygotowuje do jakiegokolwiek wykładu, najczęściej rozpoczyna od tego, iż stara się uwypuklić użyteczność danego przedmiotu; zwyczaj ten przechowujemy zwłaszcza my Węgrzy, ponieważ lubimy uchodzić za naród trzeźwy. Podług zwyczaju tego powinienbym naprzód rozpatrzyć użyteczność estetyki.

Gdyby w naszym kraju panowało życie artystyczne; zwłaszcza w naszej stolicy, gdybyśmy mogli widzieć dokoła siebie śliczne wspaniałe dzieła sztuki; gdyby zaspakajanie poczucia artystycznego u naszej publiczności zaliczone było do potrzeb codziennych, a w wyrobach codziennego użytku widoczne było piętno sztuki: wtedy byłoby zupełnie zbytecznem tłumaczyć użyteczność zrozumiałego już artyzmu. Lecz zmuszeni jesteśmy stwierdzić ten smutny fakt, iż artyści, wliczając w to poetów i mistrzów pióra, wogóle są u nas odosobnieni, zapoznani w całym tego słowa znaczeniu, żyją wprost na łaskawym chlebie tak, że zaledwie gdzieśgdzie zieleni się jakiś ładniejszy ogród wśród brudów i pustek Budapesztu, a pomiędzy domami czynszowemi rzadko się znajdzie jakiś gmach zwracający uwagę, rzadko który plac zdobią jakieś średniej wartości pomniki lub wodotryski. Wiadomo, że najuboższem w dzieła sztuki jest nasze własne muzeum narodowe; że wystawa obrazów Esterhazy'ego jest u nas jedynym cenniejszym zbiorem; że mamy u siebie niezliczone środowiska, które nie troska się o sztukę nawet w interesie narodu i że potrzeba było całej potęgi rozumu i stanowiska takiego Eötvösa, pomocy artystów, sprowadzania arcydzieł malarskich, wreszcie otwarcia akademii sztuki; trzeba było tak energicznych faktów, aby i u nas stworzyć pewien pociąg do piękna, gdyż, powiedzmy szczerze, postawa kraju obojętna i bierna w tym względzie wprost godzi na życie estetyki, tej Minerwy sztuki, która musi użyć samoobrony, gdy występuje i' miejsca się domaga w najwyższej radzie narodowej. Sama też musi zdobywać sobie medale zasługi, gdyż inni o niej zapomnieli.

Sztuka jest źródłem największej rozkoszy. Historia wspomina o narodzie, który życie swoje przepędził na rozkoszowaniu się pię-

knem. Ideałem jego była doskonałość ciała ludzkiego, całe wychowanie społeczeństwa skierowane było ku temu, aby młode pokolenie było jak najbardziej zahartowane, jak najmocniejsze, jak najbardziej giętkie i zręczne, jak napiękniesze, i piękno to widzimy dzisiaj jeszcze w tysiącach pomników, które po tym narodzie pozostały. Starożytni Grecy i dzisiaj jeszcze są naszymi mistrzami w sztuce, i jeżeli na ich przykładach kształcić będziemy swe poczucie artystyczne, stworzymy życie pełne rozkoszy.

A czyż w czasach obecnych pełnych bólu i rozdwojenia duchowego nie jest to tem bardziej pożądane?

„Niedoskonałości bytu człowieka są okuwane łańcuchem bez końca“ — powiedział jeden z pisarzy ojczystych — przeciwność nie do przezwyciężenia, walka z namiętnościami; zagadki, które nas niepokoją bez przerwy pod wpływem walki o byt; słowem całe długie męczarnie tragedii ludzkiej — ujawnia się jedynie w formie sztuki. Ta potęga ukryta w złudnym lecz doskonałym obrazie, unosi dusze nasze w czystą atmosferę, nakłada węzły nieokiełzanej woli i pod jej wpływem koito bolesne samopoczucie.

Rozkosz artystyczna jest najszlachetniejszym narkotykiem i przez swoje właściwości łagodzące, uspakajające i rozgrzeszające równa się dobroczynnym wpływom wiary.

Kucharz, fabrykant win, fabrykant cygar, baletmistrz nie mają potrzeby zachwalać swojego rzemiosła: gdyż doświadczony Węgier rozumie korzyść, jaka wypływa bezpośrednio z przyjemności, jakich mu oni dostarczają; chociaż bez smacznych potraw, dymu cygar, wina i tańca żyć możemy. Ale ten sam doświadczony Węgier, nie znając rozkoszy artystycznej i, co za tem idzie, nie tęskniąc za nią, *ignoti nulla cupido*, z ironją każe się legitymować estetyce, powołanej by nas przygotować do rozkoszy najwyższej i najczystszej: najwyższej, ponieważ uczucie szczęścia, które ogarnia nasze dusze na widok piękna, przewyższa wszelkie inne rozkosze, a najczystszej, gdyż radość ta usuwa tysiące mrocznych uczuć, i dlatego to rozkosz artystyczną może-

my nazwać raczej uczuciem oczyszczającym, niż upajającym!

Sztuka uszlachetnia nasze uczucia, nasze myśli i naszą moralność. *Emollit mores, nec sinit esse feros.*

Nie jest wyrazem logiki, a jednakże prowadzi nas na drogę prawdy, odczuwając niemożliwość i przewrotność, jako wytwór szpetoty; nie głosi dziesięciu przykazań, a pomimo to jest — przykładnym wychowawcą, gdyż od złego odstręcza jako od brzydoty, a cnotę ukochała w myśl życzeń Platona, jako piękno najwyższe.

Wychowawczy wpływ sztuki zwłaszcza w życiu narodowym uznaje nawet i Węgier, o ile to dotyczy kilku nazwisk w muzyce, teatrze, poezji, pomimo iż muzykę cenią właściwie tylko jako akompaniament do sławnego „płacząc weseli się Węgier“ (*sirva vigada Magyar*), a dwie inne sztuki uważa, jako apostolstwo języka.

Tymczasem literatura już dwa razy obudziła naród ze śmiertelnego letargu: po raz pierwszy za panowania cesarza Józefa — po raz wtóry podczas tak zwanego okresu Bana. Jak się przedstawia wdzięczność narodu?

„Popierają“ literaturę i popierają ją o tyle, aby z głodu nie umarła, popierają tak, jak się z łaski popiera jakąś biedną sierotkę, ale niewielu jest takich, dla których konieczną potrzebę stanowi towarzystwo poetów tak, jak dla Aleksandra Wielkiego, który podczas swoich wypraw nie rozstawał się z *Iliadą*. Mało jest takich, którzyby widzieli w naszych poetach przyszłość narodu i jeszcze mniej takich, którzyby podobne uczucia żywili wogóle dla sztuki, zwłaszcza dla muzyków, a specjalnie już dla sztuk plastycznych.

Nie wiedzą, że tak samo kamień i płótno wzniecają płomień samopoczucia narodowego, jak drukowane lub mówione słowo. Francuza przywiązuje do ojczyzny coraz ściślej sznury węzłami widok tysięcy obrazów i rzeźb, umieszczonych w salach pałacu Wersalskiego, między którymi spotyka wybitne jednostki swego narodu.

Sztuka jest więc jednym z najskuteczniejszych czynników wzmaganie się miłości ojczyzny i najbardziej stronnicy patriota nie zaprotestuje chyba, gdy głosić będziemy użyteczność jej narówni z estetyką, która prowadzi nas do dokładnego zrozumienia sztuki.

(Zofja Nanassy-Grużewska)

Toldy Ferencz

(1805—1875).

O literaturze węgierskiej XIX wieku

Szczęśliwe *omen* otwiera jutrznię w XIX-go na niebie literatury węgierskiej. Aleksander Kisfaludy, opuściwszy służbę wojskową, poświęcił się całkowicie pracy literackiej. I w roku 1801 najszlachetniejszym płodem swojej płomiennej młodości, poematem „Miłość Himfy’ego“ — rozpoczął literaturę nowego stulecia. Równocześnie Franciszek Kazinczy uwolniony z długiego więzienia, mógł nanowo wystąpić na arenie literackiej. Kierowany światłem pięknych ideałów, jał reformować to, co domagało się reformy. W sprawie tych wielkich przemian, rozpoczął korespondencję i w roku 1808, wygłosił słynną mowę programową, w której uznał za rzecz przedewszystkiem ważną przekład arcydzieł literatury obcej na język narodowy, co podniosło by wówczas poziom artystyczny prozy węgierskiej. W artykułach naukowych, szczęśliwie przeprowadził walkę o odnowienie języka węgierskiego i roz-

ważał organizm tego okresu literatury i poezji, który służył jako wzór kanoniczny *nowej szkole*.

Tworzono też podług tych wzorów, częściowo zgodnie z formą staroklasyków. Zwłaszcza Berzsényi doprowadził odę do doskonałości; inni zastąpili w innych rodzajach lirycznych; przykładem jest tu Vitkovics i Szentmiklosy, później Karol Kisfaludy i Vörösmarty, wreszcie Székacs. Stworzyli oni w poezji naszej okres najpiękniejszy. W sztuce epistolarnej było więcej naśladowców, lecz celu nie osiągnęli. Inni znowu wzorowali się na liryce uczuciowej narodów nowożytnych; pod tym względem odznaczyli się ściłą techniką Szemere i Kölcsey, Szentmiklosy i Bajza; następnie (choć mniej ściśle już trzymając się form) Józef Szasz, Franciszek Teleki, Judyta Dukui-Takacs i hr. Józef Dessewfy; u niektórych dźwięczy nawet ton pieśni ludowej.

Karol Kisfaludy rozwijał w dalszym ciągu szkołę Kazinczy'ego t. j. ściśle narodową poezję artystyczną, której nadał nowe formy i nowy kierunek. I usuwając na bok zasady starych klasyków, wzywał do tworzenia i odtworzenia zgodnego z pojęciem i odczuciem ducha współczesno - narodowego. Specjalnie przykładał wagę do liryki i poezji rzeczowej. I sam wskazując na historję narodu, podania, życie społeczne w tym względzie, układa tragedję oraz komedję węgierską, stwarza balladę, powieść i nowelę, pierwiastek ludowy umieszcza w liryce i tym sposobem zapełnia lukę pomiędzy poezją klasyczną a życiem.

I wraz z Michałem Vörösmarty'm, z którym dzieli wkrótce wywalczone przodownictwo w nowej poezji, chwytą każdy moment życia społecznego i narodowego, wzoruje się na klasycznym eposie narodowym; zanim pisać zaczęli Andrzej Horwat, Szekely, Czuczor, i wielu innych, on ich uprzedza i podnosi poezję liryczną na najwyższe wyżyny, jakie u nas osiągnięto.

I teraz poezja, która zaczęła już słabnąć

w rękach epigonów, nabrała nowego rozpędu; w gronie poetów narodowych powstała nowa szkoła ludowa, której dwaj najwięksi przedstawiciele, Aleksander Petöfi w liryce dyszącej ogniem i pierwotwórczą potęgą, Jan Arany zaś w eposie naiwnym większych lub mniejszych rozmiarów, wycisnęli pieczęć doskonałości. Tymczasem ich poprzednicy i współcześnicy prowadzili pomyślnie rozwój poezji dramatycznej od czasu powstania teatru narodowego (1837).

Wreszcie po rewolucji znów zmartwychwstała poezja, która była dalszym ciągiem twórczości okresu poprzedniego; mogła się w końcu teraz dzięki rozwojowi życia politycznego i wolnej myśli wyzwolić całkowicie z ciasnego koła zacofania. Szczęśliwe wyrównanie się życia realnego z ideałami sztuki, przekład coraz większej ilości arcydzieł literatury powszechnej, rozszerzający się światopogląd w narodzie — coraz bardziej usuwa ograniczenia dotychczasowe, a w treści i formie coraz bardziej podnosi poziom oświecenia i sztuki.

(Zofja Nanassy-Grużewska)

Tompa Mihaly

(1816—1868)

Do Bociana

Złagodniało powietrze, cisza na błękanie.
Zza mórz wróciłeś, dobry ptaku nasz, bocianie!
Poprawiasz stare gniazdo na domostwa szczycie,
By puchem swojej dziatwie zgotować posłanie.
Wróć, skąd przybyłeś. Wierzaj, że cię okłamało
Słońce ułudne, poszmer fałszywy strumieni:
Leć — tu niema już wiosny. Tu złodowaciało
Wszystko — ach, tu w mogiłę wszystko się wnet zmieni.
Nie idź na łąkę, bo to jedno cmentarzysko;
Nie idź na staw — przesiąkły od krwi jego wody —
Gdzie znajdziesz na wieżycach dla dzieci siedlisko,
Gdy wszędzie pod stopami masz zwęglone kłody?
Opuść lepiej mą chatę; krwawa na niej strzecha.
Lecz którą wybrać? — Gdzież to, gniazdo wijąc sobie,
Ty nie usłyszysz pod niem łkań bolesnych echa?
Gdzie nie zobaczysz ludzi w smutku i żałobie?
Wróć — tam cię czeka widok wysp tęczowych żyzny.
Szczęśliwszy od nas, plaku! Nad wodami Nili
Przeznaczenie w swej łasce dałoć dwie ojczyzny —
My mieli tylko jedną — i tę my stracili! —
Leć — i gdy na południu, gdzie słońce łśni skwarne,
Gdziebądź ci się wygnańców trafi ciżba nasza,

Mów im: wszystko przepadło, zginęło na marne,
I, jak snop rozwiązany, naród się rozprasza.

Mów im, że niejednego pożarła mogiła,
A ci, co ich przeżyli, błędzą wokół niemi;
Niektórych poza morza w świat rozpacz wysyła,
I nowej gdzieś ojczyzny szukają na ziemi.

Mów im też, choć to hańbą rumieni nam czoło —
Nie dość, że dąb zwalono, ale jad robaka
Zalągł się i w zwalonym — wszystko toczy wkoło:
Ha, zdrajcą bywa dzisiaj rodak dla rodaka!

Ojciec wydaje syna, brat wydaje brata —
Lecz lepiej zamilcz o tem robactwie przeklętym,
By ci, co zdała płaczą ojczystego świata,
Nie patrzyli nań teraz ze zgrozą i wstrętem.

(A. L.)

Gyulay Pál

(1826—1901)

1. Pan porucznik

— „Mój poruczniku, mój poruczniku!”
— „Co powiesz mi, sierżancie... smyku?...”
— „Krew, poruczniku, na dolmanie.”
— „To tylko z nosa krew, kochanie!...”
— „Mój poruczniku, mój poruczniku!
Staniasz się!...” — „Cicho! Nie rób krzyku.
Ostry mi kamień zranił nogę...
Półzwrot na prawo... dalej — w drogę...”
Sierżant pochwycił go w ramiona,
Widząc, że z krwi upływu kona.
— „Mój poruczniku, mój poruczniku!”
— „Naprzód, mój chłopcze... Naprzód, smyku!”

2. Na granicy Siedmiogrodu

Małeńka, zniszczona wioska,
Wtulona w skłon błękitnych gór ---
...I rozśpiewanych ptaków chór —
Miłości pieśń beztronna.
Zaczyna krwawić stara blizna,
Choć oczy cieszy widok wzgórz —
To mój Siedmiogród, Siedmiogród już —
Nieszczęsna droga Ojczyzna.
I ległem twarzą w drożnym pyle,
Łkając, jak dziecko u jej stóp,
Co, odnalazłszy matki grób,
Wie, że nie wydrze jej mogile.

3. Wieczór jesienny

Już pola ubieliły szrony.
Opada liść — powiędły dawno kwiaty.
Smutny i krótki dzień przy nocy nieskoń-
[czonej.
Wesoło-li we wnętrzu mej komnaty.
— Zbliźcie się do mnie, drogie dzieci,
Tu, do kominka!... Jak radosna
Pusta wesołość z ocz wam świeci...
Tam jesień... W waszych duszach wiosna.
W waszych—nie w mojej! W mojej—smutno.
Ojciec wasz patrzy w mgłą spowite
Widma przeszłości, w dal okrutną —
W oczach zastygły łyzy ukryte.
Kto może wiedzieć, co was czeka?
Dziecię bez matki — podwójny sierota.
Dziś od was życia bój na szczęście jest zda-
[leka,
Lecz szczęście krótko trwa, a długo trwa zgry-
[zota.
Ach, gdyby matka wasza jeszcze żyła!
...Lecz dość! Sieroty me — igraszki wznów-
[cie płocze.
Zbyt mali wy, by wiedzieć, czem ta strata
[była,
A tylko przy was ja zapomnieć mogę trochę.
(Marjan Tatarkiewicz)

4. Na wyspie św. Małgorzaty

Dzień letni gaśnie, listowie chwiejne drzewa
Przez okno do ciemnego mi kłania się pokoju,
Oplata cieniem rzeźwym mą głowę, pełną
[znoju,

I pyta szeptem niemym: Jakże chorego zdro-
[wie?
O, lepiej, lepiej znacznie, nie szarpie ból już,
[nie, —
Już mogę drzemać zwolna, — więc marzę tak
[w półśnie.
Jak ślicznie musi być na dworze! Nieba toń,
Zielona darń i wszędy kwiatów woń,
Potoki w perłach ros i rozszemrany gaj:
Kalipsy musiał taki być cudny ogród-raj.
Choć nie oglądam tego, lecz słyszę, jak od-
[świętnem
Za oknem tam pulsuje życie tętnem:
Wyraźnie chwytam, jak tam rozmawiają,
Jak tu i tam się przechadzają —
Dziewczęta, młodzież, wszędy uciecha, śmiechy,
[gwar, —
Nie dla mnie ta wesołość: mym działał ból
[i żar.
Kto wie, jak długo jeszcze zatrzyma mnie
[to łże, —
Dziś ciężko chory, — jutro umarły może...

Słowika luby dźwięczy klask —
W sercu wspomnienia wstaje brzask —
Uroczych dni, co dawno zbiegły już,
Przez duszę ciągnie pas zarysem bladych zórz,
Cierpienie już umarłe, miłości czar i nęt, —
Dziś reszta woni z nich i zeschniętych liści szcztę.
Dzieci bawiących się dochodzą mnie też
[wrzawy, —
O, jak bez troski tam hasają wśród murawy!
Dziateczki moje! Byłem i ja tak niegdyś mały!
Igrałem tak swobodnie, — wśród dni mych ja-
[snej chwały.
Mateczka żyła jeszcze... Mrok
Zapada — idzie noc. O, smutny będzie wzrok
Od fali cichej łez. — Wiatrowe szumy,
Szmer liści, i gowory wód, pełne tak zadumy,
Parowca pohuk głuchy, potoków brzmienia
[szklane,
Muzyki gdzieś dalekiej podzwieki oderwane,
Kołyszą mnie, jak niańki nad dzieckiem baju-
[baj:
Nabrzmiała, chora głowa zapada w senny kraj
(Józef Jankowski)

Kossuth Lajos

(1800 — 1892)

Odezwa do żołnierzy węgierskich, Konsystujących w Galicji w r. 1863

Junacy! Bohaterscy Polacy, walcząc o swój
byt narodowy, stają wobec narodów uciśnio-
nych, jako przykład serca podnoszący.

Cierpienia ich przepełniają współczuciem
każdą pierś czującą: poświęceniem tętniący
ich patriotyzm nakazuje cześć, bohaterstwo
ich wywołuje podziw.

W najdalszych okolicach świata codzien-
nie żarliwe modły z ust miliona ludzi unoszą
się do Boga, aby zwycięstwem pobłogosławił
sprawiedliwy oręż Polaków i zwrócił im ich
miejsce w rządzie wolnych i niepodległych
narodów, czego ich pozbawiła przemoc uzur-
patorów.

Jeżeli dalekie ludy takim współczuciem
darzą walkę polską o wolność, jakże mogli-
byście wy, wojacy węgierscy, pozostawać
w chłodnej obojętności względem cierpień, po-
święceń i męstwa, których bezpośrednimi je-
ścieście świadkami?

Wszak jesteście Węgrzy, a Węgier nienawi-
dzi ucisku, w sercu Węgry żyje nieugaszona,
święta miłość wolności.

Jesteście żołnierzami, a bohater ma cześć
dla bohatera.

Do serc zaś bohatera węgierskiego sprawa
polska innemi jeszcze, potężnemi motywami
przemawia z przeszłości, teraźniejszości i przy-
szłości.

Szczęk broni, który tu do was z poza gra-
nicy przenika, niepodobna, aby w duszach
waszych nie budził wspomnień wojny węg-
ierskiej o wolność, którą czternaście lat temu
pod moim rządem z takim bohaterstwem na-
ród nasz prowadził.

Niepodobna, abyście nie wspominali
z wdzięcznością, jak w świętych bojach za
naszą ojczyznę i polską krew płynęła; że na
polach naszych krwawych zwycięstw, pospołu
z popiołami honwedów węgierskich spoczy-
wają w świętej naszej ziemi zmieszane z nie-
mi popioły poległych za nas bohaterów pol-
skich.

Niepodobna, aby odgłos walki, wrzącej
w sąsiedztwie nie przywodził wam na myśl,
że Polacy obecnie i za nas powstają do zem-

sty, puszczając się w zapasy na śmierć i życie przeciwko tej właśnie potędze, która w roku 1849 bezbożnem wtrąceniem się swoim wydarła z rąk naszych owoce krwawych naszych zwycięstw, wolność naszej ojczyzny, którą waleczny oręż węgierski już był naówczas zdobył.

I gdy, zgębiony oplakany uciskiem, w jakim nasza ojczyzna obecnie pozostaje, wspominał tamte czasy, a w waszych bohaterskich sercach wyczuwam silną wolę ku temu, aby ojczyzna nasza nie jęczała wiecznie pod jarzmem niemieckiem — i jeśli szlachetną tę wolę popiera wiara i nadzieja w to, że musi nadejść dzień, kiedy na posępnej niebie ojczyzny naszej znów słońce wolności zaświeci, — to niepodobna, junacy, abyście nie czuli, że nas, Węgrów, wiąże z Polakami nie tylko moralny obowiązek wdzięczności, ale zarazem i jak najżywsza wspólność interesów narodowych.

Są oni dla nas nie tylko sąsiadami: są to nasi przyjaciele, nasi bracia, z których losem nasza własna przyszłość i wszystkie nasze interesy stoją w najściślejszym związku. Jeżeli oni zdobędą wolność — ich wolność posłuży za punkt wyjścia dla naszej wolności. Jeżeli oni zwycięsko wyjdą z niepewnych warunków wojny — obca interwencja nie zdoła się już wcisnąć pomiędzy nas a tych, którzy wiarołomnie depczą nasze tysiącletnie prawa, gdy kiedykolwiek z szablą w ręku zażądamy od nich porachunku za grabież wolności naszej ojczyzny. Gdyby zaś czcigodne wysiłki Polaków zostały udaremnione, wrogi ideałom swobody wpływy despotyzmu moskiewskiego całą siłą swego ciężaru ugruntowałyby się w swej mocy i Austria uszlaby grożącego jej niebezpieczeństwa, jakim odbudowanie wolności Polski grozi chciwym władzy mocarstwu, uciskającym ludy: — wówczas i nasze nadzieje patriotyczne na nieokreślony czas poszłyby z dymem, a obce jarzmo znów z całą pewnością bezkarności zaciężyłoby nad naszą cierpiącą ojczyzną.

Może się trafić, że wichura bojowa, rozpetana w waszym sąsiedztwie, z dziś na jutro taki przybierze obrót, jaki nas, Węgrów — o ile nie zechcemy nikczemnie zrezygnować z wolności naszej ojczyzny — do tak wielkich powoła postanowień, po jakie sięgać dotychczas jeszcze nie mieliśmy sposobności.

Wierny obowiązкови, który tytułem zaufania narodu na mnie spoczywa, o to się troszczę, aby taki obrót spraw nie zastał was nieprzygotowanymi.

Tymczasem jednak przemawiam do was, junacy, tylko w imię sprawiedliwości i braterstwa: idźcie za szlachetnym odruchem współczucia, wrodzonym każdej uczciwej, wolności miłującej piersi Węgry, a który niechaj się zwróci ku Polakom, walczącym na śmierć i życie o słuszość i wolność.

Miejcie wciąż to na oku, że są to nasi bracia, których interesy są do naszych podobne. Zachowanie się wasze względem nich niechaj zawsze kierowane będzie uczuciem braterstwa.

Nie dajcie im powodów do skarg, że zamiast przyjaciół — nawet i w was mają wrogów. Strzeżcie się pogłębiać im przeszkody, powiększać ilość trudności; raczej ułatwajcie im wszystko i wszędzie, gdzie się tylko da. Pamiętajcie zawsze o tej wzniosłej dewizie miłości bliźniego: „Czyni innym tak, jakbyś pragnął, aby inni tobie czynili“. Dzisiaj oni potrzebują waszej życzliwości — jutro my możemy ich życzliwości potrzebować. Zachowajcie dla imienia Węgrów prawo do tego, byście mogli kiedyś sięgnąć po pomoc z podniesionem czołem, ponieważ napisano jest, że taką miarką będzie wam odmierzona, jaką mierzyliście sami.

Idąc za moim wskazaniem, będziecie nie tylko wiernymi stróżami honoru węgierskiego przed Bogiem i światem, junacy, lecz także utorujecie drogę ojczyźnie naszej ku temu świętemu celowi, ku wyzwoleniu, do którego żarliwie wzdycha każde wierne serce węgierskie.

Przyjmijcie odemnie przyjacielski uścisk dłoni i błogostawieństwo moje, mili rodacy, dzielni towarzysze niedoli. Liczcie na mnie tak, jak ja liczę na was w sprawie naszej ojczyzny i wolności.

Pisałem w Turynie, we Włoszech, 20 lipca 1863 r.

LUDWIK KOSSUTH
z wyboru narodu gubernator Węgier
1849 roku.

(Bolesława Jaroszewska)

Deák Ferencz

(1803—1876)

Mowa w parlamencie węgierskim, wypowiedziana w r. 1833

„Narody powstają, narody upadają” — te słowa wyrzekł poseł Esztergomu; nie sędzę jednak, aby je podawał za nowość, albowiem roczniki historii pouczają nas obszernie, że gdy jeden naród się wznosi — inny podupada. Historia świata jednak bynajmniej nas nie poucza, abyśmy zimno i bez protestu patrzyli na zmagania się nad przepaścią w ostatecznem niebezpieczeństwie walczącego narodu bez służenia mu wszelką, możliwą z naszej strony pomocą. Bo wszakże i każdy pojedynczy człowiek także może się zachwiać i ginać; obowiązkiem naszym jest jednak człowiekowi, któremu coś grozi, albo który popadł w nędzę, w miarę możliwości naszej śpieszyć na ratunek. Nie będę tu roztrząsał historii Polski ubiegłych stuleci: musiałbym wyliczyć wiele ciężkich ciosów, jakie ten naród dotknęły. Nie będę też wyliczał jawnych i tajnych przyczyn rozrabowania tego kraju, ani będę brał pod uwagę konsekwencji, jakie stąd wynikły. Sam czas nauczyci kiedys Europę, czy pożyteczną i dobrze obmyślaną było rzeczą, że się tak stało. Ale pierś naszą przenika gorzkie uczucie bólu i przerażenia na widok, że naród polski, który w w. XVI był uznawany za najpotężniejsze państwo Północy, dziś jest przemocą zupełnie wykreślony z szeregu narodów. Straszna prawda stało się to, co mu niegdyś ze łzami przepowiedział Jan Kazimierz; bo zdeptana jest tak wielka ongi potęga tego narodu, zburzone leżą w gruzach wspomnienia jego swobód, a na przepojonych krwią polską wybrzeżach Wisły nie wolno dziś płonąć polskim ogniskom. Ból nasz potęguje jeszcze to uczucie, że oprócz żalu i wstawiennictwa niczem innem nie jesteśmy w stanie służyć uciśnionym, bo i nas także uciska od wieków dłoń nieubłaganej, złej doli, tak, że już teraz nie możemy uczynić dla naszych nieszczęśliwych sąsiadów tego, co uczynili Węgrzy w r. 1278 dla Rudolfa Habsburga przeciw potężnemu Otokarowi.

Aliści nędzarzowi, zdeptanemu aż do niewolnictwa, już i to się wydaje słodkiem ukonjeniem, jeżeli wśród powodzi goryczy ujrzy łzę gorącego współczucia i usłyszcy głos błagalny, wznoszony za nim przez tego, który więcej nic dla niego uczynić nie może, nawet choćby błaganie bez skutku się odbijało o lodowatą

pierś ciemieży. Podajmyż im więc choć tę drobną ulgę: ale podajmy im ją zaraz, bez zwłoki. Bo czyżbyśmy łzy współczucia i kilku godzin pracy, potrzebnych do napisania odezwy, pożalować mieli dla tych, których praojcowie krwi swojej i życia nie żalowali dla nas? Potężny władca Macedonji, Aleksander Wielki, Europę i Azję wstrząsnął zwycięstwami swojemi, świat cały zapełnił swoją chwałą i zwać się kazał synem Jowisza Ammona: aliści tylko podziw wzbudza u potomności, nie zaś szacunek, gdyż swobody Grecji, które już ojciec jego ograniczył, doszczętnie zniszczył. Szczęśliwy cesarz rzymski, Oktawjan, mądrze sterował państwem, był opiekunem nauk, naród nazwał go Augustem: lecz wdzięczność nie towarzyszy jego pamięci, on bowiem zdusił ostatecznie, w płomień rozbudzające się iskry swobód rzymskich. Car rosyjski, Aleksander, po świetnych triumfach orężnych, nadał Polakom instytucję obywatelską; zjednało mu to więcej chwały, więcej gorącej wdzięczności, niż najkrwawsze zwycięstwa na polach bitew. Cóż, kiedy następnie chwalebne to dzieło własną ręką jął niszczyć i, tyle dobrego obiecujący świetny dar — oto obecnie już zupełnie jest zburzony. Skoalizowani monarchowie, stając do ostatecznej zwycięskiej walki z olbrzymią potęgą Napoleona, głosili przed światem, iż walczą za wolność Europy. Gdy zaś szczęśliwym zwrotem fortuny złamana została straszliwa siła ich przeciwnika — przybrali nazwę oswobodzicieli Europy. Każdy żołnierz austriacki, który brał udział w krwawej rozprawie pod Lipskiem, nosi na piersi list żelazny wspaniałych przyrzeczeń koalicji, krzyżyk metalowy z napisem: „Europa libertati asserta”. Te trzy wyrazy budziły w łonie narodów piękne nadzieje: spiżowe litery tej drobnej, pełnej znaczenia pamiętki, milcząco, lecz potężnie ryły w pamięć — świętość słowa monarszego. Gdy więc nawet niemy symbol tak wyraźnie przemawia do nas, którzy słodkiego owocu swobodnej konstytucji, spokojnie używamy, może wolno nam będzie wnieść usilną prośbę o wypełnienie wspaniałej tej zapowiedzi co do odbudowania uciśnionych swobód obywatelskich i u zdeptanych sąsiadów naszych, tak, żeby i oni mogli być szczęśliwi: prawdziwe bowiem i trwałe szczęście nie istnieje bez wolności.

(Bolesława Jaroszewska).

Madach Imre

(1823—1864)

Tragedja Człowieka

W 15-stu scenach wystawia autor wiekulstą pogoń człowieka za ideałem i wiekulste jego nieosiągnięcie, oraz wynikające stąd rozczarowanie — Jak w Goethego Faustcie, tak tu w I Scenie Lucyfer z Bogiem rozprawia i Bóg mu pozwala kusić Adama, aby ten rozwijał w sobie wyższość.

Bohaterem sztuki jest Adam, który w coraz to nowej postaci, w różnych krajach i w różnych epokach — występuje jako ten poszukiwacz ideału, który w końcu się załamuje.

W Scenie II Adam z Ewą w Raju; Lucyfer ich kusi, aby zerwali owoc zakazany. Filozoficznie odtworzona scena biblijna.

W Sc. III Wygnanie z Raju. Lucyfer w dalszym ciągu obiecuje Ad. wszechwiedzę. Adam chce skończyć samobójstwem, gdy Ewa go zawiadamia, że zostaje matką. To powstrzymuje Adama, ale żąda wiedzy go pali. Uspia — i Lucyfer ukazuje mu przyszłość.

W Sc. IV Egipt. Adam jest faraonem, Ewa — żoną niewolnika, którego zabił dozorca, a potem żoną faraona. Od niej się dowiaduje Adam o cierpieniach ludu. Chciałby im zaradzić, ale nie umie. Lucyfer jest ministrem.

Scena V. Ateny. Czas wojen perskich. Adam — Milcjades; Ewa — jego żona. Lucyfer — żołnierz, siejący trwogę wieściami o klęskach. Milcjades wbrew rozkazom idzie przeciw Persom; zwycięża, lecz jest osądzony na śmierć za brak posłuchu.

Scena VI. Rzym w czasie upadku. Adam — Sergiolus, młody zepsuty Rzymianin; Ewa — Julja, dziewczyna rozpustna; Lucyfer — Milton, jeden z młodzieży. Igrzyska: — występują gladiatorzy, potem chrześcijanie. Krew się leje. Adam wpada w zamyślenie — zjawia się św. Piotr. Również Julja nawrócona.

Scena VII. Konstantynopol. Adam — Tankred; Lucyfer — jego giermek. Adam walczy o Grób Święty, a tymczasem k żywocy oddają się hulankom i rozpucie: prześladowają Ewę — Izaurę, która szuka ocalenia u Tankreda.

Scena VIII. Praga. Adam — Tyho de Brahe, na dworze cesarza Rudolfa dla chleba pracuje jako astrolog i alchemik, choć w te przesady nie wierzy. Żona jego Ewa — jest kobietą lekkomyślną, która domaga się ciągle pieniędzy i licznych ma kochanków. Lucyfer — famulus Adama.

Scena IX. Paryż. Rewolucja. Adam — Danton; Lucyfer — kat. Ewa — naprzd jako markiza, która zostaje ścięta; potem jako dziewczyna z ludu, która się domaga krwi tyranów. Danton zostaje ścięty.

Scena X. Nawrót do Sceny XIII. Znów Adam — Tyho de Brahe rozważa z uczniem niepewność wiedzy.

Scena XI. Londyn. Jarmark za naszych czasów. Scena wyobraża nędzę duchową demokracji. Adam — jako starszy, bogaty człowiek, z towarzyszem swoim Lucyferem. Ewa — młoda dziewczyna, zaręczona z młodym rzemieślnikiem, ulega pokusom starego bogacza i porzuca narzeczonego.

Scena XII. Falanster. W przyszłości. Ironiczny obraz społeczności socjalistycznej, wypranej z wszelkiego uczucia intuicji i fantazji.

Scena XIII. W nieskończoności Adam widzi ziemię zdalą, jako małą gwiazdkę.

Scena XIV. Ziemia zlodowaciała w przededniu swej zagłady. Słońce prawie gaśnie. Na równiku mieszkają Eskimosy. Ewa jest żoną jednego z nich. Nicość — to ostateczny kres walk, które Adam toczył przez tyle stuleci. — Teraz Adam prześnił swoje sny i budzi się, przyczem powraca krajobraz ze Sceny III.

(Scena ostatnia, XV)

Widok, jak w Scenie III. Okolica, poza obrębem Raju, palmowym lasem porośła. Chata sklecona z drzewa. Adam, znowu będący w młodym wieku, wychodzi z chaty, jeszcze snem odurzony i z podziwieniem rozgląda się wokoło. Ewa śpi wewnątrz chaty. Lucyfer stoi na środku sceny. Dzień słonecznie jasny.

ADAM. Straszne widoki! Gdzieżeście zostały?

Tu, wkoło wszystko życiem się uśmiecha,
Wszystko, jak przedtem, świeże i wesołe —
A ja tymczasem serce mam rozdarte.

LUCYFER. Zarozumiałcze! Myślałeś więc może,
Że świat z kolei wyjdzie, że kometa
Kłęski zwiastunem na niebo wypłynie,
Że zadrzy ziemia — bo robak przepada?

ADAM. Czy śniłem tylko, czy teraz śnię

[jeszcze?

I czy snem nie jest byt ziemski wogóle?
Snem, co na chwilę — w martwą ciła bryłę
Życiem wstępuje i wnet z niej uchodzi?
Pocóż mi krótka chwila świadomości,
Bym dziś, drżąc, w grozę spoglądał niebytu?

LUCYFER. Biadasz? Tchórz tylko bez oporu,
[Ignuśnie

Czeka na ciosy, chociażby mógł jeszcze
Tą albo ową przed niemi ująć drogą!
Silny, nie szemrać, unosić się daje
Losu wieczystej fali — sam zaś duma,
Jak się ocalić przed jej wartkim pędem?
Losu dziejami kieruje moc fatum —
Tyś jest narzędzie świeżo naprzód parte.

ADAM. Nie, nie! Ty kłamiesz! Wolną ludzka
[wola.

Jam ją wysłużył trudem i ofiarą.
Bo dla niej przecie wyrzekłem się raj.
Sny moje wielką były mi nauką,
Wiele czczych złudzeń rozwiąły... a inną
Drogą pójść dzisiaj — zależy odemnie.

LUCYFER. Tak, lecz nadzieja oraz zapomnienie
Są z twoim losem nierozłącznie zwarte,
Ono twe rany wygoi — nadzieja
Rzuci zasłony na przepaści głębie,
Ośmieli szczytem: stu ślepych straceńców
Już w nią upadło — ty, od nich szczęśliwszy,
Pierwszy głębinę przesadzisz bez szwanku.

Jako uczony, stwierdziłeś istnienie
Tych osobliwych, pasorzytnych jestestw,
Co we wnętrznościach kota lub krogulca
Żyć mogą tylko, lecz w wnętrznościach my-

[szy

Pierwsze rozwoju stadjum przebyć muszą?
Ni tej, ni drugiej mianowicie myszy
Nie jest sądzono — śmierć znaleźć koniecz-

[nie

W kota pazurach lub szponach krogulca —
A jeśli zręcznie weźmie się do rzeczy,
To ujdzie śmierci — i we własnem gnie-

[ździe,

W sędziwym wieku dokona żywota.
Nieubłagane czuwa jednak prawo
Nad tem, by zawsze w drapieżników szpony
Wpadła ta ilość myszy, jakiej trzeba,
Aby tym nawet jestestwom tak małym
Był ich gatunku zapewnić na długo.
I człowiek także, pojedynczo wzięty,
Związanym nie jest, lecz na ród człowieczy
Pęta włożono. Duch, kędy chce, wieje —
Jak prąd cię niesie—dziś za jedną sprawę,
Jutro za drugą — ofiary stos żąda —
I mieć ją będzie! A później się znajdą
Tacy, co wydrwią sprawę i ofiary.
Kto regestr wie dzie, ten widzi zdumiony,
Jak konsekwentnym jest ten los kapryśny,
Co równym krokiem, w równym wiedzie

[szyku

Wiare, głupotę, zapał, samobójstwo,
Śmierć, zaślubiny, występki i cnotę.

ADAM. Przestań! Myśl nowa w głowie mi za-
[błysła!

Ja tobie nawet, Boże, opór stawię...
Niech los po stokroć powie: „Do tej chwili
Żyć masz koniecznie“ — śmiechem bryzną

[w oczy

I żyć nie będę, gdy żyć nie mam chęci!
Czyż nie sam jestem? sam na całym świe-

[cie,

Przedemną skała... pod nią głęb bezdenna...
Skok... akt ostatni... i zawołać mogę:
Zegnaj mi, życie! Komedia skończona!

(*Staje na brzegu przepaści. Z chaty wychodzi Ewa.*)

LUCYFER. Myślisz? Dziecinne zaiste gadanie!
Czemże jest chwila? Końcem wprawdzie

[każda,

Lecz i początkiem. Nie wiesz tego jeszcze?
A przecie wieków widziałeś tak wiele.

EWA. Adamie, drogi! Czemu się wykradłeś
Od mego boku? Unikasz mnie... Czemu?
Chłodnym ostatni był twój pocałunek.

Na czole twojem gniew... cierpienie może?
O, ja się boję...

ADAM (*oddalając się nieco od brzegu przepaści*). Czemu śledzisz za mną,

Jakgdybyś kroków moich pilnowała?
Mąż, pan stworzenia, inne ma zadanie
Nad pocałunków i pieszczot zabawę!
Tego zrozumieć nie umie kobieta
I to ciężarem czyni ją mężczyźnie.

(*Nieco łagodniej*)

Czemu choć trochę nie pospałaś dłużej?
Mniej-by mi ciężką zdała się ofiara,
Którą przyszłości złożyć muszę w dani.
EWA. Usłysz, co powiem, a zrozumiesz może:
Wstałam, bo przyszłość, dotychczas wątpli-
Dziś zapewniona. [wa,

ADAM. Jakimże sposobem?

EWA. Wiem, że weselem twarz ci się rozjaśni,
Gdy wieść poszepnę. Ale chodź tu bliżej,
Bliżej, Adamie... Matką jestem, mężu.

ADAM (*pada na kolana*).

Panie, zwalczyłeś! W prochu Ci się korzę.
Walka bez Ciebie, czy przeciwko Tobie —
Zawsze daremną! Podnieś mnie, o Panie,
Podnieś lub zdruzgocz, lecz serce me całe
I dusza Tobie na oścież otwarte.

LUCYFER. Lichy robaku, a gdzież wielkość
[twoja?

Mnieś ja jednemu zawdzięczał.

ADAM. Ach, przestań!
Złudzeniem była, dzisiaj spokój czuję.

LUCYFER. Masz się czem chełpić, ty, głupia
[kobielo.

W Edenie jeszcze w grzechu był poczęty
Syn twój. Przez niego złe na świat ten

[wni]dziej,

I klęski wszelkie zwał się na ziemię.

EWA. Jeśli Bóg zechce, to w łzach i ucisku
Pocznie się inny, który grzechy zgładzi
I wszechbraterstwa wieść świata ogłosi.

LUCYFER. Przeciw mnie stajesz, nędzny nie-
[wolniku?

Wstań z prochu, zwierzę!

(*Potrąca nogą Adama. Roztwierają się niebiosy i ukazuje się Bóg w promieniach jasności, aniołami otoczony*).

BÓG. Duchu, legnij w prochu!
Przed mem obliczem niema tu wielkości.

LUCYFER (*kurcząc się*).

O, jam wyklęty!

BÓG. Podnieś się, Adamie —
Nie trać odwagi. Przebaczam ci winy —
I znowu łaskę przywracam ci swoją.

LUCYFER (*na str.*). Coś mi się zdaje, że się
[tu rozgrywa
Scena rodzinna. Dla serc uczuciowych
Piękne to może, lecz nudą przejmuję
Rozum krytyczny. Najlepiej więc zrobić,
Gdy się wyniosę.

BÓG. Zostań, Lucyferze.

Mam ci rzec słowo. A ty, synu miły,
Mów, jaki smutek serce ci uciska.

ADAM. Straszne mnie, Panie, dręczyły obrazy.

I teraz nie wiem, który z nich był jawą,
A który złudą? Powiedz, co mnie czeka?
Czy tylko krótka na ziemi wędrówka,
W ciasnym zamknięty kole byt doczesny,
W którym się dusza oczyszcza w walk trudzie,
Jak wino, które zburzy się i zmąci;
Ty je wylejesz i w ziemi kurzawę
Wsiąknie bez śladu? A może, o Panie,
Lepsze mej duszy dałeś przeznaczenie?
Może ród ludzki, naprzód idąc ciągle,
Coraz to czystszy, coraz doskonalszy,
Do Twego tronu powoli się zbliży?
Czy twór, na Twoje działał podobieństwo,
Jak oślepiiony koń w młyńskim deptaku
Do śmierci chodząc, nigdy z tego koła,
W którym marnieje, wyrwać się nie zdoła?
Dasz-że zapłatę tym duszom wybranym,
Co krwi nie szczędzą, choć krwi tej przelanej
Motłoch grubiański bezmyślnie urąga?
Panie, rozjaśnij wątpliwości cienie,
A wszystko zniosę, co zesłesz — z wdzięcz-
[nością

I wiem, że zyskam na takiej zamianie,

Bo mięką piekiel niepewności męka.

BÓG. Nie badaj tajni, które przed twym wzro-
[kiem,

Chciwym poznania, skryłem dobrotliwie.

Gdybyś naoczny miał dowód, że dusza

Na ziemi tylko mimochodem gości,

Że ją za grobem wieczne czeka życie,

Jakąż zastęgę miałbyś w cierpliwości?

A gdybyś znowu ujrzał, że ta dusza

Z prochem zrównana, w czemże miałbyś

[bodziec,

Zdolny cię skłonić, byś zaparł się ciała,

Zrzekł się rozkoszy chwili—dla wieczności?

Podczas, gdy teraz, kiedy przyszłość twoja

Za mgły zaledwie niewyraźnie błyska,

A bytu ciężar barki ci przygniata,

To siła wiary w nieśmiertelność duszy

Dźwignią jest tobie. A dumny tą siłą,

Gdy zbyt daleko zapędzisz się w dumie,

To próby życia termin niewiadomy

Wnet hardość twoją ukróci, a cnotę

I ducha polot bronii od upadku.

LUCYFER (*drwiąco*).

O, wschodzisz, widzę, na zaszczytów drogę!

Cnota i wzniosłość przewodniczą tobie.

I one będą cię wiodły do czynu,

Skoro cię szanłem nieuctwa, przesądu

I zabobonu głupiego otoczą?

I któż mi kazał poczynać tak górnie

Z tobą, człowieku, który-ś jest zlepiony

Z błota ziemskiego i z słońca promieni,

Co w wiedzy karłem jesteś, a olbrzymem

Ślepej głupoty.

ADAM.

Nie szydź, Lucyferze!

Jam wiedzy twojej widział gmach wspa-
[niały

I sercu memu za zimno w nim było.

Lecz, Panie, stróżem kto przy mnie stać
[będzie,

Bym z prostej drogi nie zszedł na manowce?

Dłoń, co mię wiodła, usuwasz odemnie,

Gdym zakosztował czczych owoców wie-
[dzy...

BÓG. Ramię masz silne i serce ogniste,

A bezgranicznem jest pole działania,

Lecz o tem później, że masz iść za głosem,

Co, brzmiąc bez przerwy, ostrzega, powściąga,

Albo do czynu popycha i dźwiga.

Ten — drogę wskaże. A jeśli niekiedy,

W życiu twem bujnym i obfitem w czyny—

Wrzawa i zamęt głos nieba zagłusza,

To niezawodnie dosłyszysz go dusza

Od twojej czystsza, brudem samolubstwa

Nie tak skalana — dusza tej kobiety —

I w takt do tętna jej miękkiego serca

Głos ten ci w pieśni zabrzmi i w poezji.

Te zaś przy boku twoim wiernie staną —

I stać tak będą w doli i niedoli —

To uśmiechnięte figlarnie, to tklive —

Jak duch współczucia, jak genjusz łaskawy.

...Ty zaś, co także stanowisz ogniwo

Wielkiej całości, czyń dalej, szatanie —

Przez chłód rozumu, głupotę przeczenia,

Bądź tym zacznem, na którym duch rośnie.

Choć czasem z prostej zwiedzisz ludzkość

[drogi,

Nic to nie szkodzi: wnet znów na nią wstąpi.

Kara zaś twoja końca mieć nie będzie —

Przez wieki wieków tyś widzieć zmuszony,

Że to, co zepsuć chciałeś i zniweczyć,

Ciągłym jest piękna i dobra zarodem!

CHÓR ANIOŁÓW

Co za szczęście, wolną wolą

Cnotę wybrać, grzech ominąć,

Wiedząc przytem, że ci szaniec

Bożej łaski nie da zginać.

To, co dobre, z własną stratą,
W męce, w trudzie spełniaj śmieie,
Za nagrodę bierz świadomość,
Że w cnotliwym służysz dziele.

Kto szlachetny, ten się wstydy
Kalać czyni niegodnemi
I tym wstydem się podźwiga,
Zamiast w błoto spadać ziemi.

Lecz gdyś w górne wstąpił szlaki,
Niech cię próżność nie osłepi —
Bo na chwałę czynisz Pana,
Co od innych czynisz lepiej.

I nie twojem to zadaniem
Dociec bytu tajemnicy —
Dość dla ciebie, gdy Pan przyzna,
Żeś pracownik był winnicy.

EWA. Pieśń tę rozumiem... Pochwalon bądź,
[Panie!

ADAM. Ja ją zgaduję... z czasem pojme
[w pełni,

Lecz słów ostatnich, ach! surowe brzmienie!
BÓG. Toć Pan powiada: walcz i miej nadzieję.

(Teresa Prażmowska)

Jókai Mór

(1825–1904)

1. Biała dama Polski *)

Noc. Ludzie padli na senne łoże
Za pozwoleniem wielkiego cara —
Nie śpi jedynie grobowa mara
I gubernator usnąć nie może.

Nie jeden czuwa, a śpi w połowie
Patryota polski, śniąc w tej godzinie —
O czym? O pięknej, wolnej krainie...

Ach, gubernator niech się nie dowie!
Ciszą się nocna rozszemrza pora —
I słyhać jeno szylwachów kroki,
Co się zatrzymać nie śmia — choć mroki —
Pod oknem izby gubernatora.

Z gubernatora sal się rozlega
Jakaś szalona dysząca mowa:
We mgle się nocnej echo jej snowa —
Aż strachem serce każde zażęga.

„Ha, jakaż w zamek mój weszła dama?
Czyż nie zatrzyma nikt tej kobiety?
Przez drzwi zamknięte — poprzez bagnety,
Na krzyż złożone — weszła tu sama.

Kto ją przepuścił? Wizja szalona!
Szata jej — całun biały cmentarny,
Na piersi wielki krzyż widać czarny,
Krwawa jej głowa w tył przechylona.

Kto ją przepuścił? Czyż jej się lęka
Serce me? Krew z niej płynie posoką.
Utkwiła we mnie ciemne swe oko —
Na mnie wskazuje biała jej ręka.

Czemu tu wchodzisz w moje komnaty
Bez trwogi żadnej? Nie wiesz, kto je-
[stem —

Jam śmierć! W grób jednym strącę cię
[gestem.

Ty szydzisz ze mnie! Ha, zgiń za katy!
Znam cię — kto jesteś, wiem — tyś wcielona
Jest dusza Polski — tyś dama biała —
Którą potrójna dłoń mordowała,
A która żyje choć pogrzebiona.

Znam cię. Tyś mimo wrota i warty
Mych poprzedników w czarne otchłanie
Spędziła! Zjadło trzech obłąkanie;
Teraz ty ku mnie idziesz: jam czwarty.

Ale w mem sercu lęk nie kołata —
Nieustraszony we mnie się pali
Duch silny. Ramię moje ze stali,
A dusza twarda i lodowata.

Przepadnij z oczu mych w tym mo-
[mencie,

Zgiń — jako mara. Ja ci tak każę —
Krzyknę, a wnet się szereg ukaze,
Co cię rozszarpie! Przysięgam święcie.

Służba, na pomoc! Czy tej kobiety
Nikt nie wypędzi? Wpoprzek jej drogi
Stańcie! A wygnąć ją za te progi!
Hej-że, młodce, hej — na bagnety!

Nędzni! Broń wasza jest-że tak biedną,
Że tej nie zdoła zabić podwiki?
Małoż to wasze czyniły sztyki?

Rady nie dacie sobie z tą jedną?
Dajcie mi w rękę broń. Ja ją sam
Zabiję! Mam tu kul dobrych sześć.

*) Rzec niniejsza osnuta jest na legendzie, mało
znanej u nas, a którą Jókai zaczerpnął z opowiadań
emigrantów, albo sam skomponował. Pisane w 1863 r.

Sześć razy umrze. Na cara cześć!
 Raz—dwa—trzy—cztery... Ha, próżno gram!"
 Każdy strzał chociaż w widmo ugodzi —
 To nowa rana, co się zakrwawia,
 To nowa rana, która przemawia:
 Widmo nie znika, widmo podchodzi.
 Padł na kolana blady jak chusta —
 „Litości! Nie patrz na mnie tak krwawo —
 I nie wyciągaj ręki swej, zjawo!
 O, niech przemówią nieme twe usta.
 Mów! Choć przeklinaj! Rzuć we mnie
 [lęki —
 A w piersi miecz mój skieruj mi własny —
 Przebij mnie! Tylko swej białej—jasnej —
 Ty nie wyciągaj już ku mnie ręki.
 O, jakże ciężka — o, jak gorąca —
 Twoja umarła ręka ta biała —
 O, jakże dręczy! O! jakże pała
 Krew, co na głowę tu mi się strąca.
 Litości!" — naraz zamilkł słowa —
 Milczenia nocy nic nie poruszy —
 Szyldwachy bładzą strwożone w duszy —
 W izbach pałacu ciska grobowa.
 Okropny widok ujrzały warty:
 Gubernatora umarłe zwłoki.
 Biała go dama porwała w mroki.
 Trzech było przedtem, a ten był czwarty.
 (A. L.)

2. Zbójcka sprawa

Zdarzyło się w roku bieżącym, 31-go marca, że towarzystwo, złożone z pięciu młodych ludzi z *high life'u* zapołowało sobie na słonki w lasach komitatu V... Wszyscy w kwiecie wieku, życzli z sobą od dziecka, należący do wysokich sfer towarzyskich, — a przytem posiadający skończone kwalifikacje naukowe do wspaniałej kariery na przyszłość.

Należał do nich młody ...y, syn byłego nadzupana komitatu V..., z czasów prowizorium. Nadzupan nie zostawił wielkiego majątku swoim dzieciom: schedę ich stanowiły przeważnie wielkie lasy. Dochody ze sprzedaży drzewa pobierał syn najstarszy i dzielił się z młodszym rodzeństwem. Ów syn najstarszy był właśnie członkiem wyżej wspomnianej grupy myśliwców: resztę towarzystwa nazwijmy: X., Y., Z. i Q.

Pod wieczór X. zaprosił przyjaciół do siebie na kolację, ile że właśnie majątek jego, gdzie mieszkał, znajdował się w pobliżu. Oczywiście żonę powiadomił uprzednio, że sprowadzi gości.

W lesie owym zdarzyło się na wiele lat dawniej, że ojciec pana ...y, kiedy jeszcze był

sędzią naczelnym, zjeżdżając pewnego razu ze zbocza góry, usłyszał krzyki i wołanie o pomoc. Okazało się, iż niedaleko mostu banda rabusiów napadła na wóz z węglem. Sędzia chwycił strzelbę i wypalił między napastników. Jeden z nich padł, ale powstał znów po chwili i pospołu z towarzyszami jął umykać do lasu. Lud z sąsiedniej wioski, kierując się śladami krwi, ruszył na poszukiwanie bandy: aliści tropy przerwały się gdzieś wśród zarośli, i rabusiów nie ujęto. Zato jednak pewien zamożny włościanin z tej okolicy — nigdy już nie wrócił do domu. Wśród ogółu utarło się przekonanie, iż on to był właśnie owym ranionym przez kulę sędziego zbójcą, który, wiadać, wśród gęstwy leśnej wyzionął ducha.

Siedzi sobie zatem nasze grono myśliwców u państwa X-ów za stołem, obficie jedząc i pijąc po całodziennych trudach polowania — gdy naraz z trzaskiem otwierają się główne podwoje stołowej sali i wpada na środek trzech zamaskowanych ludzi z obnażoną bronią.

— Cicho, sza! Ani ruchu! — woła najślusniejszy. — Który z pomiędzy panów jesty? ...y wstaje z miejsca i oznajmia, że on jest nim właśnie.

— Dowiedz się zatem, że my trzej, tu obecni, jesteśmy synami człowieka, którego twój ojciec zabił. Przysięgliśmy pomstę nad synem mordercy. Módl się, bo wybiła ostatnia twoja godzina.

Pan domu stanął przed dyktatorem i jął przekładać:

— Obywatele! Zastanówcie się! Miejcież wzgląd jakiś! Jakżeż tutaj — wobec kobiet?... —

— Masz pan słuszość! — rzecze bandyta. — Nie wypada. Nie tutaj. Marsz na dziedziniec!

Młody ...y usłuchał i w milczeniu wyszedł na dziedziniec.

— Oddaj wszystko, co masz przy sobie! — rozkazał zbójca.

Młodzieniec zdjął z palca pierścień, oddał zegarek; miał w kieszeni dwieście trzydzieści reńskich, otrzymane dnia poprzedniego za sprzedane drzewo; sumę tę, owiniętą w numer „Pesti Naplo“ — także wręczył bandytom.

Dyktator przerachował: „Dwieście trzydzieści reńskich!“

— A teraz — rozbieraj się!

Młody człowiek zdjął kurtkę, kamizelkę.

Tu jednak pan domu nie mógł dłużej w milczeniu patrzeć na tę scenę.

— Stójcie! Nie mogę znieść, aby tutaj, w moich oczach, w obrębie mojego domostwa miał zostać dokonany mord na moim koledze

i towarzyszu! Pomyślcie, obywatele, że i na siebie samych ściągniecie takim czynem niepomierne kłopoty. Trzy komitaty wezmą was w ogień za taką okropną zbrodnię. Karany będzie każdy, kto by wam bodaj kęs chleba podał! I mnie także narazicie na tysiączne przykrości!

— Więc dobrze — odrzekł zbójca po chwili namysłu. — Wykonamy wyrok gdzieindziej. Lecz przysięgnij nam, ty, synu mordercy, że wyjdiesz do nas dziś nocą, o godzinie 12-ej, do studni u skraju stepu G., — i tam się dowiesz, co z tobą uczynimy.

Młodyy przysiągł uroczyście, iż stawi się do ich rozporządzenia o wskazanej porze u stepowej studni.

Bandyci oddali mu pieniądze, zegarek i pierścień, i oddalili się, wołając szyderczo: „do zobaczenia!”

Towarzystwo wróciło do przerwanej kolacji, lecz o apetycie i wesołości już nie mogło być mowy.

Każdego absorbowało pytanie: co ma uczynićy?

— Oczywiście dotrzymam danej przysięgi i stawię się u stepowej studni.

— Takim idjotą chyba nie będziesz! — zaoponował Y. — A kóżby dotrzymywał bandytom wymuszonego słowa? Przecież tak czy owak, ale uda ci się chyba ująć ich pazurom. W danej chwili najlepiej będzie, jeżeli udasz się wraz ze mną do mojego szałas, znajdującego się o dobre trzy godziny pieszej drogi stąd. Już noc zapadła, możemy bezpiecznie uciekać: u mnie nie będą cię szukali.

Wszyscy byli tegoż samego zdania, i tak gorąco zaczęli nalegać na młodegoy'a, że w końcu zachwiał się w swoim honorowym stoicyzmie i zgodził się uciec. Samowtór z towarzyszem puścił się nocą w gęstwą lasu. Przez rowy, kopce, porośnięte dzikimi krzewami, przez zbocza gór stromych — około północy dotarli szczęśliwie do szałas Y-ka umieszczonego o odległość strzału od wioski. Przybywszy — legli snem sprawiedliwych każdy na swoim łóżku.

Właściwiey-owi zdenerwowanie i zbytnie przemęczenie fizyczne nie odrazu pozwoliło usnąć. Gdy jednak około 1-ej zaczęły mu się oczy kleić do snu — naraz na równe nogi zerwało go gwałtowne szarpanie okiennicy i dobrze znany głos zbója:

— Hej, hej!y! Pięknie dotrzymałeś przysięgi? Tak to się stawiaś u stepowej studni?..

Tyle warte twoje szlacheckie słowo? Chodź tu teraz, kochaneczku! Pokaż nam się!

Zdrętwiały z przerażeniay, pełzając na brzuchu, aby nie być dostrzeżonym przez szczelinę okiennicy, dotarł przez odległość dwu pokoi do sypialni Y-ka.

— Zbójcy nas odkryli!

— A słyszę — odparł Y., ziewając. — Ale to nic nie szkodzi. Drzwi są dobrze pozamykane. Ich jest trzech, nas dwóch. Oni są zewnątrz — my jesteśmy wewnątrz. Gdyby chcieli przemocą się wedrzeć — zastrzelimy ich jak psów. Idź do swego pokoju po płaszcz i strzelbę i wracaj do mnie!

Młodyy przepelzną więc ponownie do swojej sypialni i — jeszcze dwa razy odbył tę drogę tam i z powrotem, pod gruchotem dobijania się zbójców do okien.

Nareszcie bandyci zmądrzeli i poszli bębnić w okiennice pokoju Y-ka.

— Otwieraj pan drzwi! Musimy wywlećy'a!

— Idźcie do diabła!y'a niema tutaj!

— Jeżeli go niema, to odejdziemy spokojnie, nie uczynimy panu żadnej krzywdy; ale jeśli pan drzwi nam nie otworzysz — podpalamy dom u czterech węglów.

— Słuchaj, wiesz co, to nie żarty — szepnął przestraszony Y. do nieszczęśliwej ofiary. — Jak oni nas tutaj podpieką, to się uprażymy na skwarki. Musisz stąd uchodzić. Niema rady. W sieni śpi mój włódarz, człowiek godny zaufania. On cię doprowadzi do najbliższego miasteczka, gdzie mieszka nasz przyjaciel N., prawnik. W mieście są pandurzy — tam rabusie nie dotrą.

Biedny ...y przyjął plan ucieczki i pod przewodnictwem włóдаря puścił się przez ogród — (podczas gdy bandyci oblegali główną drogę i front), poprzez wąwozy, błota, grude i pokrzywy, w kierunku wieży niezbyt odległego miasteczka.

Była godzina 4-ta rano, kiedy tam przybył, do dna wyczerpany fizyczną i moralną udręką i zadzwonił do drzwi przyjaciela. Pan domu przyjął go serdecznie, nie tając jednak zdumienia, co go tu sprowadza o tak niezwykłej porze.

— Już nic się nie pytaj — odparły — jestem nawpół żywy. Daj mi jakiegobądź legowisko, abym się mógł położyć. Żadnych przygotowań — odrazu tutaj w twoim gabinecie, na otomanie... własnym płaszczem się okryję.. Nie trzeba mi nic więcej.

Kolega N. musiał na to pozwolić, i odszedł do sypialni spać w dalszym ciągu.

Zmordowany młodzieniec, przyłożywszy głowę do poduszki, zasnął snem kamiennym i spał, dopóki nie rozbudziło go zrana wejście przyjaciela do gabinetu.

— No, jakże spałeś? — zapytał N.

— Nieźle: tylko teraz czuję się jak zbity i głowa mię boli straszliwie.

Naraz N. rozejrzał się bacznie dokoła, z miną niepomniernie stropioną.

— Mój drogi... oszczędź mi tych żartów. Po co schowałeś mi pieniądze?

— Ja?... Twoje pieniądze?! — wykrzyknął nerwowoy.

— Tak jest. Wczoraj, już późnym wieczorem, otrzymałem drogą procesu uzyskaną część spadku, należną pewnej wdowie. Położyłem pieniądze tutaj, na biurku... Od tej pory — prócz ciebie — żywego ducha w tym pokoju nie było: a pieniędzy niema..

Na to porwała ...y'a jakaś wściekłość. Skoczył, jak sprężyną ciśnięty, po strzelbę i ryknął strasznym głosem:

— Precz stąd, bo cię zastrzele! Sprowadź policję, niech mnie rewidują! Nikogo innego za próg tutaj nie puszczę! Zabiję!

Posłano po komisarza, ale go nie zastano w domu. Przyszedł tylko jeden z przysięgłych z pandurem.

— Jakiej wysokości była suma, którą pan położył na biurku? — spytał przysięgły N-a.

— *Dwieście trzydzieści reńskich* — odparł N. — *zawinięte w numer gazety „Pesti Naplo“.*

Bardzo wiele dzieł Jokaia istnieje w przekładzie polskim. Tłumaczono też i innych powieściopisarzy oraz nowelistów węgierskich. P. Łukasiewicz wydał zbiór najnowszych autorów p. t. *Nowela węgierska*. — Prócz Jokaia ważniejsi beletryści są: Vas Gerebek (*Pracownicy narodu, Wielkie czasy—wielcy ludzie*), po Jokaia najpopularniejszy; dalej Palffy Albert, Degré Al., Szatmari Karoly, Vadnai Karoly, Abonyi Lajos, Tolnai Lajos. Z nowszych: Mikszat Koloman (*Parasol św. Piotra*), Herczeg Fr. (*Gyurkowiczowie, Poganiowie, Bizancjum*); Gárdonyi Géza, Werner, Tömörkény, Pekar, Moricz, Tormay, Molnar, Surányi, Rakósi i in. Brak miejsca nie pozwala nam dawać wyjątków z tych pisarzy.

....y miał wrażenie, że go piekło pochłania.

— Istotnie — rzekł, zbierając resztę sił moralnych — mam przy sobie dwieście trzydzieści reńskich, obwinięte w numer gazety „Pesti Naplo“, — lecz jest to moja własność, otrzymana onegdaj za sprzedane drzewo... Suma ta tej nocy była już w rękę rabusiów, — w jakich warunkach ją odzyskałem — mam na to świadków w osobach przyjaciół moich: X-a, Y-a, Z-ta i Q-a. Proszę ich tu zawezwać.

Tu raptem N. parsknął śmiechem,—zawtórował mu przysięgły. Drzwi się otworzyły i z wielką uciechą wpakowała się naraz do pokoju cała gromada najserdeczniejszych towarzyszy: X., Y., Z. i Q.

— Jesteśmy tu na miejscu, mój drogi, nie trzeba po nas posyłać. Urządziliśmy ci tylko mały „kawał“, — bo wszak dzisiaj jest 1-go kwietnia...

Zatem wszystkie te okrutne, moralne i fizyczne tortury były tylko niewinnem „*prima Aprilism*“, urządzonem w gronie subtelnych inteligentów...

Zmówili się na to X., Y, Z. i Q., wtajemniczywszy służbę, przebraną za rabusiów...

I czemuż poddali tak barbarzyńskim przykrościom swego pocziwego, Bogu ducha winnego, przyjaciela?

„Bo teny wiecznIE się między nami płacze, a nudny jest, że nie daj Boże, nigdy nie chce z nami nic porządnego „odwalić“... Trzebaż go było z pośród nas w jakiś sposób wypłoszyć.“ (Bolesława Jaroszevska)

Tóth (1831—1881)

1. Naprzód

Dewizę starej gwardji
Świat cały powtarza. Jej strofa:
*Gwardja francuska umiera,
Ale się nigdy nie cofa!*
My również mamy dewizę,
Dewizę prawego Honweda:
W wiele słów ująć się nie da!
Strofa zbyt długą przemową,
My mamy jedyne słowo:

Naprzód!

To słowo na Węgier sztandarze
Węgierska wyszywa dziewczyna.
To słowo dla matki w żałobie
Po stracie drogiego jej syna
Wystarcza, by oddać drugiego,
Kiedy ojczyzna go zwywa.
Po zmarłym nie płacze... szczęśliwa —
Choć traci ostatni skarb w świecie,
Żegna go, mówiąc: — „Idź, dziecię,

Naprzód!“

Bóg wie, skąd wzięci żołnierze!
 Młódz sama, z ócz widać i twarzy.
 W parę dni sformowane oddziały,
 A myślisz: „weterani starzy“.
 Rwą się w ogień piekielny kartaczów —
 Już śmierć ich połowę skosiła
 Nas garść drobna — a wrogów jest siła.
 Zginęli?!... Nie — przejdą, jak burza!
 Głos słyszę z za wrogów przedmurza:
 Naprzód!

W tych burzach, które rozpętały
 Szalone dziejów huragany,
 Stańeli wszyscy w szereg zwarci:
 Ojciec, syn przy nim ukochany.
 Ów padł, syn nad nim pochylony —
 Nad jego w krwi zbroczoną głową,
 Błaga: — „O, powiedz choćby słowo!“
 Konając, biały jak biel chusty,
 Ten stygnącemi szepcze usta:

„Naprzód!“

Puścizno, której nawet pyły
 Mogilne pokryć nie zdołały,
 Co wołasz „krzykiem“ w ciszy grobów!
 Dewizo, świetnej pełna chwały,
 Ciebie... odebrać nam nie mogą!
 Tyś w każdej zmarszczce czoła na dnie —
 Tyś w kościach zmarłych, coby snadnie
 Powstały z grobów swych — złowieszcze,
 Gdyby zabrzmiało im raz jeszcze:

Naprzód!

(*Marjan Tatariewicz*)

2. Matka Polka

Czterech pięknych synów miała matka Polka,
 A wszyscy byli wyborowymi rycerzami —
 Śród ptaków—sokoły, w lesie—gałęzie sosny:
 Z dumą patrzyła na nich dobra matka —

Ale pewnego dnia wypuściła ich wszystkich
 [czterech,
 A gdy ich żegnała, kropła łzy nie trysła w jej
 [oku.

Średniego syna rychło otrzymała z powro-
 [tem —
 Ach, być może i nie on to: tyle na nim było
 [ran.

Kulą postrzelony gołąb nie bardziej od niego
 [skrwawiony.

Układają go w białe, miękkie łóżce.
 Dziś na miękkim łóżu, jutro na cmentarzu —
 I droga matka nie płacze, dumnie za nim
 [kroczy.

Most zwodzony dudni, pochodnia płonie.
 Otóż i drugi: włosy krwią mu spływają.
 Temu łóża już nie trzeba; ten już umarły —
 Towarzyszy mu też milcząc szlachetna matka.
 Tylko w oku tłumiona, drżąca łza błyska —
 Toć ten był najmłodszy i najukochańszy.

A oto któreś nocy wnoszą trzeciego —
 Oh, tylko z twarzy nie zdejmujcie całuna,
 By nie ujrzyć okropności, co się z nim zda-
 [rzyła:

Nie kula go trafiła, ale ręka kata!
 Przecież i temu towarzyszy dobra matka,
 Dumna, zacięta, zdrętwiała: nie jej nie porusza.
 Aliści czwarty przybywa nie nocą; ten się
 [nie lęka.

Na ramieniu złota frendzla, gwiazda na piersi!
 Gdzież on to zdobył? Nie tam, gdzie znaleźć
 [można śmierć!
 — „Zdrajcą jesteś ojczyźnie, braciom i same-
 [mu sobie!

Do synów mych (chcę iść)! Zabija mnie ta
 [gwiazda na piersi!“
 I ponieśli ją też, złożyli obok tamtych synów.
 (*Bolesława Jaroszevska*)

Anonim

Skrzypce Madziara

Słyszysz? Struny tak jęczą,
 Jakby łkały z boleści,
 A tłum pyta: skąd w drzewie
 Tyle smutku się mieści?
 Głos ich, to płacz na grobie
 Opuszczonej sieroty;
 Głos ich, to pieśń słowika,
 Pełna rzewnej tęsknoty.

Łzami ciekną, to znowu
 Szmer wydają uroczy.
 Nagle burza się zrywa:
 To Rakoczy, Rakoczy!

Marsz, junaki, do boju!
 Słychać kulek świstanie,
 A śród kurzu lśni złoto
 Na huzarskim dolmanie.

Czy z tej pieśni bojowej
 Krew się leje prawdziwa,
 Że na dźwięk jej z okrzykiem
 Każdy Węgier się zrywa?

Czy rozdziera boleśnie
 Zagojone już rany,
 Że rycerskich jej tonów
 Każdy słucha spłakany?

Czasem ludziom i niebu
Rzuca okrzyk złowrogi —
Czasem myśli zaciemnia
I drżeć każe od trwogi.

Cyt, w źródł cichej melodji
Burza tonów się zmienia,

Słysząc szepty modlitwy
I kochanków gwarzenia.

Nagle ciszę tę błogą
Krzyk rozdziera potężny;
Ach, to czikosz wykrzyknął,
Czikosz dziki a mężny!

(Wiktor Gomulicki)

Piękny ten wiersz w doskonałym spolszczeniu W. Gomulickiego, drukowany był w XVIII tomie *Kłosów*, r. 1873, w № 99; W. G. zaznacza, że jest to przekład „z węgleckiego”, niestety jednak nazwiska autora nie podaje; w dśnej chwili niepodobna rzeczy tej sprawdzić; drukujemy jako utwór nieznanego poety. Być może zresztą, że jest to przekład fikcyjny i że W. G. dla omylenia cenzury wiersz podał za przekład.

Dalmady Gyözö

(* 1836)

Modlęca się dziewczica

Uroczyscie tony brzmią organu z chóru,
Modlitewnie serca drgają im do wtóru..
Wszędy święta baczność, święte uniesienie
Skoś łyzy i cierpienie.

Jako anioł, klęczy skromna, ochędoga,
Z rozjaśnionem licem, pełna nieba, Boga, —
Pierś jej w Prawdę wżiera, tchnąc, jak trybu-
larzem,

Przed wielkim ołtarzem.

Wzrok jej zachwycony szuka niebios bramy,
Z ust wybiega prośba bez słowa, bez plamy.
Otwórz się, o Niebo, tej cudnej dziecinie:
Niechaj tam już wpłynie!

Mogłaby, zaprawdę, śród figur ołtarza
Być tam, jako anioł, co łaską obdarza,
I nieszczęsnej duszy, uwikłanej w grzechy,
Nieść źródło pociechy.

Wzrok mój się nie może rozstać z tym
[urokiem,
Chciałby się upoić tem niebem wysokiem.
O jej zmiłowanie proszę z głębi ducha:
O, niechaj wysłucha!

Przez wysokie okno ciszy spromieniona
Spływa na jej głowę złocista korona;
Czyliż jest w tym zborze, co się Bogiem
[wzrusza,

Czystsza gwiazda-dusza?

Pośród tych tysięcy, jaw-duch, oderwana,—
Pieśń i organ tylko—treść jej duszy wiana,—
Niebo, ziemia razem swą miłość złączyły
Na jej wiary siły.

Jestem jak oślepy; zda się, w snu tej krasie,
Drgnęło gibkie ciało, skrzydeł para, zda się,
Rośnie u jej ramion, w dymach świętej chmury
Ułata w lazury.

(Józef Jankowski)

Komócsy József

(1836—94)

1. Oczarowanie

Ach, jej pieśni
Słodki ton czaruje mnie:
Wciąż bezkreśniej
Chwalba o niej tylko mknie.
Za dnia pytam
Kwiatków wonnych pośród łąk, —
Nocą chwytam
Szmary gwiazd na niebie wkrąg.

Kwiatki lubę,
Gwiazdy lubę, mówcie raz:
Skąd na chlube
W pieśniach jej jest tyle kras?
„Tak”, różyczka
Powie, „siostrą nam jest, wiedz!”
„Tak”, z gwiazd liczka
Płynie: „ród jej z naszych miedzi!”

2. W niepogodę

W niepogodę raz pod płaszcz mój
Uciekła zziębnięta,
Żeby ogrzać na mej piersi
Skostniałe rączeta.

Od dotknięcia rąk tych płomień
W sercu buchnął męski,
Zakipiała krew — i z tego
Dziś te wszystkie klęski.

3. Dziś światło...

Dziś światło, barwa, kwiecie, woń,
Jutro odpłynie wszystko w toń.

Umiera róża, wędnie krzak,

I z nami, luba, będzie tak.

Ustanie puls, nadejdzie skraj,

Wtedy otworzy nam się raj.

Na grobie promień, kwiaty, pieśń:

Nie widzi tego zmysłów pieśń.

(Józef Jankowski)

Kiss József

(* 1842)

Judyta

Nieszczęsnym był żyd Szymon
przez wiele, wiele lat —
Trumienkę małą, czarną
rok w rok na mary kładł...

Trumienkę taką małą —
trzy piędzi ledwo wzdłuż —

Dziś rodził się robaczek...
nazajutrz konał już...

Nad złoto był cenniejszy
Judyty kruczy włos.

Rozpłata go ze łkaniem,
zawodząc na swój los.

Nożyce ostre chwytą
i bez namysłu tnie —

I przed rabinem siwym
w noc późną zjawia się;

„Mój kruczy włos sławiono...
Oto go masz u stóp!...

Wielbiono moją piękność...
Czyż ją poniosę w grób?

O, Rabi, wszak Jehowa
dał wieszcy tobie wzrok...

Kiedyż rozjaśni dziecę
mojego życia mrok?...

Uczony mąż żrenice
od świętych wznosi ksiąg —

I topi w twarz Judyty —
Ta wiję się śród mąk.

„Dziś pragniesz mieć dziecinę —
czyż. zawsze było tak?

Toż twego niewiniątka
pierworodnego brak.“

Judyta lica bledsze
nad górskich szczytów śnieg —

Przysłania drzącą ręką
i kryje w szaty brzeg.

I szlocha i bełkoce,
a łkanie pierś jej rwie —

Zdławionym szepce głosem:

„Jam zadusiła je!

Mnie uwiódł jego ojciec,

na pastwę nędzy dał —

Jam była słabem dzieckiem...

Noc... wrzący uścisk.. szła...

Szyderstwa bojaźń, hańby...

O maro strasznych dni —

Ach, czemuż wtedy serce

z bólu nie pękło mi!

Starzec przewraca karty

odwiecznych świętych ksiąg —

W milczeniu kary szuka

za czyn zbrodniczych rąk.

„Powstań, Judyto, powstań —

Pokutne szaty złóż —

Czczy pozór nie oczyści

skalanych zbrodnią dusz. —

Judyto, cięższa kara

za twój przystoi czyn.

Czy zniesiesz ty pokutę

dla odkupienia win?

Judyto! Zaród śmierci

w twym pocałunku tkwi.

Gdy będziesz matką — dziecę

całować wzbraniam ci.

Idź — i samotny żywot

z cierpienia snuj i łez —

W weselnym dniu dziecicia

twojej kary będzie kres“.

Żyd Szymon znów jest ojcem.

Łśni mnogich światłaż zar...

W domu, jak w dniu weselnym

uciecha wre i gwar.

Dziękczynne psalmy ojciec
 ku czci Jehowie śle,
 Matka rzewnymi łzami
 raz wraz zalewa się.
 Do piersi tuli dziecko,
 nie wypuszczając z rąk
 I pragnie pocałunku
 i wiję się śród mąk.
 Ponad Szymona domem
 znów wrogi cięży los...
 Poostaniane okna —
 płacz — przyciszony głos —
 Judyta ręce łamie —
 łzy wypląkała już...
 „Znów dziecko mi odbierasz,
 o Panie — wzrusz się, wzrusz“.
 — „O, matko, droga matko,
 ach, jakież rwie mnie ból —
 Ucałuj mnie, o matko,
 do ust mych usta tul.“
 — „Ucisź się, moje dziecko,
 nie wolno mi... ach... nie!“
 („O Panie miłosierny,
 czemu tak nękasz mnie?“)
 — „O matko, droga matko!
 o, wiem ją dobrze, wiem...
 Że lękasz się gorączki,
 płonącej w łonie mem!“
 Zbladł Szymon... z błędnych źrenic
 błysnęły gniewu skry...
 — „Judyto, niegodziwą
 nędznicą—jesteś ty!
 Tak! nieraz zadawałem
 językom ludzkim kłam —

Błądziłem, nie chcąc wierzyć...
 dziś — oto widzę msa!
 Zła matka dobrą żoną
 nie może nigdy być!
 Judyto! precz mi z oczu —
 precz z mego domu idź!“
 Za rokiem rok upływa...
 szeregi biegną lat...
 Na smutny dom Szymona
 znów uśmiech szczęścia padł.
 Baldachim na podwórzu —
 wkrąg ciżba gości — gmin —
 Szymona córę bierze,
 Natan, sąsiadów syn.
 Wmieszana w tłum żebraczka
 w ostonie nędznych szmat,
 Podąża potrącana
 w oblubienicy ślad.
 Wskroś ciżbę się przedziera,
 błaganie pierś jej rwie: —
 — „Pozwólcież mi ją ujrzeć —
 o ludzie — puście mnie.“ —
 Już przysięgają. Wkoło
 błagalny toczy wzrok.
 Już Chazen pieśń zawodzi...
 — „O ludzie, jeszcze krok!
 Wszakże to moje dziecko!
 O córko, dziś twój ślub!“
 Całuje ją — i martwa
 upada jej do stóp. —
 Weselny dzień dla matki
 był kresem ciężkich prób.

(Władysław Nawrocki)

Csengey Gusztáv

(* 1842)

Kościuszkó

Światłem jarzą się carskie salony —
 Grzmi muzyka — ucztę gwar szalony —
 Wino perli się w złotym puharze:
 Miarę przebrałeś!... Głowa
 Kołysz ci się, carze!
 „Hej, zwycięstwa dzień święćmy do syta!
 Paweł Pierwszy w rękę puhar chwyta
 I z bojarów każdy w swą prawicę
 Ujmuje puhar wina:
 „Hej, hej, Maciejowice!“

Zawołają mu bojary: Stawa!
 „Niechaj polski jeniec mi tu stawa —
 Nigdy nie był tak wesół, jak żyję!
 Dziesiątego października!
 Niech on za mą cześć wypijel!“
 Gdy ten rozkaz dowcipny usłyszal
 Bojarowie, od śmiechu aż dyszał,
 Aż im łażą się na żrenicy pali:
 Oto wszedł polski jeniec
 Na progi carskiej sali.

„Hej, ty Lachu—przystąp—wiesz ty, bracie,
Jaki dzisiaj dzień? Czy pamiętacie?
Nigdy nie był tak wesół, jak żyję!
Dziesiątego października!

Niech za mnie Lach wypije!“
Jeniec polski, gdy rozkaz usłyszy —
Bierze puhar — wśród grobowej ciszy —
W wino łąza mu ocieka strumieniem,
Lecz twarz Polaka - jeńca
Ognistym łśni płomieniem.

„Wiem ten dzień, pamiętam tę rocznicę —
To śmiertelny bój — Maciejowice!
Tam mogiła jest Polski królewskiej,
W tym dniu podnoszę puhar
Do ciebie, carze moskiewski!

Tam ojczyznę mą zabiłeś, carze,
Niechajże was za to Bóg ukarze —
Niech przekleństwa życie wam wytrąca!
Wygnańcem bądź w swej ziemi,
Ty, niewolników władco!“

I zamilkła jeńca mowa godna —
I wychylił puhar wina do dna —
Posiniało wściekle cara lice,

A stu bojarów z wyciem
Podnosi swe szabllice.

„Dziś me serce bardzo jest wesółem!
I nagrodzę ciebie! Bić go kołem!
Jakież imię twoje, polski sługo,
Powiedz mi swoje imię,
Bym je pamiętał długo!“

„Śród Maciejowickich pól równiny —
Jam do szturmów prowadził drużyny!
Opłakuje mię dziś Polska w grobie,
Imię moje — Kościusko —
Czy przypominasz sobie?“

Car, gdy słyszy dźwięk tego imienia —
Twarz od wstydu mu się rozpłomienia
I bojarom wstyd, bo ten bez cześci,
Który szydzi z narodu
Łez i wielkiej boleści.

Car rumiany od wstydu rumieńca —
Oto zwolna przystąpi do jeńca —
I na zgodę dłoń mu poda szczerze:
„Idź wolny, Europy
Największy bohaterze!“

(A. L.)

Csiky Görgely

(1842–1891)

Kochasz mnie

(z „Prorocztw“)

Kochasz mnie! Słodkie, czarodziejskie słowa!
Pierwszy raz słyszę je, a przecie są mi
Znajome, jako stary wierny druh,
Codzienny gość w zamkniętym sercu mojem.
W dzieciństwa snach dźwięczały mi już one,
Gdy dziwnem, nienazwanem
Uczuciem drobne serce gwałtownie biło tak.

W piosence ptaka dźwięczały mi już one,
Kiedy w zaroślach gniazdeczko wdzięczne wił,
Błagalnym tak świegotem samiczkę wzywający.
Z kielichów strojnych kwiatów wołały ku mnie
[one,

Gdy róże dwie, na jednej gałązce pochylone,
Z ust do ust słodkie wonie gorąco sobie tchną.

(Józef Jankowski)

Arany Władysław

(ur. 1844)

Bohater Fata Morgany

Bohater Fata Morgany (*Delibábok hőse*)
jest to poemat satyryczny, w stylu *Don Juana* Byro-
nowskiego, pisany oktawą. Główną osobą jest młody
szlachcic węgierski, Błażej Hübele, który przepę-
niony wielkimi ideałami, podróżuje po obcych krajach—
i wraca potem do swoich, chcąc w zaścianku nad Ci-
są—ideały swe w życie wcielić. Ale na tym partyku-
larzu dusze śpią — i, mimo walk, Błażej nie tylko nie

nie wskórał, ale sam uległ usypiającym wpływom zaś-
cianka—i zmarł razem ze swymi ideałami.

Starszy brat w domu, rozwarłszy ramiona,
Przyjmuje gościa oczekiwanego.
Zaraz go winem serdecznie częstuje,
Przynosi wódkę, kielbasę i ciasto.

Potem nakłada umiejętnie fajkę,
Stawia na stole pojemne naczynie:
Kurzą i różne popijają trunki.
Tak na rozmowie wieczór im upływa.

Nazajutrz Błażej — starokawalerską
Ogląda brata siedzibę. Pustynia!
Pustką aż dudnią izby: małe okna,
Meble ubogie, pordzewiała strzelba
Na gwoździu. Wielki dymny komin z błota.
Miało biblioteki kalendarz na sznurku.
Bрудna czeladna izba, dymna kuchnia,
Sad pełen zielska, błotniste dziedziniec.

Rozwalające stę stajnie. Ziewając
Gapi się para psów; kilkoro służby
Drzemie. Brat łąje — rzuca groch o ścianę —
Połamie ludziom ręce, nogi, kości!
„Psiakrew, do kąt! Hej, tędy owędy!
Gotowe wszystko? Będzie-z dobry obiad?
Próżniaki! wszystkich jutro precz rozpedzę!
Nie wiecie, że to dziś me imieniny?”

W istocie już się dla życzeń tu zbiera
Kwiat i śmietanka całej okolicy.
Pierwszy, co wcześniej o poranku przybył,
Wykrochmalony kum Horpasz, kawaler
Siwy, prowodyr młodzieży sąsiedzkiej.
Zawsze jest wszędzie, tylko nigdy w domu—
Utrzymuje go cała okolica

Wraz z koniem. Za nim nadjechał Szij Muki.
Chłop tęgi, lecz mu teraz coś się stało;
Chory jest biedak — coś kaszle i kwęka.
Przybył w te strony jakiś młodzian z Baczki,
Razem bawili się i ucztowali —
Łykali świece, proch, pakuły; wreszcie
Tamto prawdziwy był kawaler z Baczki —
Połykał nawet kule ołowiane;
Sziya by połknął, gdyby nie piekło w gardło.

Przybył pan Vermes w odwiecznej karocy,
Co się na zdartych gibocze rzemieniach —
Pan to największy jest na dziesięć granic,
Tylko bez grosza, bo zawsze funduje
Szeroko; nigdy zaś nic nie sprzedaje
Swych zbóż, choć zawsze śledzi, jakie ceny.
Zawsze wojennych oczekuje nowin,
Aż czerw rumaki jął mu toczyć w stajni.

Po chwili wjeżdża pan Szikar, którego
Ściga sto razy sto spraw rozmaitych;
Adwokat-kupiec, procesuje, egzekwuje;
Mówią, że żyda oszukać potrafi,
A gdy cię orźnie, klnie, żeś go oszwabił.
Różne nieładne o nim mówią rzeczy,
Lecz choć nim gardzą, jednakże go cierpią
Z trwogi, bo na kark wali im procesy.

Teraz się jeden pcha za drugim w ślady.
Ten z własnej woli, tego deszcz zapędza —
Wszyscy winszują: Marko, Józio, Piszta

(Śród nich był także mąż Etelki, Deze);
Ksiądz dalej idzie, rektor, nauczyciel —
Para cyganów też zwęszyła ucztę.
Tak się to zebrał wielki świat zaścianka
Cisy: nauki i sztuki *lumina*.

Płyną, choć z mniejszym komfortem prastare
Postaci, tylko nad Cisą możliwe,
A jakich nigdzie nie znajdziesz na ziemi:
Zaiste siły, zdrowia prototypy,
Na które patrzeć — to rozkosz prawdziwa;
Jak im dolmany wypełniają kształty,
Jak każdy z nich piersiasty, ramieniaty,
Zakutogłowy, rozwianobrodaty.

Zakuta głowa strzyma cios topora,
A niemniej wewnątrz twarda i oporna.
Nowość - reforma, to nie jej ideał:
(Chyba coś... bardzo... coś, co ją rozpalil!)
Pierwej myśl całą musi dobrze fajką
Wpalić sam w siebie i wysiedzieć w sobie
Niezbýt leniwo — i nie gorączkowo:
Trucht lubi w świecie zasad, nie zaś galop.

Nie dumny wcale z tego, że bogaty,
Ale wyniosły, że pan, choć ubogi,
Jeno tak mówi o sobie: „My, chłopci“
(A za nim tuż służący w szamerunku).
Nie łąknie zbyt tytułów (droga trutka!),
Drwi z nich, a jednak serce jego w tajni
Cieszy, gdy w Peszcie pieniądze rozrzuca,
Za co go kelner zowie jasnie panem.

Zresztą u siebie gospodarzy w domu,
Ziemie praocjów orze i zasiewa;
Skarży się wiecznie na duże podatki,
Lecz płaci, gdy się wykręcić nie uda!
W krwi jego składzie niema zjadliwości,
Mżonek socjalnych żądnych mu nie trzeba,
Lecz—choć nie z zasad, ani z doświadczenia,
Jest z nawyknięcia rewolucjonistą.

Jego dziad, ojciec od półtora wieku
Śród najgorętszych krążyli kuruców.
Taż jego wiara, *quo semel est imbuta
Servabit testa odorem diu*.
I gdy mu w uszach pieśń zapłaczę stara,
Gdy załka w piersi ból patryjotyczny —
Klnie wtedy mocno dla świętej ojczyzny —
Klnie strasznie, może nie wie sam dlaczego.

Na imieniny licznie się zebrał —
Dużo stawiono im dobrego trunku:
A gdy ich wino rozpałiło, zagrzmią:
„Ej, ty filutko!“ — i inne piosenki.
Mała to rozkosz — muzykalnym uszom,
Gdy jeden nuci, drugi zasię wrzeszczy,
Lecz choć bas odskakuje od wiolina,
Mimo to krzepi się zmysł patryjotyczny.
Błażej jest dnia bohaterem; całują,
Rozpylują go, kołem otoczywszy:

— Anglicy — prawdaż — to są dziwołagi?
 — Minister siedzi na weinianym worku?
 — Czy smaczny jest plumpudding, whisky,
 [befsztyk?
 — Czy przeprowadzą tunel pod Calais?
 — Czy scyzoryki przywiózł i tam dalej?
 — Co to za gra, angielski sławny krokiet?
 Tymczasem „głupią panią“ wspominają,
 Wciąż leją w siebie po kwaterce wina:

Wzajem gorycze swoje sobie prawią,
 Ubolewają nad upadkiem prawa —
 I w smutku widzą, jak ojczyzna ginie,
 Aż się przekleństwa cisną im na usta.
 Ci się rozchodzą, ci piją — śpiewają,
 Spór inni toczą, albo grają w ferbla.
 Błażej zabawą tą już się przesycił,
 Pamięć ku innym się unosi szlakom:
 Ileż tu mocy, lecz ileż dzikości!..

(A. L.)

Doczi Lájos

(1845–1911)

1. Sone

Biada tej, która sercem nikogo nie darzy,
 Lecz, jak bóstwo blask siejąc, za hordami goni,
 Nigdy hymnów nie syta ni kadzideł woni,
 Które miłość rozsiewa u stóp jej ołtarzy.

Biada tej, której serce w milczeniu się skarży,
 Której oko tajemnie łzę rozpaczy roni,
 Tak jak gołąb zraniony siedząc na ustroni,
 Ginie niepostrzeżony wśród leśnych ołtarzy.

Lecz stokroć biada owej, którą dola zmusza
 Tam o miłości mówić, gdzie milczy jej dusza,
 A milczeć, gdzie przysięga słowa z ust jej

[płoszy:

Tak miłość jej z przysięgą w wiecznej jest

[rozterce,

Serce łamie przysięgę, a przysięga serce —
 Ona grzeszy w czystości, a cierpi w rozkoszy.

(Franciszek Konarski)

2. Mknienie

Za czym tu w trwodze, w znoju biegą
 Od pierwszych kroków aż po zgon,
 Szczęście (zapytaj najśmielszego)
 To jedno mknienie, złudny plan:

Jak cudny kwiat ów, co zakwita
 Nocą raz jeden na sto lat,
 I zanim jeszcze dzień zaświta,
 Berbarwny, zwiędły zwiesza płat.

Pragnienie, tęskność wciąż kolejką
 Wije się piewcy pośród ścież:

„Zstąp do mnie, piękna czarodziejko,
 Za pocałunek krew mą bierz!“
 Tak śpiewa, — aż go kiedyś we śnie
 Tknę pocałunkiem wróżka swym, —
 Zbudzi się piewca i boleśnie
 Przejrzy, że był to kłam i dym.

O, szczęście, wróżko! Jakimż cieniem
 Jest twoim, że nas zwodzisz tak:
 Darzysz li krótkiem oka mgniemieniem,
 Zastaniająca prawdy szlak!
 Przemija młodość i uroda,
 W piersi zostaje grotów sto —
 I oto piewcy jest nagroda —
 Opłakiwane mgnienie to!

(Józef Jankowski)

Docziego sztukę p. t. *Ostatnia miłość* przełożył Franciszek Konarski i wydał we Lwowie koło roku 1870.

Beöthy Zsolt

(* 1848)

Ostatni sen

(do mojej żony)

Kiedy już los mój się rozsnuje,
 Jak sen się życie wyrzutuje:
 Snem będzie męka utrapienia,
 Snem będzie radość w państwie śnienia,
 Snem serca boleściwe rany,
 Snem szczęścia pościg niezblągany —
 I o com walczył tutaj w pędzie,
 I com tu zdobył — snem to będzie.

Gdy miast obrazów pstrych przed oczy
 Światło mi nowe się wytoczy,
 O, niechaj, jako kiedy chwila
 Nocna najśłodszy sen przychyła,
 I gdy świadomość, półockniona
 Przytula obraz ten do łona,
 Ze wszystkich jeden mnie opływa,
 Najdroższy — z ziemskich snów przedziwa!
 Snu ostatniego, co się krasi,
 O, żadne słońce mi nie zgasi!

Twe oczy, serce twe bezgńiewne
 Niebiosom zawsze były krewne.
 Niechaj za grobem w onej nocy
 Obraz twój wiecznie mam ku mocy!

(Józef Jankowski)

Endrödy Sandor

(* 1848)

Królewicz i Królewna

Raz królewicz pewien,
 Wstawszy rankiem z łóżka,
 Raptem za prostego
 Przebrał się pastuszką.

Królewna z sąsiedztwa,
 Takżé śród rozterki
 Z własnym swym gorsetem,
 Wdziała strój pasterki.

Popędzili stadka,
 O sobie bez wiedzy,
 Spotkali się razem
 Na granicznej miedzy.

Kwiatki woniejące
 Na łąki kobiercu, —
 Słoneczko na niebie,
 Miłość wartka w sercu.

Słodkich pocałunków
 Rwący kraśne kwiecie,
 Zapomnieli zgoła
 O stadkach, o świecie.

Ojca królewicza
 Miłość nie rozczula:
 Tajne śle poselstwo
 Do sąsiada-króla:

O królewny rękę
 Z ojcem się uклада, —
 Królewicz rozpacza,
 A królewna—błada.

Kiedy na weselu
 Wreszcie się poznali,
 Po krótkiej radości,
 Już się zadumali.

O pasterce wdzięcznej
 Księżę marzy zcicha,
 A królewna często
 Do pasterza wzdycha.

(Józef Jankowski)

Zichy Géza

(* 1849)

Dziś w nocy

„Dziś w nocy, szepczą na schodach w pół-
 [żalu,

Jedna sąsiadka umarła w szpitalu“.

„Dobra istota — mówi czerń dokoła —
 Nigdy na ziemi długo trwać nie zdoła“.

Powiada o niej ksiądz: „Dusza pobożna“.

Lekarz: „Choroby zagadka przemożna“.

Mąż jeno upadł na jej grobowisko

I zrozpaczony woła: „Moje wszystko!“

(A. L.)

Posa Lajos

(* 1850)

Hazanie

W namaszczeń pełnym tonie,
 Stojący na ambonie

O marnotrawnym synu
 Przemawia ksiądz do gminu.

Nauka w serca wchodzi —

I starcy drżą i młodzi —

I we łzach się rozplywa

Mateczka jedna siwa.

(A. L.)

Bartók Lajos

(* 1851)

Daj mi wual...

Daj mi wual z onych łunek
 Wzruszeń, który twarz twą krył,

Kiedy pierwszy pocałunek
 Zawrzał pośród naszych żył.

Jeśli kochasz, on mi będzie,
 Jako życia sztandar mój:

Pocałunki zawsze, wszędzie

Będę wtulał w jego zwój.

Gdy nie kochasz — na me znoje,

Bóle, strażą będzie on,

I otarciem na łyzy moje,

I całunem na mój zgon.

(Józef Jankowski)

Andrassy Bela

(1853—1873)

Zefir

Gdy zefirów kołysze mnie wianie,
Zda się — bujam ciebie na kolanie.
Gdy łagodnie mnie gałąź łaskocze,
Twe mnie, zda się, muskają warkocze.

Gdy się w słońcu mienią złotem liście —
Roję — uśmiech twój drzy połociście.
Gdy w wieczornym zmroku gaśnie dzień,
Jeszcze widzę wciąż — zda się — twój cień.
A gdy burza zahuczy po hali —
Ból mój — sędzę — w tym jęku się zali.

(A. L.)

Reviczky Gyula

(1855—1889)

1. Walka

Słońce mi błyska z niebios toni.
Najlepsze serca mam za swoje.
Radosna pieśń mi w duszy dzwoni:
Excelsior! — wszystko wokół twoje!
Chwała-ć, młodości! Idealy,
Które ambicja ściga błaha —
Ja chwytam naraz w pełni całej.
Excelsior! — Głupiec, kto się waha.
Choć zrasza strumień łez nasienie,
Skąd się rozwija bujne kwiecie:
Toż w dźwięku pieśni me marzenie —
Excelsior! laur na skroń mi plecie.
Tajń bytu odkryć — wola mężna!
Serce a dłoń — to moc prawdziwa.
Nęci nas istność niedosiężna.
Excelsior! Walka mnie porywa.

(A. L.)

2. Szczątki papierowe

Przeglądam stare me szpargały.
Oto mi wpada w ręce
Przygodnych kartek zwitek cały:
To wiersze me chłopięce. —
Innym on nic nie dawał,
Dla mnie — to życia kawał.
O, szybko zbiegłaś, ma młodości!
Rozpierzchtych snów ogrodzie!
Krótko płonęły twe świetności,
Zburzonych już w zarodzie!
Bogdajbym spokój w sobie
Miał, widząc was już w grobie!
Pójdź, wonny liście z drogich dłoni,
Rosły cię łyzy moje, —
Dawałeś skrzydła do pogoni,
I szczęście, i ostoję!
Byłeś, jak lek mi żyzny, —
Dziś stare bolą blizny.

A oto kwiaty zasuszone,
Wciśnięte w karty szare:

Serce, w miłości zawiedzione,
Goniło nową marę, —
Szukało ukojenia

U nowych żądz płomienia.

Tu przyjaciela gromkie słowa
Ideje i tyrady. —

Lecz z wieszczą spadła łuska owa,

I Judasz powstał zdrady!

O, jak to wówczas mnie bolało!

Minęło! — już się stało!

Gryzmoły, coście ukrywały.

Obłudę, fałsz pod sobą!

Przyjaźń i miłość! Dziś zakąły

Niesiecie głąz z żalobą!

Do ognia, szczęty blade!

Na stos was gniewu kładę.

Gdybyż się prochem, pyłem stały,

Jak moje miłowanie!..

Choćbyś pogrzebał czas zbolały, —

On znowu ci powstanie, —

W godzinie duchów cienie

Przywiedzie — na cierpienie.

Więc nie! Zachowa was, o, szczęty,

Ma radość jakaś głucha:

Bo serca płomień, gdy dotknęty,

Wspaniałomyślnie bucha...

Nie rzucę was w pożogę, —

Zapomnieć — nie, nie mogę.

(Józef Jankowski)

3. Gdy serce Kochać już prze- stanie...

Gdy serce kochać już przestanie,
Mówcie: on umarł, nie masz go!
Niczem mi dziewcząt zawołanie,
Gdy serce poszło za rzek sto.
Mówcie: on umarł, nie masz go!

Gdy serce kochać już przestanie,
Gdy krew zastygnie, zgaśnie wzrok,
„Żył tu, wciąż śniący miłowanie“,
Piszcie mi na grobowca łok,
Gdy krew zastygnie, zgaśnie wzrok.

Gdy serce kochać już przestanie,
Gdy śmierć już wionie zimnem chust,
Powieki me — pocałowanie
Kobiecych niechaj zamknie ust:
Gdy śmierć już wionie zimnem chust.

(Józef Jankowski)

4. Nirwana

Zasnąć, zasnąć! Spać na wieki!
Znaleźć jakiś port daleki,
Gdziebym już od głazu niemiej
Spoczął w głuchej ciemnej ziemi!

Obrzydł mi ten widok świata,
Fałsz, obłuda mnie przygniata, —
Dosyć, dosyć mam już ludzi —
Wszystko boli, wszystko nudzi!

Życie tłoczne, czucia mroczne —
I co mogę, i co pocznę?

Nie śmiem patrzeć w światła lico,
Ciemność straszy mnie próchnicą.

O, niech ta się zmudna, sroga
Raz zakończy wreszcie droga,
Której cel mi taki mglisty, —
Przybądź, przybądź, śnie wieczysty!

Już nie widzieć nieba, ziemi,
Zgasnąć snami już wszystkimi,
Bez promienia, bez opieki,
Spać już tylko, spać na wieki!

(Józef Jankowski)

5. Emma

O, moja słodka zwiędła różo,
Niech cię minione dni nie chimurzą,
W godzinie smutku pomyśl o mnie
I stare rany ukój po mnie!

Jakeś na zimy srogiej mrozie
O nowych sokach śniła w łozie,
I dusza twoja odrętwiała
Pod tchnieniem wiosny lubej drgała;

Jako w te noce, gdy los straszy,
Gdy pierzcha sen, miłości naszej
Promień ożywił cię pamiętny:
Tak pomnij o tym, co tu smętny.

Wymódlmy szczęścia te niebiosy:
Nie wszystko łamą groźne losy;
Niżli wiośniane płochę dzieła,
Drozsza nam wiosna, co minęła.

Serce wyziębłe, siwe skronie
Uczą nas: miłość także tonie —
Ale, jak lśnienie promieniste,
Wypływa to, co wiecznie czyste!

(Józef Jankowski)

6. Finał

Z dawniejszych smug,
Z tak pysznych dróg,
Nadziei ledwie jeden błysk —
Me pieśni — wstecz,
Już z puchów mlecz
Odarty pośród rzysk...

Wiosennych technień
Przeminął dzień,
Śpiew ptaków nie brzmi pośród pól, —
Uderza dzwon,
Na wieczny schron
W grób niosą radość, ból.

(Józef Jankowski)

Koroda Pál

(* 1856)

1. Groby hrabiowskie

(fragment z powieści poetyckiej)

Nie barwi tam się żaden kwiatek,
Nie daje ptak tam powiadomień,
Nie widny nieba choćby piątek,
Nie wnika słońca żaden promień.

Wienca nie składa nikt ze skrucą
Tam, gdzie Elizy widzisz płytę:

Sklepienia łukiem zimno, głucho
Niegdyś i Dzisiaj jej opowite.

Kto tu przychodzi, czuje mrowie,
Ujrzy herb złoty i tak powie:
Spoczywa wielka pani tu,
Miłości nie zaznała snu.

(Józef Jankowski)

2. Bądź zdrowa!

Bądź zdrowa! Wzięłaś śród zatrucia

Me pieśni, pasma zór,

Najlepsze sny, najżywsze czucia:

Nie wrócą nigdy już.

Złupiłaś biedne serce moje,

Dziś puste, — taki kres, —

Słów nie mam, czemuż się ukoję? —

By płakać — nie mam łez.

(Józef Jankowski)

3. Miłość poety

Kochaj mnie! Tak wielkiego daru

Szczęścia jam godzin, wierzyć zwół:

Wobec miłości mej obszaru

Żebrakiem najmożniejszy król!

Piękniej, niż blaski i korony,

Promień jej głowę zdobi twą:

Spełzną purpury, zgasną trony,

Królową cię me pieśni zwą!

Byś miała skarbiec cały jary,

Dam serca mego wszystkie dary;

By świta była można też,

Radością tchnę je wdał i wszę!

Niebo ci mówi: „W twoich oczach

Odbijam wiernie moją toń“.

Zefir ci szept: „Zdała płynę,

Całować lice twe i skroń“.

Kwiat ci z urwiska wdzięki kłoni:

„Weź do ślubnego wianka mnie!“

Perła powstaje z morza toni,

Pyta: „Czy godna-m ciebie, śnie?“

Król ma zaledwie jakieś kraje,

Gdy ja ci ziemię całą daję!

Kochaj mnie! W darze, jako kwiat,

U stóp ci cały złożę świat!

(Józef Jankowski)

Szabolcska Mihály

(* 1860)

1. Spotykam ciebie

Spotykam ciebie, me kochanie,

Tu, tam, to indziej znów, —

Odkłaniasz się na powitanie —

I ciągle tak bez słów.

Z uśmiechu, spojrzeń coś zuchwale

Błyska, rzecz puszcza w nic:

Jesteśmy dumni, — tak, tak! ale

Skąd błądność taka lic?

(Józef Jankowski)

2. W Grand Café

...Muzyka węgierska zawodzi —

Gra o północnej godzinie, —

W obcej, dalekiej krainie —

W przepychu i światła powodzi

Modnej kawiarni Paryża —

Paryża!

Smutku, tęsknoty w grze — tyle!

Muzyko! ty serce masz pewnie,

Że opowiesz tak rzewnie

Naiwne rozrywek chwile,

Co cieszą w Kondorosz juhasów —

Juhasów!

I zda się światła tej sali —

To raczej pastusze ogniska —

Tłum strojny się z trudem przeciska,

Przypływa, odpływa w kształt fali,

Nie słysząc tej sielskiej melodji —

Melodji.

Tłum strojny bawi się, burzy,

Szaleje, muzykę zagłusza,

A grajkom z strun zrywa się dusza —

W dal płynąc, gdzie pośród wzgórz

Pasą się owce z csardy

Z csardy.

(Marjan Tatarkiewicz)

Lechner Gyula

(Julius Lechner von der Lech)

1. Wszystko dla jednej

Chciało dziewczę, żebym śpiewał,
Pieśnią czary jej rozsiewał.
Chciało dziewczę, bym malował,
Tęczę wdzięk jej upolował.
Potem znowu przez pustotę
Odmieniło mą istotę:
„Precz z pędzłami, z pieśni szykiem,
Bądź mym teraz ogrodnikiem!”
Nie maluję już, nie śpiewam,
Mogł kwiaty dziś polewam.

2. Zakład

„Chodź o zakład!” — Lenka powie.
„O całusy? — Najgotowiej!”
„Stanął zakład?” „Oto ręka!
Na tę stawkę dusza klęka.”

Kto wygrywa, całus bierze, —
Kto przegrywa, daje szczerze.
Twoje — moje, bez poszlaki:
Bardzo słodki przetarg taki!

3. Na gałązce

Nauczyłem się od drozda,
Jaka na samiczkę pastka,
Od jaskółek i od krasek,
Jak budować ciche gniazdko.
Nauczyłem się ich śpiewów.
Gdybyż jeszcze, tłumiąc żal,
Móc nauczyć się za lubą
W niezmierzoną lecieć dal!

(Józef Jankowski)

Pap Zoltán

(* 1865)

Pozwól...

Pozwól patrzeć w swoje lice,
Pozwól patrzeć w śliczne oczy:
Jeśli kryją tajemnicę,
Niech się moja w nią wistoczy.
Nie mów, nie mów nie! To święte
Mknienie daj mi niemo, skrycie:
W tajemnicy tej zamknięte
Nasze szczęście, nasze życie.

(Józef Jankowski)

Bálo Tassilo

(* 1869)

Zamek Apafi

W przepysznym zamku księcia-pana
Ujrzałem światła dzienny wschód.
Wcześniej mi żądza była wlana
Mocy, co mój krasila ród.
Poważnie przodków sławnych rzędy
Patrzyły na mnie z głuchych ścian:
Były mi, jako święte pędy
Chwały na przyszły szumny łań.

Czekały na mnie ze zgietemi
Karkami sznury całe sług,
Bieżeli, chyląc się ku ziemi,
By pył zamiętać u mych nog.
Nie odłożono nic na stronę,
Co mi zachcianki przyniósł szlak:
Każde życzenie — w mig spełnione —
Myślałem, zawsze będzie tak.

Jakżeż mi mogło przyjść widziadło,
Że takich blasków zgaśnie stos?
Dziś, kiedy wszystko już przepadło,
Czemuż mnie jeszcze nęka los?

Iż-em tu, jako tych tysiące,
Dla których szczęście było snem,
Idę i życie smutkiem mące,
I piję z czary — z pustem dnem.

Iż mnie opływa pamięć przeżyć,
Jako czar pieśni, który prysł,
Której harmonję by odmierzyć,
Światła nie poda żaden zmysł.

Iż-em bez celu, i ułamek...
Promień nie świeci wśród mych ścież...
Czemuż nie zapadł się ten zamek,
Pod gruzem chłonać i mnie też!

(Józef Jankowski)

Szálay Eufrozyna

(* 1870)

Barkarola

Pieściwy promień łśni miesiąca,
Na taflí wód zwierciedli się. —
Nadpływa noc, — gondola drżąca, —
Tęsknoty pełen czekam cię.

Czy słyszysz, jak ten śpiew zawrotny
Wzywa, jak fala szemrze nam?...
Pójdź! perły miece próg wilgotny, —
Pójdź! pocałunki słodkie mam.

Wenecja urok swój rozsiewa,
Oparem odurzona skroń, —
W gondoli chybkiej, jako mewa,
Pomkniemy razem w dłoni dłoń.

I tak pływacy wciąż dłoń w dłoni,
Zapomnim troskę, ból i trud, —
Nad nami strop gwiazdzistej toni,
Przed nami bezmiar wolny wód.

Nadpływa noc, gondola drżąca,
Tęsknoty pełen czekam cię, —
Patrz, jak ten promień łśni miesiąca,
Na taflí wód zwierciedląc się.

(Józef Jankowski)

Heltai Jenő

(* 1871)

Lorelei

Siedzieliśmy przy fortepianie,
O baśniach mówiąc z podań pnia, —
Zgadaliśmy się o wodnicach:
Blondwłose dziewczę-cud i ja.

„Co z tobą“, dziewczę spyta, razem
Westchnieniem pomknie w marzeń kraj:
„Co z tobą stało się, wodnico,
Ty, złotowłosa Lorelei?“

I zmilknę; ja więc, iż-em smętny
Dnia tego był, zabiorę głos:
„Lorelei, dziewczę, ciągle żyje,
I ma, jak dawniej, złoty włos.

Krok lekki, obcas ma wysoki,
I śmiała — nowość chwytą w lot,
Nosi wspaniałe tualety
I jada codziennie przy *table d'hôte*.

Butony w uszach ma, pończoszki
Jedwabne, w żyłach dziwną krew, —
I śle żeglarzom swe wabiące
Melodje, swój wabiący śpiew.

A kto usłucha jej, na tonie
Jej pójdzie zdradne, rzuci brzeg,
Fałszywa fala go pochłonie
I już zgubiony jest na wiek.

I w wymaganiach postąpiła,
Czciciele dawnych drwiną tnie, —
Wpierw łódź niewielka jej starczyła,
Dzisiaj już dużej floty chce!

(Józef Jankowski)

Bulla János

Był na Wschodzie niegdyś sułtan

Był na Wchodzie niegdyś sułtan,
Możny, władny, wielki pan:
Nie zwał „Mądrym“ się, bo mniemał.
Że jest wyższy nad ten wian.
Piewców stu miał, którzy chwałę
Jego nieśli wzdłuż i szerz, —
Gdybym ja był tym sułtanem,
Piewców tysiąc miałbym też.

Otaczali go czciciele,
Wielbiciele — przecz by nie?
Miał ich wszystkich za przyjaciół,
Nie dbał, co na duszy dnie!
Ale wielu mieć przyjaciół
To — jak dokuczliwy puch:
Gdybym ja był tym sułtanem,
Starczyłby mi jeden druh.

I w haremie miał hurysiek
Niezliczony rój, jak gwiazd, —
Wjeżdżał do nich tak, jak księżyc,
I miał zawsze wolny wjazd.
Lecz — co do mnie, gwiazdę stałą
Wolę, niżli mgławic miał:
Gdybym ja był tym sułtanem,
Jednębym huryskę miał.

Szczesny władca! miał krytyka
Li jednego w kraju swym:
Mąż to mądry, który wszędy
Znalazł błąd i swąd, i dym, —
Na najlepszem, na najcalszem
Znalazł dziurę, dziurek sto:
Gdybym ja był tym sułtanem,
Zaraz bym powiesił go!

(Józef Jankowski)

Rónay István

(† 1893)

1. Jesienne słońce

Jesieni śliczna, pełna łśnienia,
Pozostań krótki czas!
Odejdiesz — przyjdą mroźne tchnienia
I lodem skują nas.

Twój słońca blask tak czule spływa
Na obszar pustych stron,
Jak uśmiech, którym dogorywa
Piękność i złoci skon.

Promieniu luby, twa pieszczota
Ożywia zwiędły liść:
Tyś jest, jak serca miłość złota,
Co ma już w wieczność iść.

Gdy namiętności w piersi wrące
Ukoją się już raz,
O, trwaj, jesieni śliczne słońce,
O, trwaj choć krótki czas!

(Józef Jankowski)

2. Łabędź

Samotny płynie po jeziora fali,
Milczący łabędź srebrny, zadumany.

Jak świetlna zjawa wyszedł z cieniów dali,
Dumnie rozcina przestwór zwierciadlany.

Radosnem stadem ponad jego drogą
Dokoła inne unoszą się ptaki:

On, jakby nie miał na świecie nikogo,
Osamotniony mknie swojemi szlaki.

Z każdej gałęzi dzwoni hymn miłosny,
Godowe pieśni wszędzie brzmią serdeczne.
W jesiennej ciszy, czy w chorałach wiosny,—
On milcząc, dźwiga swe cierpienie wieczne—

I nigdzie duszy nie znajdzie pokrewnej.
Wszystko mu obce — i w trwodze nieznannej
Odchodzi. Wierny jedynie — rozwiewny,
Obraz ma własny w fali zwierciadlanej.

Z nad brzegu patrzę okiem załzawionem
W jego zwodniczy ślad na wodzie, który
Szepcze mi, zda się, o szczęściu straconem.
Samotny ptaku, pasierbie natury...

O duszo moja! mimo złote słońce,
Droga twa mrokiem i smutkiem wilgotna.
I ty masz płynąć — przez wody milczące
Jak łabędź smutna, dumna i samotna.

(A. L.)

Zempleri Arpad

(* 1865)

Z „Pieśni Turańskich”

„Pieśni Turańskie” (*Turáni dalok*. Budapeszt, 1910)—
jest to jeden z najciekawszych przejawów nowożytnej
poezji węgierskiej. Autor zgromadził tu koleją wieków
motywy poetyckie plemion żółtych, począwszy od Ak-
kadów i Sumirów oraz wieży Babel, dalej Hiksów, któ-
rzy niegdyś władali Egiptem — poprzez Chiny i Ja-
ponję, ludy mongolskie i mandżurskie, tureckie i ta-
tarskie, wreszcie fińskie i ugarskie, kończąc na moty-
wach mądziarskich, które zamyka nutą beznadziejnie
tragiczną.

1. Śmierć na lodowym polu *)

I.

Płynie z Zachodu krzyk białych ras.

— „Hej, złote plemię pochłania nas.”

Aryczyk w gorzkie zwątpienie wpadł:

— „Dla mnie samego zbyt mały świat.

Ugro-tatarskich potomku rzesz,
Żyłeś zbyt długo. Umierać śpiesz.

Nigdzie nie znajdzie miejsca twój ród —
Dla swoich ognisk i swoich trzód.”

II.

Zamiera naród bratni nam duchem,
Lodów sybirskich złaman podmuchem.
Ścigany niby zwier dziki w borze,
Do żadnej walki wstać już nie może.
Straszliwe boje bez końca znośił.
Ginał, uchodził, niewoli prosił.
Gnębił go szeik, chan, car i moguł:
Nieszczęsny Woguł, nieszczęsny Woguł!
Długoś ty walczył, mocny-niemocny,
Aż śnieg i lód cię schłonał północny.
Słońce tam niby mgła i milczenie —
I niby ciężkie grobu sklepienie.
Na proch cię starły słowiańskie miecze:
Dokąd iść? Dalej nikt nie uciecze.

*) Wiersz niniejszy napisany z powodu tra-
gicznego samobójstwa masowego kilku wsi węgalskich
na Syberji w r. 1907—8.

Tam dalej bowiem mrok wieczny włada —
 Z gwiazdy polarnej blask zimny pada.
 Krok ci wstrzymują śnieżne pustynie
 I wszystko życie zamiera—ginie!

2. Turan

Ród nasz miazdzą
 Na skonanie:
 Mrok się zbliża,
 Hej, Turanie!
 Turanie!

Każda radość
 Nam się stanie
 Łzą rozpaczy:
 Hej, Turanie!
 Turanie!

Z każdej wieści
 Niespodzianie
 Śmierć w nas patrzy:
 Hej, Turanie!
 Turanie!

(A. L.)

W zakończeniu tej książki miło mi złożyć publiczne podziękowanie prof. A. Diveky'emu, który swą fachową radą dopomógł mi znakomicie do wykonania mej pracy, sam niejedno przetłumaczył, a nadto zilustrował szczegółami z historii Węgier.

Ze smutkiem natomiast wspomnieć muszę, że nasza czcigodna i nieodżałowana współpracowniczka, ś. p. Bolesława Jaroszevska, której ta książka bardzo wiele zawdzięcza, umarła 17 października 1920 r., zanim nasz rękopis mógł być oddany do druku.

Dzięki współpracy kilku osób, znających język węgierski, większość utworów w tym zbiorze przełożoną jest bezpośrednio z oryginału. W pełni zresztą nie mogło to u nas być dokonane. Korzystaliśmy również z bardzo nielicznych przekładów dawniejszych.

Na str. 54 pod wierszem Petöfiego „Pieśni o generale Bemie“ — opuszczono wzmiankę, że Petöfi był adiutantem Bema.





SPIS RZECZY

Wiek XII—XIII

	str.
Kezai Szymon.	
Śmierć Budy	9
Anonim	
Wyprawa Zalana	—
Mowa pogrzebowa	10

Wiek XIV—XV

Legenda o Świętej Małgorzacie	—
Pieśń o Świętym Władysławie	11
Pieśń o podboju Panonji	12
Pieśń na śmierć króla Macieja	13
Ilosvai Selymes Peter.	
Toldi	—

Wiek XVI

Pieśń o Świętym Stefanie	15
Pieśń o Najświętszej Pannie	—
Tinodi Szebesztyen.	
Śmierć Szondiego na zamku Drégel	16
Balassi Balint.	
Pieśń żołnierska	17
Félegyházi Tomasz.	
O poznaniu Boga i ludzi	18

Wiek XVII

Zrinyi Miklos.	
Zrinyiada	18
Gyöngyösi István.	
O Wenus murańskiej westchnienia	
Wesselényi'ego	20
Pázmány Peter.	
Kazanie	21
Apacai Cseri János.	
Z „Encyklopedji Węgierskiej”	22

Wiek XVIII

Pieśni kuruców	
Pieśń Seklów o swej ziemi	23
Pieśń Rakoczi'ego	—
Pieśń o Władysławie Ocskaiu	24
Orczy Lőrincz.	
Czarda	25

str.

Virág Benedek.	
Do muz	—
Anyos Pál.	
Skarga	26
Ujfalvi Krisztina.	
Urywek	—
Bacsanyi János.	
Na przewrót we Francji	—
Dayka Gabor.	
Ból utajony	—
Kazinczy Ferencz.	
Epigramy	27
Kisfaludy Sandor.	
Pieśni Himfyego	—
Csokonai Vitez Mihály.	
Dorota	28
Berzsenyi Daniel.	
1. Do Węgrów	30
2. Melancholja	—
3. Do Napoleona	31
Vitkovics Mihály.	
Pieśń pasterza z Füred	—
Szemere Pál.	
Echo	—

Wiek XIX—XX

Kölcsey Ferencz.	
1. Pieśń Zrinyi'ego	32
2. Mowa w sprawie polskiej	33
Fáy Andras.	
Bajki	34
Kisfaludy Karoly.	
1. Perła	—
2. Postanowienie	35
3. Złudzenia (komedja)	—
Katona József.	
Bánk-Bán (tragedja)	37
Jósika Miklos.	
Ostatni Batory (powieść)	39
Vörösmarty Mihály.	
1. Odwrót Zalana	43
2. Wygnaniec	44
3. Wezwanie	45
4. Stary cygan	—
5. Pieśń przy winie	46

	str.
6. Żywy posąg	46
7. Csongor i Tünde	47
Garay János.	
1. Mojżesz Węgierski	48
2. Dwaj śpiewacy	49
3. Urlopnik	49
Eötvös József.	
1. Sierota	51
2. Spoczynek	—
Vachott Sándor.	
Pożegnanie	52
Petőfi Sándor.	
1. Miłość i wolność	—
2. Cud Boży	—
3. Ocean się przebudził	53
4. Wiosna 1849	—
5. Pieśń junaka	—
6. Do magnatów	—
7. Co poczniecie	54
8. Pieśni o generale Bemie	—
9. Austrija	55
10. Jałmużna	—
11. Karczemka	56
12. Mój Pegaz	—
13. Poeta i wino	57
14. Obdarci rycerze	—
15. <i>Fragment z poematu:</i> Apostoł	—
16. Psy i wilki	—
17. Korona stepu	58
18. Jak się Madziar bawi	—
19. Karczmarka	59
20. Powóz o czterech wołach	—
21. Na grobie Etelki	—
22. Podzwonne	60
23. Łzy i gwiazdy	—
24. Na Dunaju	—
25. W nocy	—
26. Kradziony koń	—
27. Przygoda wilka	—
28. Nigdy w swem życiu	61
29. Ja chcę być drzewem	—
30. Rozkosz miłości	—
Arany János.	
1. Keveháza	—
2. Wallijscy bardowie	64
3. Sąd Boży	66
4. Toldi <i>Z Części I</i>	—
„ <i>Z Części II</i>	70
5. Pamięci Petőfi'ego	72
6. Pocieszenie	73
7. Ognisko rodzinne	—
8. O naszym eposie naiwnym	74
Szechenyi Istvan.	
Położenie Węgier	76

	str.
Gregus August.	
O estetyce	79
Toldy Ferencz.	
O literaturze węgierskiej XIX w.	80
Tompa Mihály.	
Do Bociana	81
Gyulay Pál.	
1. Pan porucznik	82
2. Na granicy Siedmiogrodu	—
3. Wieczór jesienny	—
4. Na wyspie św. Małgorzaty	—
Kossuth Lajos.	
Odezwa do żołnierzy węgierskich	83
Deák Ferencz.	
Mowa w parlam. węgier. w r. 1833	85
Madach Imre.	
Tragedja człowieka	86
Jókai Mór.	
1. Biała dama Polski	89
2. Zbójcka sprawa	90
Tóth.	
1. Naprzód	92
2. Matka Polka	—
Anonim.	
Skrzypce Madziara	93
Dalmady Győző.	
Modląca się dziewica	94
Komócsy József.	
1. Oczarowanie	—
2. W niepogodę	95
3. Dziś światło	—
Kiss József.	
Judyta	—
Csengey Gusztav.	
Kościuszkę	96
Csiky Gergely.	
Kochasz mnie	97
Arany Władysław.	
Bohater Fata Morgany	97
Doczi Lajos.	
1. Sonet	99
2. Mknienie	—
Beöthy Zsolt.	
Ostatni sen	—
Endrődy Sándor.	
Królewicz i królowna	100
Zichy Géza.	
Dziś w nocy	—
Posa Lajos.	
Kazanie	—
Bartók Lajos.	
Daj mi wual	—
Andrassy Béla.	
Zefir	101

	<i>str.</i>		<i>str.</i>
Reviczky Gyula.		3. Na gałązce	104
1. Walka	101	Pap Zoltan.	
2. Szczątki papierowe	—	Pozwól	—
3. Gdy serce...	—	Balo Tassilo.	
4. Nirwana	102	Zamek Apafi	—
5. Emma	—	Szalay Eufrozyna.	
6. Finał	—	Barkarola	105
Koroda Pál.		Heltai Jenő.	
1. Groby hrabiowskie	102	Lorelei	—
2. Bądź zdrowa	103	Bulla Janos.	
3. Miłość poety	—	Był na Wschodzie niegdyś sułtan	—
Szabolcska Mihaly.		Rónay Istvan	
1. Spotykam ciebie	—	1. Jesienne słońce	106
2. W Grand Café	—	2. Łabędź	—
Lechner Gyula.		Zempleni Arpad.	
1. Wszystko dla jednej	104	Z „Pieśni Turańskich“	—
2. Zakład	—		

Indeks autorów

	<i>str.</i>		<i>str.</i>
A ndrassy Bela	101	Kiss József	95
Anonim	9	Komócsy József	94
Anonim	93	Koroda Pál	102
Anyos Pál	26	Kossuth Lajos	83
Apacai Cseri János	22	Kölcsey Ferencz	32
Arany János	61	<i>Legenda o Świętej Matgorzacie</i>	10
Arany Władysław	97	Lechner Gyula	104
B acsanyi János	26	M adach Imre	86
Balassi Balint	17	<i>Mowa pogrzebowa.</i>	10
Balo Tassilo	104	O rczy Lőrincz	25
Bartók Lajos	100	P ap Zoltan	104
Beöthy Zsolt	99	Pazmany Peter	21
Berzsenyi Daniel	30	Petőfi Sandor	53
Bulla János	105	<i>Pieśni kuruczów</i>	23
C sengey Gusztav	96	<i>Pieśń o Najśw. Pannie</i>	15
Csiky Görgely	97	<i>Pieśń o podboju Panonji</i>	12
Csokonai Vitez Mihaly	28	<i>Pieśń o śmierci króla Macieja</i>	13
D almady Gyözö	94	<i>Pieśń o Świętym Stefanie</i>	15
Dayka Gabor.	26	<i>Pieśń o Świętym Władysławie</i>	11
Deak Ferencz	85	Posa Lajos	100
Doczi Lajos	99	R eviczky Gyula	101
E ndrödy Sandor	100	Rónay Istvan	106
Eötvös József	51	S zabolcska Mihaly	103
F áy Andras	34	Szalay Eufrozyna	105
Félegyházi Tomasz	18	Szechenyi Istvan	76
G aray János	48	Szemere Pal	31
Greguss August	79	T inodi Szebesztyen	16
Gyöngyösi István	20	Toldy Ferencz	80
Gyulay Pál	82	Tompa Mihaly	81
H eltay Jenö	105	Toth	92
I losvai Selymes Peter	13	U jfalvi Krisztina	26
J ókai Mór	89	V achott Sandor	52
Jósika Miklos	39	Virag Benedek	25
K atona József.	37	Vitkovics Mihaly	31
Kazinczy Ferencz	27	Vörösmarty Mihaly	43
Kezai Szymon	9	Z empleni Arpad	106
Kisfaludy Karoly	34	Zichy Geza	100
Kisfaludy Sandor	27	Zrinyi Miklos	18